

„ORZEŁ BIAŁY“
(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)

October 1965

Price 3/6

Cena 3/6
\$ 0.50; 2.50 F.



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

SYRENA

PAŹDZIERNIK

1965

Nr 15/1162



Cop. Commissariat Général au Tourisme

MSZA ŚW. W OPRAWIE NOWOCZESNEJ ARCHITEKTURY

Trwa IV. Sesja Soboru Watykańskiego, Paweł VI przemawia w Organizacji Narodów Zjednoczonych, Kościół Katolicki zastanawia się nad stosunkiem do nauki współczesnej, współczesnych pragnień i bolączek społecznych i politycznych... Lecz istota religii objawionej pozostaje nienaruszona a w tajemnicy Mszy św. znajduje się dalej odwieczne źródło Nadziei i Miłości.

P 2 156

PIĄTA SERIA

POLSKIEJ
FUNDACJI
KULTURALNEJ

Komplet książek za 30 szylingów

ZOFIA ROMANOWICZOWA — „PRÓBY I ZAMIARY“

17 opowiadań — 160 str.
okładka Danuty Laskowskiej.

JAN ROSTWOROWSKI — „NASI LUDZIE“

Cykl opowiadań — 160 str.
okładka Tadeusza Orłowicza.

LEW SAPIEHA — „WOJNA Z WYSOKOŚCI SIODŁA“
pamiętnik ulana z kampanii wrześniowej 1939 r. — 160 str.
okładka Tadeusza Terleckiego.

TADEUSZ WITLIN — „MODIGLIANI“
powieść biograficzna o wielkim współczesnym malarzu —
w 2 tomach

„CYGAN MONTMARTRE'U“ stron 320

„KSIĄŻĘ MONTPARNASSE'U“ stron 280

okładki Stanisława Gliwy.

W zakupie pojedynczym:

„PRÓBY I ZAMIARY“, „NASI LUDZIE“ i „WOJNA Z WYSOKOŚCI SIODŁA“
po 6/6; „CYGAN MONTMARTRE'U“ i „KSIĄŻĘ MONTPARNASSE'U“ po 9/6.

Do nabycia:

księgarnie na całym świecie, przedstawicielstwa „Dziennika Polskiego“
za granicą.

POLSKA FUNDACJA KULTURALNA

9, CHARLEVILLE ROAD, LONDON, W. 14.

fraszki

Bohater filmowy

*Wszystko potrafi!
(Na fotografii).*

Rozczarowanie

*Chińczycy forty wzięli, Hindusi nie dali;
Bardzo się im to chwali!*

Oszczędność

*Najprzykrzejsza chwila w życiu,
To wytrzeźwieć po przepiciu.*

Obustronny sukces

*Mądra głowa
Nie rozmienia się na drobne słowa.*

RAWICZ

LISTY DO REDAKCJI

GLUSZEC POLITYCZNY

W numerze 12/1159 „Orla Białego“ z lipca 1965 ukazał się artykuł p. Stanisława Paczyńskiego, pt. „Teza—Antyteza—Synteza“, w którym autor zaatakował mój artykuł, pt. „Zjednoczenie Niemiec w granicach z 1937 roku“, który ukazał się w „Przeglądzie Zachodnim“, organie Związku Polskich Ziem Zachodnich, w numerze kwietniowym. Ponieważ temat jest wyjątkowo ważny, proszę Szanowną Redakcję o umieszczenie następujących sprostowań, za co, łącząc wyrazy poważania, z góry serdecznie dziękuję.

P. Paczyński pisze, że Pax postawił tezę, ażeby „poprzez problem niemiecki i niebezpieczeństwo militarystyki bońskiej zwiazać (polską emigrację polityczną) ze sprawą pokoju“. I dalej pisze: „To chwyciło“ itd., oraz przytacza wyjątek z mojego artykułu. Z tego wynikałoby, że tak mój artykuł, jak i w ogóle cała obrona polskiej sprawy wobec rewizjonizmu niemieckiego, łącznie z obroną naszych praw do granicy na Odrze i Nysie, jest w ogóle wynikiem inspiracji Pax'u. Muszę się zastrzec kategorycznie przeciwko takiej insynuacji. P. Paczyński zapomina, że to nie tylko Pax stawia „tezy“ — stawiają je i inne czynniki polityczne, daleko ważniejsze i potężniejsze, niż Pax, a przede wszystkim stawia je rząd NRF w Bonn, który dyktuje warunki pokoju przyszłego, określając jako podstawę do rokowań uznanie Niemiec w granicach z 1937 roku.

Jest chyba obowiązkiem wychodźstwa politycznego stawiać swoją „antytezę“ wobec tego jawnego rewizjonizmu niemieckiego, i to bez względu na takie czy owakie tezy Pax'u. Stwierdzam wyraźnie, że zwalczanie niemieckich tez w sprawie naszych ziem zachodnich i piętnowanie niemieckich matactw politycznych oraz przedstawianie właściwego oblicza polityki niemieckiej wobec spraw polskich, jest wynikiem jedynie podnoszącego głowę rewizjonizmu niemieckiego, a nie ma nic wspólnego z żadnymi „antytezami“ paxowsko-reżymowymi, o których dowiaduję się dopiero z artykułu p. Paczyńskiego. Tym też wojującym rewizjonizmem niemieckim tłumaczyć należy zainteresowanie się opinii polskiej i prasy stosunkami polsko-niemieckimi, a nie wpływami „tez“ Pax'u. Gdy polityka niemiecka z jednej strony aprobuje zabory naszych ziem wschodnich przez Sowiety, a z drugiej strony wyciąga łapy po nasze ziemie zachodnie, to jest obowiązkiem każdego uczciwego i rozumnego Polaka wszelkimi siłami przeciwstawiać się takim „tezom“, bo istnieje zagrożenie podstaw bytu naszego narodu.

Byłoby głupstwem zaprzestać z naszej strony walki o nasze ziemie zachodnie tylko dlatego, że „Słowo Polskie“ przedrukowuje rezolucje ZPZZ. Niech rząd w Bonn uzna istniejący stan, a wtedy będzie miał moralne prawo domagać się poparcia dla swych „tez“ narodowych, gdyż jedynie wtedy dalby rękomię, że rezygnuje ze swych dążeń rewizjonistycznych. Gdy jednak jak dotychczas stawia „tezę“, że sprawa granicy na Odrze i Nysie jest tylko wynikiem propagandy komunistycznej, a Polska do nich nie posiada żadnego ani prawnego ani moralnego stosunku, gdy wygrywa swe rzekome nastawienie antykomunistyczne dla złatwienia swych interesów wielkoniemieckich i zatarcia skutków przegranej wojny oraz popełnionych zbrodni w imię narodu niemieckiego przez Hitlera, naszym obowiązkiem narodowym jest przedstawiać taka (D. c. na przedostatniej stronie okładki)

* * * Paweł VI przed forum Narodów Zjednoczonych	1
Zbigniew Grabowski: Rozmowa o pięknie	2
Zdzisław Stahl: Konflikt indo-pakistański i niespodzianki na terenie ONZ	4
(a) — Wrześniowe święto żołnierza-lotnika	6
Tadeusz Radwański: Konflikt sowiecko-chiński (I)	9
Czesław Jeśman: Gdy Rosjanie opuszczali Królestwo Polskie	11
Kazimierz Glabisz: Wskazania dla oficerów „Bundeswehr“	14
Stanisław Błaszczak: Los płata figle	15
Aleksander Bregman: Patrząc w kryształową kulę...	17
Marian Czarnecki: Zagadka premiera Pompidou	19
Z życia polskiego w świecie	21
Mieczysław Paszkiewicz: Zegar astronomiczny Jana Kazimierza	24
Czesław Dobek: Z notatnika szyderycy	27
Jan Claude: Meteorologia i polenta	29
Przyjaźń polsko-szwajcarska	30
Co piszą inni	31
Jerzy Pomian: Jak jest naprawdę w Brazylii?	33
Stefan Legeżyński: Skarby Wspólnoty Brytyjskiej	34
Kurs wiedzy o Polsce współczesnej	35
Dr Michał: Gawędy lekarskie (Migdałki)	36
Jan Ostrowski: Życie kulturalne polskiego Londynu	37
Paula Powiślańska: Vivat Vamp	39
Jan Gniazdowski: La Polonia	40
Stefan Wóycicki: Eksperyment Danuty Mostwin	45
Jan Tokarski: Człowiek współczesny i szczęście	46
Między plotką i anegdotą	46



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

Nr 15/1162

PAZDZIERNIK 1965

Rok XXV

Paweł VI przed forum Narodów Zjednoczonych

Z tradycją krótkotrwałą zresztą „więzienia watykańskiego“ zerwał Papież odbywając podróż - pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Po niej nastąpił wyjazd do Indii. Ostatnio Paweł VI był w Nowym Jorku.

Były to odwiedziny o podwójnym charakterze. Z jednej strony po raz pierwszy w dziejach głowa Kościoła katolickiego przybyła do Ameryki — na Kontynent, który często jeszcze nazywamy „nowym“.

Przemawiając wszakże przed Zgromadzeniem Narodów Zjednoczonych, których siedziba mieści się w Nowym Jorku, Papież dokonał czegoś więcej. Jego przemówienie, rozmaicie interpretowane i przyjęte przez wielu z entuzjazmem a przez wielu ze zdziwieniem, uznać należy za przypomnienie światu, iż znaczenie Stolicy Apostolskiej w życiu międzynarodowym jest dziś większe może niż kiedykolwiek.

Oczywiście nie wystąpił następca św. Piotra w roli „polityka“, ani nawet męża stanu. Nie „zajmował stanowiska“, nie potępiał nikogo z imienia ani nikogo z imienia nie chwalił. Mówił o braterstwie wszystkich ludzi i o potrzebie pracy nad zachowaniem pokoju. Nie głosił więc nic ponadto co głosi nauka chrześcijańska.

Nie treści też przemówienia Papieża stanowi o epokowości jego wystąpienia, lecz sam fakt, że postanowił przemówić do ciała złożonego z przedstawicieli państw, wśród których chrześcijanie nie są w większości.

Czy znaczy to może, że aprobuje i statut i dotychczasową, opłakaną raczej działalność instytucji, której powstaniu towarzyszyło aż tyle grzechów pierworodnych? Na pewno nie. Wydaje się raczej, że przez swą obecność przypomniał temu właśnie zgromadzeniu, iż poza nim i nad nim istnieje o ileż

wyższy i prawdziwszy autorytet i wykładnia złego i dobrego w stosunkach między ludźmi.

ZŁUDZENIA P. MOCZARA

(Przemówienie Stanisława Lisa, Sekretarza Generalnego Federacji Światowej SPK, nadane do Kraju przez Rozgłośnię Polską Radia Wolnej Europy).

Od zakończenia wojny reżym komunistyczny w Polsce walczy z emigracją polską na Zachodzie.

Cel jasny — uczynić z milionowej rzeszy Polaków w wolnym świecie narzędzie własnej polityki.

W pierwszych latach powojennych prowadzono przeciw emigracji oszczerczą kampanię, nazywano nas zdrajcami. Potem przyszły slogany — emigracja to nic nieznaczące zbiorowisko przegranych ludzi.

W roku 1955 przeżywaliśmy okres umizgów i apeli o powrót do Kraju. Odpowiedzieliśmy, że najpierw muszą wrócić z Rosji Polacy, zesłani do łagrów i więzień.

Po „Październiku“ władze komunistyczne w Polsce przeszły do bezpośredniego ataku na emigrację, wymierzonego przede wszystkim w jej postawę niepodległościową. Rozbudowano w tym celu machinę propagandowo-dywersyjną, która miała stanowić narzędzie oddziaływania różnymi wyrafinowanymi metodami.

Najpierw nazywano nas agentami amerykańskimi. Obecnie nazywa się nas z reguły agentami niemieckimi.

(Dokończenie na str. 8)

ROZMOWA

...Kenneth Clark, znany historyk sztuki i człowiek jasnej, wytwornie prowadzonej myśli, napisał szkic o sztuce współczesnej, gdzie powtórzył tezę, że Grecy naśladowali w sztuce — a zatem głównie w rzeźbie — naturę i że stanowi to wielką, jedną z największych „omyłek myśli greckiej“.

Teza ta nie jest nowa: głosi on, że Grecy przez naśladowanie przyrody, a potem Renesans przez podjęcie tego kierunku wypaczyli sztukę, która powinna być rzeczą autonomiczną, rządzącą się własnymi prawami: zdala od wszelkiego naśladownictwa czy wzoru. To średniowiecze wkroczyło na właściwe tory — a potem jest długa luka i dopiero dzisiaj mamy sztukę, która jest znowu buntem przeciwko naturze i która tworzy swoje własne kanony.

...Nie mogę zgodzić się z tą tezą. Bo przede wszystkim, jeżeli nawet uznamy, że Grecy naśladowali naturę (brali z niej na pewno wzór: dla świątyń i kolumn — wzór lasu i cienia), to kto powiedział, że nie jest to prawne i słuszne zajęcie artysty? Sztuka egipska tworzyła własne ujęcia, hieratyczny wzór: nie była na pewno „naturalizmem“; oparta o elementy podpatrzone w życiu, stworzyła swój własny kodeks i swoją konwencję. Ale Grecy przyszli do świata zewnętrznego z ciekawością dzieci i to, co stanowi cud świata greckiego — to odkrywanie rzeczywistości i siebie od nowa. To narodziny człowieka, przyrody. To narodziny rzeczywistości. Czy nie musieli zatem odkrywać i ciała ludzkiego, którego piękno dopiero oni pokazali? Czyż nie najlepszym dowodem na to, jak to odkrycie było potrzebne był właśnie Renesans, wygrzebujący się z pod włosienicy wieków średnich który wrócił do odkrycia ciała? Czy tego rodzaju odkrycie nie musi się powtarzać w każdym niemal wieku i dla każdego świadomego człowieka?

To jedno. A drugie: czyż to ciało, tryumfujące w rzeźbie greckiej, nie jest piękne? „Pomyłka myśli“ — czyż nie dała nam piękna? Czyż dzisiaj jeszcze nie stoimy w podziwieniu przed posągami, które — rzecz znamienna — chwałą nagość prze-

de wszystkim męską i pokazują ją szczerze, kobiecą natomiast rzadko. (Jest to przywilej Afrodyty, ale czasem i ona ma szaty opadające lub zarzucone). Grecy niewątpliwie uważali — czy też uważali tak ich artyści — że przede wszystkim ciało męskie jest wzorem piękna i że powinno być uwiecznione.

Nic doskonalszego nie zrobiono w tej dziedzinie: Grecy dokonali kodyfikacji piękna ciała ludzkiego.

... Czy mam przyjąć tezę, że to wszystko jest nieważne, bo piękne jest ciało na akcie Picassa, Kokoschki czy ciała-zwidy Paula Klee i że są one piękniejsze i wymowniejsze, niż rzeźby greckie, czy Rocky Venus? Nie — zostaną zawsze przy tamtych ciałach i nie potrafię się wzruszyć nadmiernie aktami Modiglianiego, tak jak tego wymaga od nas kanon współczesny. Na to nie poradzi żadna teoria i żadna historia sztuki, która tłumaczy, że sztuka nie może być naśladownictwem natury.

Bo nie jest. Nawet najbardziej „realistyczny“ Apollo jest niewątpliwą idealizacją, a poza tym, to co za nim tkwi: myśl i inteligencja są odmienne aniżeli w naturze, czy w żywym człowieku. Inna inteligencja ożywia ciało żywe, a inna ciało-rzeźbę. I to jest punkt, nad którym historycy sztuki powinni się zastanowić.*)

... Kenneth Clark zdaje sobie dobrze sprawę z działania i wagi myśli ukrytej poza dziełem sztuki. Powiada on słusznie, że w naśladownictwach Gotyku, Renesansu, a szczególnie stylów Grecji w wieku XIX czy

*) Sztuka może naśladować tylko siebie: przyroda może naśladować tylko siebie. Sztuka operuje bowiem — poza muzyką, która może naśladować skutecznie głosy przyrody i stanowi wyjątek w sztukach — materiałem przyrody martwej: może ona zatem tylko przedstawiać naturę, tylko ją symbolizować, ale nie naśladuje w istotnym tego słowa znaczeniu. Sztuka jest, jeśli tak powiedzieć można, przyrodą martwą: a ta nie naśladuje nigdy skutecznie przyrody żywej. Sztuka, powtórzmy to raz jeszcze, naśladuje tylko siebie samą: a próbuje przedstawić — czy symbolizować naturę.

XX brak jest owego światła, które tkwi za budowlami Grecji, nie czujemy wysiłku myśli, która ożywiała próbę oryginalną. Jest to głębokie spostrzeżenie. Za każdym oryginalnym dziełem sztuki tkwi pewna myśl i światło, które je ożywia. Uporeczywie wracam do przekonania, że potęga dzieła sztuki polega może nie tyle na wspaniałości wykonania, na walorach czysto artystycznych i estetycznych, ile na tajemniczej dynamice, która wynosi to dzieło. Ma się to wrażenie potęgi wobec rzeźb Michała Anioła, wobec niektórych rzeźb greckich, wobec „Boskiej Komedii“ i ta duchowa siła, ten ładunek, który kiedyś włożono w dzieło sztuki, niesie je poprzez wieki. Jest to potężniejsze może, niż samo piękno, a raczej wydaje się, że piękno posiłkuje się napędem czy silnikiem duchowej energii, która decyduje o losach sztuki.

...Grecy stworzyli piękno — więc cóż z tego, że wzory zaczerpnęli z przyrody? Nawet, jeżeli chcieli ją w pewnym sensie naśladować? Dlaczego nie mieli jej naśladować skoro w ich oczach natura była piękna i skoro podjęli oni wielką podróż odkrywczą w głąb przyrody? Skoro odkrywali tę przyrodę dla nas, na wieczną radość oczu? Albowiem piękno Greków można zawsze „przymierzyć“ niejako do świata: kochanek będzie miał wizję greckiego ciała, patrząc na ciało ukochanej, a niejedna kochanka wielbić będzie ciało swojego mężczyzny jako replikę Grecji.

Niewątpliwie Grecy wzięli wzór z natury. Ale idealizowali te wzory tak, że ich rzeźby nie były naśladownictwem. Były one mądrą selekcją harmonii i symetrii. Prześwietlili te rzeźby własną inteligencją i dali im własne proporcje. Już dawno zauważono, że Venus z Milo byłaby w naszych warunkach wcale tęgą kobietą — a jednak w zespole greckich proporcji jest zjawiskiem pięknym. Jest piękna spokojem dorodnego, zaspokojonego ciała.

O PIĘKNIE

... Idealizacja, proporcje i myśli, która prześwieśla dzieło sztuki — oto cechy, o których się nie mówi, powtarzając zbyt często teorię, że sztuka nie naśladuje przyrody. Ale dlaczego ten kanon miał obowiązywać od samego wstępu, od samego zarania? Czy nie musieliśmy zacząć od podpatrywania natury, aby ją potem dopiero wyzyskać, czy nawet wypaczyć? I czy linie natury nie są piękne? I czy człowiek może w ogóle oderwać się od natury? Czy nie powtarza stale jej form i to instynktownie? Cała architektura i cała sztuka stosowana, jak również nasze narzędzia, naczynia i meble roją się od asocjacji z kształtami ludzkiego ciała. Ciało ludzkie poddaje zasadnicze wzory naszej sztuce. Czy zatem Grecy nie musieli zacząć od niego?

...Nie tylko zaczęli, ale i w pewnym sensie skończyli — a zatem ciało w ich ujęciu jest rzeczą skończoną, jest całością w sobie zamkniętą. Nie ma tu żadnej transcendencji, jest ziemskość i zakochanie w przyrodzie, w samym cudzie stworzenia. Tego olśnienia rzeczywistością nie zdołano już chyba nigdy powtórzyć. Ciała rzeźby greckiej są zamknięte w sobie, są dla siebie światem. Nie ma w nich wykrzywień i niepokojów i znajdują się przeważnie w stanie odprężenia i **repose** jak słusznie pisze krytyk i esteta angielski Walter Pater. Są nasycone sobą i pięknem, nie potrzebują nawet tła.

I to jest nieśmiertelny tryumf tej sztuki, która w ciele ludzkim dojrzała w alfę i omegę naszego świata, która nie знаła jeszcze dwoistości duszy i ciała i tragedii sporu, który się między nimi toczy. Jest to ciało w Dzień Stworzenia.

...I to jest niewątpliwie wielka zasługa myśli greckiej. Mówienie o pomyśle, jak to czyni Kenneth Clark, wydaje się historycznym niezrozumieniem odkrywczej woli człowieka oraz zależności naszej wyobraźni od otaczającej przyrody. Wydaje się być przerwaniem naszych obecnych teorii i naszych

dzisiejszych nastawień do sztuki, po przesyceniu naturalizmem i po wynalazku fotografii, która jest coraz doskonalsza i wkracza w sferę sztuki — na pierwociny ludzkich poczynań i na okres, kiedy sztuka szukała dopiero w ciemności. Powstaje pytanie, czy sztuka rozwinęłaby się w ogóle, gdyby nie odkrycia Grecji. Czy sztuka Egiptu nie była jednak ślepą uliczką: zapatrzona w śmierć, we wzory hieratyczne, raz ustalone i skodyfikowane? Czy była w sztuce Egiptu szansa rozwoju? Czy Grecja nie była koniecznością, już nie procesów sztuki, ale procesu samego poznania? Czy bez tego światła i tych jasnowidzących odkryć istniałyby w ogóle zręby naszego myślenia? I czy Grecja ściągając wzrok na ziemię, wydarłszy ją za światom nie postawiła pierwszego, niekiedy wzruszającego nieporadnego kroku na szlaku po którym nam iść przypadło?

...Nie, niesposób jest zgodzić się na tezy Kennetha Clark'a, ani tych wszystkich nowoczesnych historyków sztuki, którzy autonomię sztuki chcieliby postawić ponad pierwszą jej konieczność: istnienia sztuki, stwierdzenia swojej obecności, rozejrzenia się w świecie i określenia człowieka wobec świata.

...Wydaje mi się, że trzeba w twórczości artysty odróżnić dwie fazy: pierwsza faza czy pierwsza potrzeba, przyrodzona potrzeba i chęć, to przemożna wola wyrażania siebie samego i tego wszystkiego co tłoczy się w głowie, w wyobraźni i co powoduje „swędzenie ręki“: artysta musi tworzyć, pisać, malować. Ta faza czy ta pierwsza potrzeba, ten pierwszy głód artysty możnaby nazwać wolą wyrażania siebie samego, **self-expression**. Na drugim planie stoi **self-realisation**, a zatem faza, w której artysta chciałby nawiązać kontakt z odbiorcą jego sztuki. Dzieło sztuki może powstawać w całkowitym odosobnieniu — i często tak powstaje — w oderwaniu się od ludzi, ale potem przychodzi chwila, kiedy artysta chce, ażeby wróciło ono do ludzi, kiedy uważa, że musi ono

przejsć próbę kontaktu z żywym człowiekiem, a zatem także i test ludzkiego osądu.

Nawet jednak najbardziej samotna twórczość, twórczość „na pustyni“, nawet wtedy wola **self-expression**, głos samowrażania się, nie jest samotny do dna. Albowiem artysta cały czas prawie myśli i marzy o recepcji, o odzwie, o echu. Może to być tylko idealny słuchacz czy odbiorca — jeden jedyny na świecie, ale przeważnie jest ich więcej w marzeniach artystów. Artysta chce ludzi — nieznanym sobie — urobić według swoich zamiarów, chce na nich wpływać, chce władać ich wyobraźnią.

...Artysta nie chce być głosem wołającego na puszczy: nawet gdyby na niej istotnie tworzył. Chce się ludzi — tworząc nawet na zupełnie pustkowiu, — że ktoś go jednak zrozumie, kiedyś zrozumie i w tej mierze podobny jest do idealnego kochanka, który tęskni za idealnym odbiorem swojego uczucia za swoją idealną „połową“ — platońską niemal. Artysta chce wierzyć, że ktoś, kiedyś odkryje jego rysunki czy malowidła, czy jego kompozycje, czy jego pisma, i że ktoś się nimi przejmie. Czyli, że jego **self-expression** pomnaża się i dwoi i utwierdza drogą recepcji. Pomnaża się w oczach innych, w ich reakcjach.

...To jest, jak mi się wydaje, społeczna by tak powiedzieć, rola sztuki: instynktowne szukanie odbiorcy. W nim czy raczej w nich, zwielokrotnia się głos twórcy, oni stanowią **repoussoir** dla jego twórczości. Od tego, jak wielkie kręgi zatoczy dzieło sztuki zależy w dużej mierze przetrwanie dzieła artysty. Jeżeli uderzy ono w głębokie złoza zbiorowości ludzkiej, będzie działało i wracało jak fala. Jeżeli poślizgnie się tylko po powierzchni, jak płaski kamień rzucony na wodę w tak zwanym rzucaniu „kaczek“, to wpływ jego nie będzie trwał długo, chociaż kamień może zawędrować daleko na odległość. Rzadko kiedy dzieła sztuki wychodzą swoim wpływem i zasięgiem poza własną epokę, a jeżeli wychodzą, to znaczą, że mieścił się w nich wyjątkowy ładunek siły duchowej.

(Dalszy ciąg na str. 42)

KONFLIKT INDO-PAKISTAŃSKI I

ORGANIZACJA Narodów Zjednoczonych, chociaż w istocie osłabiona — omówioną w wrześnieowym przeglądzie — rezygnacją Stanów Zjednoczonych z żądania, aby Rosja Sowiecka wraz z reżymami satelickimi i Francja zapłaciły swój udział w kosztach „pacyfikacyjnych” działań oddziałów zbrojnych ONZ, ponieważ nowy delegat Waszyngtonu A. Goldberg zastrzegł takie same prawo dla swego rządu na przyszłość, przeżyła niespodziewany okres aktywności i rozgłosu. Okazję do aktywności dała nowojorskiej organizacji graniczna wojna Indii z Pakistanem, a blasku i rozgłosu ponad zasługę nadał trybunie Pałacu Narodów dość niespodziewany, bo dopiero 8 września zapowiedziany na 4 października, przyjazd Ojca św., Pawła VI.

Indo-pakistański konflikt zbrojny o Kaszmir, który trwa od lat kilkunastu doprowadził do starć zbrojnych właśnie teraz, w jesieni roku 1965, z przyczyn, które nie są zupełnie wyjaśnione. Pogłoska, jakoby przyczyniły się do tego zakulisowe wpływy amerykańskiego wywiadu została autorzywnie zaprzeczona, była pochodną ich wyolbrzymiania w dzisiejszym świecie, a ponadto może i faktem, że wybuch ten w pewnej mierze przysłużył się dyplomacji Waszyngtonu. Przede wszystkim bowiem odwrócił on uwagę światowej opinii od wojny wietnamskiej, która nie cieszy się na ogół dobrym imieniem, a po wtóre wbił on nowego klina między Moskwę a Pekin, co stanowi zasadniczą wytyczną polityki Stanów Zjednoczonych i co zwykle zbliża Rosję do Zachodu. Skoro z okazji wojny wietnamskiej, wbrew rozeznaniu amerykańskiej sowietologii, rozdźwięków sowiecko-chińskich pogłębić się nie udało, konflikt indo-pakistański dawał ku temu nowe szanse.

KLIN WBITY — PŁYTKO I SUKCESY — POWIERZCHOWNE

Rezultat tak wbitego klina, niezależnie od tego, czy ktokolwiek zrobił to umyślnie w tym celu, okazał się pożądanym, chociaż jak wydaje się dość powierzchowny i na krótką metę. Jest faktem bowiem, że różnice stosunku Moskwy i Pekinu do pokłóconych państw indyjskiego subkontynentu się ujawniły, a w Radzie Bezpieczeństwa ONZ można było 10 głosami wszystkich mocarstw Zachodu i Rosji, a przy wstrzymanej się jedynie Jordani, powziąć uchwałę wzywającą Indie i Pakistan do zawieszenia broni, lecz oba te sukcesy okazały się względne. Różnica stanowiska Rosji Sowieckiej i Chińskiej Republiki Ludowej wobec Indii i Pakistanu początkowo była wyraźna. Ta pierwsza ogłosiła neutralność i to raczej bliższą Indiom oraz podjęła akcję mediacyjną, podczas gdy Pekin opo-

wiedział się wyraźnie za Pakistanem i co więcej rozpoczął graniczną presję wojskową na Indie. W krótkim czasie jednak musiało dojść między Sowietami a ChRL do jakiegoś porozumienia, ponieważ Moskwa zaczęła ściśle przestrzegać neutralności, a Pekin wycofał się z wojskowej interwencji na rzecz Pakistanu.

Tak samo sukces wspólnego głosowania mocarstw zachodnich z Sowietami w ONZ, okazał się bardzo względny i krótkotrwały. Uchwała Rady Bezpieczeństwa z 20 września wezwała bowiem strony do zawieszenia broni i cofnięcia się na pozycje z 5 sierpnia, a tymczasem „strony”, czyli rządy Indii i Pakistanu, chociaż formalnie deklarując przyjęcie apelu, walc faktycznie nie zaprzestały, a na wycofanie się nawet oficjalnie zgody nie wyraziły. W rzeczywistości więc uchwała ONZ, która zresztą politycznej istoty sporu o plebiscyt w Kaszmirze, kiedyś nakazany i przez Indie systematycznie sabotowany, w ogóle nie poruszyła, nawet swoich apelów o tak zewnętrzne następstwa, jak zawieszenie walk i wycofanie się wojsk na pierwotną linię, nie zdołała przeprowadzić. Nikt nie jest zainteresowany w stwierdzeniu tej prawdy, a więc nie wskazuje się na nią palcem, co zwłaszcza podczas wizyty Pawła VI w ONZ było wszystkim nieporęcznym.

PAWEŁ VI W NOWYM JORKU I O.N.Z.

Podróż Ojca Świętego, jako Pielgrzyma Pokoju do ONZ, była zarazem dawno oczekiwanym przez amerykańskich katolików postawieniem stopy Namiastnika Chrystusowego na ziemi tego kontynentu. Prez. Johnson, którego córka przeszła ostatnio na katolicyzm, zamierza w niedługim czasie udać się do Watykanu, po czym nastąpić ma podróż papieska już wyłącznie do Stanów Zjednoczonych, co wszystko przyczyni się bezwątpienia do jeszcze szerszego krzewienia się tam katolicyzmu.

Ludność Nowego Jorku przyjęła Papieża ze szczególną, wyjątkową powagą i nie zanotowano niemal żadnych incydentów, towarzyszących zwykle wizytom świeckich wielkości w tym mieście. Miliony, które wyległy na nowojorskie ulice, okazały bez względu na swoje wyznanie dyscyplinę i umiarkowanie, należne światowej miary osobie duchownej. Paweł VI przejechał, zarówno przez bogatsze dzielnice i słynną 5-th Avenue, jak i przez murzyński, ubogi Harlem, złożył dziękczynienie za szczęśliwy przyłot w katedrze św. Patryka, odbył

rozmowę z prez. Johnsonem w hotelu Waldorf Astoria, przemawiał w ONZ i konferował z szeregiem mężów stanu, wreszcie odprawił Mszę św. w stadionie Jankesów, której wysłuchało 100.000 wiernych. Nie zatrzymując się na nocleg, niezamordowany Pielgrzym Pokoju powrócił do Rzymu, gdzie udał się zaraz do św. Piotra, celem wypowiedzenia mowy do zebranych Ojców Soboru.

Z trybuny Ogólnego Zebrania ONZ Paweł VI mówił nie jako władca ziemski, lecz imieniem religii, która „od dwudziestu wieków jest w drodze, od chwili gdy nam powiedziano „Idźcie i nieście dobrą nowinę wszystkim narodom“. Papież odwoływał się nie do interesów politycznych zebranych delegatów 117 państw, ale do sumień ich rządów oraz do całej ludzkości, wołał o pokój oparty na „sprawiedliwości, godności i prawa do życia, do wolności, do dobrobytu i postępu. Gmach, który wznosicie — mówił — nie może upaść, musi być ulepszony i dostosowany do wymogów historii. Jesteście wyrazicielami zasady, że stosunki między ludziami muszą być regulowane przez rozsądek, prawo i rokowania, a nie przez siłę, przemoc, gwałt, nie przez wojny, ani strach, ani oszustwa... Idźcie naprzód, starajcie się, aby znaleźli się tu również ci, którzy jeszcze nie uczestniczą w pakcie braterstwa...“

Życzenia Ojca św., aby powyższe cele były przez ONZ spełniane, brzmiały zarazem jak krytyka i stwierdzenie, że Narodom Zjednoczonym daleko jeszcze do tego. A wiemy przecież, że gwałt i przemoc towarzyszyły ich powstaniu w 1945 r. i tenże gwałt stosowany jest dalej przez komunistyczny totalizm wobec szeregu narodów i setek milionów ludzkich istnień, czyli głoszone oficjalnie ideały nie znajdują pokrycia w rzeczywistości. Krytyką wyraźną propagowanej zawzięcie przez ONZ kontroli urodzeń było wezwanie Ojca św., aby ludzkość używała postępu nauk dla poprawy i podnoszenia dobrobytu, zamiast „zastanawiać się jak dar życia ludzkiego ograniczyć“.

ZAGADKOWY ZAMACH STANU W INDONEZJI

Bezpośrednio przed wylotem Pawła VI do ONZ rozpoczął się, a podczas Jego pobytu w Nowym Jorku, rozwijał się krwawy i zagadkowy zamach stanu w Indonezji. Rozpoczęła go grupa oficerów pałacowej gwardii prez. Sukarno pod dowództwem nieznanego przedtem płk. Untunga, przywódcy „Ruchu 30 wrześ-

NIESPODZIANKI NA TERENIE ONZ

nia“ jak zamachowcy od daty swojego krwawego wystąpienia się nazwali.

Objęli oni początkowo stację radiową w Dżakarcie i świat dowiedział się, że prez. Sukarno znalazł się w swoim pałacu pod strażą, po czym rozeszły się pogłoski o jego zamordowaniu, a następnie radiostacja poinformowała znów, że zamachowcy zostali przez wojska rządowe przepędzeni. Z kolei rozeszły się wiadomości, że przed tym przepędzeniem zdołali oni wymordować kilkunastu generałów i ranili podobno ministra wojny gen. Nasutiona. Co gorsze i tragiczniejsze przy tym ostatnim zamachu, dokonany zapewne w prywatnym mieszkaniu straciły życie dwie nieletnie córki tego generała, co świadczyłoby o potwornym, odrażającym barbarzyństwie zamachowców.

W pierwszych dniach po zamachu nikt nie wiedział, gdzie przebywa Sukarno, choć nadano jego radiowo przemówienie o autentyczności początkowo wątpliwej. Potem indonezyjski dyktator odezwał się znowu z większą pewnością siebie, ujawniono że przebywa w jakiejś bazie wojskowej o 30 km. od stolicy i że sytuacja legalnego rządu się ustabilizowała, choć walki z niektórymi, zbuntowanymi oddziałami, m.in. lotnictwa dalej się toczą. Do chwili więc, gdy piszemy te słowa w początkach października, sprawa nieudałej rewolucji w Indonezji nie jest, ani zakończona, ani wyjaśniona.

TŁO I DOTYCHCZASOWE REZULTATY

Najbardziej prawdopodobne wydaje się, że tłem zamachu był fakt dwuznacznej, siedzącej na kilku stołkach, polityki Sukarno. Jak wiadomo, oscyłowal on między Zachodem a blokiem komunistycznym, w którego ramach znów — między Moskwą a Pekinem. Staral się też w stosunkach z zagranicą brać pomoc od wszystkich, a nie wiązać z nikim, podczas gdy władzę wewnętrzną opierał także na chwiejnej równowadze. Wygrywał przeważnie antykomunistyczną armię przeciwko blisko trzymilionowej, najsilniejszej w swoim kraju partii komunistycznej, lawirując także między oboma siłami i wyzyskując ponadto swoją osobistą pozycję trybuna ludu w inodonezyjskich masach. Ta ryzykowna gra, prowadzona już od wielu lat, stała się ostatnio tym trudniejsza, że powyżej 60-letni, starzejący się dyktator zaczął też poważnie chorować. Poddał się niedawno we Wiedniu operacjom i dało to jakoby podniecie do usunięcia go od rządów przez którąś z rywalizujących grup.

Zamachowcy płk. Untunga należeli podobno do zwolenników komunizmu i wymordowali generałów antykomunistycznych, chociaż kompartia — co jest zrozumiałe — po klęsce rewolucji, oficjalnie się ich wyparła. Kto w rezultacie zwyciężył, Sukarno czy też jakieś koła, którym musiał się podporządkować, lub z którymi co najmniej będzie musiał się bardziej liczyć, to się dopiero okaże. Tymczasem nie ulega wątpliwości, że zagrożenie ze strony, targanej wewnątrz sprzecznościami, Indonezji w kierunku Malezji i całej pld.-wschodniej Azji oraz Nowej Gwinei czy Australii, poważnie się zmniejszyło.

BREŻNIEW I KOSYGIN ZOSTALI

Sowiecy rzeczoznawcy zachodni, którzy od początku nie mogli darować następcom Chruszczowa jego usunięcia, pisali wiele o słabej rzekomo pozycji Breżniewa i Kosygina, o toczącej się na Kremlu walce i z okazji nadchodzących zjazdów partyjnych w Moskwie zapowiadali zmiany na szczytach Kremla. Kiedy prognozy te, jak zwykle, nie sprawdziły się uderzono w nutę odmienną i zaczęto z kolei zachwalać rządzącą parę i komentować wniesione przez nich projekty reorganizacji administracji gospodarczej, jako liberalizację i „dalszy krok w kierunku kapitalizmu“.

Nawiasem mówiąc, zachodnia socjologia powtarza taką piosenkę, mającą życzliwie usposabiać do Sowietów, przy każdym niemal posunięciu moskiewskiego rządu. Np. ostatnio zniesienie regionalnych „sownarchozów“ Chruszczowa i nawrót do centralnych ministerstw w Moskwie określono także, jako „liberalizację“ i zapomniano przy tym, że kiedy te „sownarchozy“ Chruszczow w 1957 r. wprowadzał, zachodnia socjologia wynosiła go pod niebiosa za tę „liberalizację“ i skończenie z totalnym centralizmem.

Teraz przywrócenie tegoż centralizmu ma być także liberalizacją i np. londyński „The Daily Telegraph“ skomentował reformy Kosygina w artykule wstępnym, pt. „Rosja wybiera wolność“, zaczynającym się od zdania, że Stalin musiał się z powodu nich przewrócić w grobie. W rzeczywistości ten główny punkt ostatniej reorganizacji sowieckiego aparatu gospodarczego powinien być raczej ucieszyć „staliniowców“, co potwierdziła też wiadomość, że do obrad nad tym nawrotem do dawnego centralizmu zaproszony został Mołotow, przez Chruszczowa za opozycję przeciw „sow-

narchozom“ usunięty z partii i uznany za przedstawiciela „grupy antypartyjnej“.

„LIBERALIZACJA“ I TON ANTYZACHODNI

Zachwalając ostatnie reformy, przedstawione wprawdzie plenium partyjnego komitetu centralnego a następnie Wierchohnemu Sowietowi, to do „demokratyczno-liberalnej“ jednogłośnie i bezkrytycznej akceptacji, prasa zachodnia główny nacisk położyła na rzekomo rewolucyjne wprowadzenie „ekonomicznych bodźców“ w postaci pozostawienia dyrektorom przedsiębiorstw państwowych do dyspozycji zysków z produkcji na jej doskonalenie pod kątem potrzeb konsumenta oraz na bonusy. Celem więc jest potaniecie i podniesienie do poziomu zachodniego wartości towarów, ale o tym deklamowało się w Sowietach od dawna, to zapowiadał najhałaśliwiej Chruszczow i chodzi o praktykę oraz realne następstwa reform, nie o szumne zapowiedzi. Nie może też być mowy o zbliżeniu do gospodarki prywatnej czy indywidualnej, ponieważ cały ten, dawno reklamowany „liberalizm“ dotyczy ma przedsiębiorstw dalej państwowych i służyć ratowaniu systemu komunistycznemu, a nie jej likwidacji.

„Zbiorowe kierownictwo“ pary Breżniew — Kosygin tymczasem przestrzega swego charakteru i kompetencji, premier więc wniósł administracyjne projekty reform, a sekretarz partii mówił o polityce międzynarodowej. Breżniew podkreślił złe stosunki ze Stanami Zjednoczonymi, które były za wojnę wietnamską głównym przedmiotem jego ataków, po czym szła W. Brytania, jako zbyt posłuszna Waszyngtonowi. Sekretarz partii sowieckiej zapewnił komunistów wietnamskich o dalszej pomocy i stwierdził, że Kreml będzie dalej dążył do jedności i harmonii w ruchu komunistycznym, chociaż — jak wyznał z żalem — nie spotkało się to dotąd z należyтым odzewem Pekinu. Ogólny ton mowy Breżniewa był, wbrew nadziejom zachodnich koegzystencjalistów, zdecydowanie antyzachodni i zwłaszcza antyamerykański, co wyraźnie zaprzeczyło niedawnym sugestiom socjologów, jakby zanosilo się na wskrzeszenie „czerwonego drutu“ Biały Dom — Kreml.

Dwudziesty trzeci kongres sowieckiej partii zapowiedziano na marzec 1966, czyli o sześć miesięcy później, niż przewiduje statut. Do tego czasu obecne kierownictwo spodziewa się widać przeprowadzić dostateczną reorganizację kadr partyjnych, nad którą pracuje Szeliepin przy pomocy szefa policji politycznej Semiczastnego.

Zdzisław Stahl

WRZEŚNIOWE ŚWIĘTO

TEGORÓCZNE święto żołnierza było obchodzone jako święto lotnika i przeniesione na wrzesień, czyli na miesiąc największego nasilenia Bitwy o W. Brytanię, w której lotnictwo polskie przed 25 laty rozstawiło imię tej najmłodszej broni na cały świat. Choć nad Anglią, lotnicy nasi, mierząc się z Niemcami, walczyli wówczas o Polskę, o rok wcześniej zaatakowaną i zajęta przez hitlerowsko-sowieckiego okupanta, więc dla nich była to nowa bitwa o Polskę. W tym samym duchu przymierza z W. Brytanią, lecz samodzielnej siły zbrojnej, obchodzili nasi lotnicy, wraz z innymi broniami i całą emigracją, 25-tą rocznicę walk z roku 1940-go.

Po koncercie A. Rubinsteina w piątek 17 września, po nabożeństwie i złożeniu wieńców pod pomnikiem w Northolt oraz przyjęciach dla brytyjskich i polskich towarzyszy broni dnia następnego, szczytowym punktem obchodu była masowa uroczystość w londyńskim Albert Hall'u, odbyta 25 września. Społeczność emigracyjna, czego nadziei daliśmy wyraz w poświęconym głównie polskiemu lotnictwu sierpniowym numerze „Orla Białego“, dała należyty odzew organizatorom obchodu i największą salę Londynu zapełniło pięć tysięcy naszych rodaków, przybyłych również ze wszystkich stron W. Brytanii, wraz ze sporą grupą gości brytyjskich.

Uroczystość rozpoczęło wejście na estradę, serdecznie powitanego gen. W. Andersa w mundurze, który po odegraniu hymnów wydał rozkaz wprowadzenia sztandarów. Sala uczyła przez powstanie dostojny korowód 36 pocztów sztandarowych, wracających kolejno na estradę i ustawiających się na niej półkolem. Jako ostatni i specjalnie powitany pojawił się sztandar lotników, niesiony przez kpt. B. Malinowskiego, jednego z czołowych naszych pilotów. Z kolei nastąpiły przemówienia.

IMIENIEM LOTNIKÓW

Pierwszy zabrał głos prezes Stowarzyszenia Lotników Polskich płk. pilot A. Gabszewicz, który zaczął od powitania gości i dalej mówił o święcie żołnierza polskiego, o święcie tych którzy okryli chwałą oręż polski i których hasłem było „Bóg, Honor i Ojczyzna“. W ostatniej wojnie — mówił płk. Gabszewicz — nowe karty historii zostały wypełnione. Armia — to kampania wrześniowa, to Westerplatte, to Narvik, to Tobruk, to Arnhem, to Falaise, to Monte Cassino. Marynarka — to Orzeł, to Piorun, to Sokół, to Grom i Błyskawica i także Westerplatte. Armia Krajowa — to walki przeciw

okupantom w Kraju, to bohaterskie Powstanie Warszawskie. Lotnictwo — to obrona Kraju, to bitwa o W. Brytanię, to walki nad Kanalem i morzami, nad Afryką, Belgią, Francją, Holandią i Niemcami. To loty nad Warszawę z pomocą dla Powstańców.

Dziś społeczeństwo polskie na obczyźnie, tu w Anglii i na całym świecie czci pamięć poległych i czci karty historii — lotnictwa, bo dziś jest 25-ta rocznica Bitwy o Wielką Brytanię. Bitwa, która została wygrana przez Królewskie Lotnictwo, w której poczytny udział brali Polacy, bo co 8-my pilot w tej bitwie był Polakiem.

SURSUM CORDA

Korzystając z dzisiejszej okazji składam najlepsze życzenia i wyrazy głębokiego uznania Królewskiemu Lotnictwu, z którym przeżycia i wspólne niebezpieczeństwa złączyły i zbrały nas, a to Królewskie Lotnictwo reprezentują tutaj obecny Air Chief Marshal Sir Hugh Lloyd.

Polskie Siły Zbrojne spełniły swoje zadanie, spełniły je dobrze, może bardzo dobrze. Ale — chociaż wojna skończyła się już dawno — wędrówka polskiego żołnierza trwa. Nie z naszej winy obchodzimy dzisiejsze święto nie w krainie ojców naszych...

Dziś tu na tej sali jesteśmy złączeni. Złączeni z myślą o przyszłości. W przededniu Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej „w bratniej zgodzie, ramię w ramię, dłoń w dłoń walczyć będziemy bez ustanku o lepsze jutro Polski i Polskiego Narodu“. Tak właśnie głosi deklaracja ideowa Stowarzyszenia Lotników Polskich, którego mam zaszczyt być prezesem.

Niech nam Bóg miłosierny doda sił, abyśmy trwając w naszych postanowieniach wywalczyli nasze prawa — byśmy ujrzeni w niedalekiej przyszłości Wolność i Niepodległość Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

Rodacy — „Sursum Corda“.

„TYCH NIEWIELU — SPOŚRÓD NIEWIELU“

Następnym mówcą był brytyjski gość, marszałek lotnictwa Sir Hugh Lloyd, który przypomniał rolę, jaką w Battle of Britain odegrało lotnictwo polskie. „Nikt z żyjących dzisiaj nie zapomni grupy ludzi określanych mianem „The Few“ — „Tych niewielu“. Składając im hołd wspominam dziś specjalnie jeszcze mniejszą grupą wśród „Tych niewielu“ — lotników

polских, którzy walczyli u boku W. Brytanii.

„Sytuacja była krytyczna, brakowało nam samolotów. Gdy lotnictwo niemieckie rozpoczęło atak, nikt nie mógł powiedzieć, czy przetrwamy. Przyszli nam z pomocą Polacy. Przez Karpaty, Węgry, i Jugosławię, przez Francję dotarli w czerwcem 1940 roku do jednego wówczas wolnego kraju — Wielkiej Brytanii.

„W czasie najbardziej zaciętej walki, gdy potrzeby nasze były największe, otrzymaliśmy najcenniejszą pomoc — wyszkolonych i zaprawionych w walce lotników polskich. Odważni, twardzi piloci walczyli o te wyspy tak, jakby bronili swego własnego kraju. Nie mniej niż 14 eskadr polskich walczyło na wszystkich frontach i brało udział we wszystkich rodzajach operacji.

„Wspominając tamte czasy: brak rezerw, brak wyszkolonych załóg, brak samolotów i nasze otwarte miasta, myśleliśmy jak wielki jest nasz dług wdzięczności wobec lotników polskich, wobec Polaków.“

Z kolei zabrał głos gen. W. Anders, który na wstępie zwrócił się po angielsku do brytyjskiego przedmówcy i podziękował mu imieniem polskim za jego serdeczne słowa, tym cenniejsze, że powiedział je słynny w ostatniej wojnie obrońca Malty, wybitny żołnierz i lojalny nasz, po ostatnie czasy, przyjaciel.

Kierując się następnie po polsku do zebranych tysięcy rodaków, gen. Anders zaczął od wskazania na najważniejsze fakty naszej tysiącletniej historii, na Grunwald, zwycięstwo Stefana Batorego i zdobycie w 200 lat po Grunwaldzie — Moskwy, dalej na czasy „potopu“, kiedy obrona Jasnej Góry pobudziła ducha narodu do zwycięskiej obrony, wreszcie na odsiecz wiedeńską i tryumf Jana III nad Turkami. Po okresie rozbiorów, do których imperializm ościennym otworzyła drogę wewnętrzną anarchia, przyszły zryw powstańczy i odzyskanie po 125 latach niepodległości:

DZIEDZICTWO TYSIĄCLECIA

„Tysiącletnie dziedzictwo wiary chrześcijańskiej, najgłębsze umiłowanie wolności i z pokolenia na pokolenie przekazywane tradycje walk żołnierza polskiego sprawiły, — mówił gen. Anders — że kiedy nadszedł koniec pierwszej wojny światowej „Naród nasz stanął od razu do pracy i walki o osiągnięcie i zabezpieczenie wolności. Państwa zachodnie tym razem poru-

ŻOŁNIERZA — LOTNIKA

szone deklaracją prezydenta Stanów Zjednoczonych, Wilsona, uznały niepodległość Polski, ale daleko jeszcze było do zabezpieczenia tej wolności. Dopiero w roku 1920, kiedy żołnierz polski pod naczelnym dowództwem Józefa Piłsudskiego, przy poparciu całego narodu rozgromił najezdnicze armie sowieckie — wtedy dopiero stworzony został byt niepodległy Polski i całej Europy, na lat dwadzieścia, aż do zbrodniczego napadu Niemców hitlerowskich i Rosji Sowieckiej, będącym w ścisłym sojuszu.

Ponieśliśmy klęskę. Części żołnierzy udało się wydostać na Zachód. We Francji sformowane zostały nowe podstawy wojsk polskich, a w kraju zajętym przez wroga przystąpiono niezwłocznie do organizacji później tak wspaniale toczonych przez Armię Krajową zbrojnego oporu. Polska przez podjęcie obrony i walk wrześnieowych dała aliantom swoim: Francji i W. Brytanii, bezcenne miesiące czasu dla przygotowania obrony przed nieuknionym z kolei atakiem wojsk niemieckich na kraje Europy zachodniej.

HISTORYCZNA BITWA

Biły się nasze oddziały w Norwegii, biły się we Francji, aż wreszcie po zalaniu przez armie hitlerowskie całego niemal kontynentu Europy zachodniej, Niemcy zdecydowały się uderzyć na Anglię i pokonać ją na jej własnej ziemi. Następuje historyczna bitwa w powietrzu o Wielką Brytanię. Nasi lotnicy, którzy pierwsi rozpoczęli, w niezwykłych ciężkich warunkach, walkę z lotnictwem niemieckim nad polską ziemią, a potem przystąpili do swych zadań we Francji, teraz, w sierpniu 1940 roku, gotowi już byli do wzięcia udziału w obronie Anglii. Dzisiaj wiemy, jak znaczną część ciężaru walki w bitwie o Wielką Brytanię wzięli na siebie piloci polscy. Co ósmy pilot był Polakiem, a że obrońcy Wysp Brytyjskich zmuszeni byli prowadzić walki powietrzne do ostatnich granic wytrzymałości materiału ludzkiego i zasobu samolotów — dzisiaj wiemy, że zwycięstwo nad Niemcami w tej bitwie powietrznej wisało na włosku. Udział pilotów polskich na pewno przyczynił się do przechylenia szali zwycięstwa na korzyść Anglii i świata wolnego. Bohaterstwo każdego z lotników polskich stało się przedmiotem uznania i podziwu wszystkich. Wśród wszystkich walczących formacji, zarówno polskich jak i brytyjskich, nasz dywizjon 303 największą osiągnął sławę.

BIEG WOJNY WYGLĄDAŁBY INACZEJ ...

Gdyby ta bitwa nie była wygraną, dalszy bieg wojny wyglądałby zupełnie inaczej. Odrzucenie i pobicie lotnictwa niemieckiego nie tylko uniemożliwiło hitlerowcom zajęcia Wysp Brytyjskich, ale wykrawało ich do tego stopnia, że jeszcze następnego roku, w ataku na Rosję Sowiecką, Niemcy w pierwszej linii miały o 700 samolotów mniej, aniżeli w ataku wrześnieowym na... Polskę.

Lotnictwo polskie na zachodzie działało w dalszym ciągu wspaniale do ostatniego dnia drugiej Wojny Światowej. Długą i bolesną jest lista strat, szczególnie dotkliwych w okresie działań bombardujących nad Niemcami. Wielkie są zasługi lotnictwa, podnosiło ono na duchu ujarzmiony naród w Kraju, było przedmiotem dumy Polaków wszędzie tam, gdzie się znajdowali, niosąc imię lotnika polskiego pomiędzy narody świata całego.

HOŁD LOTNIKOM

My, żołnierze polscy, zachowujemy wraz z całym Narodem, wdzięczność dla naszych kolegów lotników. Wiemy i pamiętać będziemy, że byli oni ciągle w pierwszym ogniu walki o wolność Polski, tej samej którą toczyły nasze siły lądowe i nasza Marynarka Wojenna. O tej walce naszej wspólnej nigdy nie zapomnimy. Czerpać z niej będziemy wiarę, że przyniesie ona wynik przez cały Naród upragniony: wolność, całość i niepodległość Rzeczypospolitej.

Wypowiadając słowa: „składam hołd Sztandarowi Lotników“ — generał Anders zwrócił się w stronę Sztandaru i oddał mu ukłon wojskowy.

KONCERT ORKIESTRY RAF — WIDOWISKO LOTNICZE

Po zejściu, uroczyste pożegnanych pocztów sztandarowych z estrady i po przerwie, następnym punktem programu był koncert orkiestry Bryt. Lotnictwa Królewskiego pod batutą Wing Commandera J. L. Wallace'a, poświęcony utworom polskim w układzie angielskich muzyków: Polonez Ogińskiego — J. A. Kappey'a, Menuet Paderewskiego — W. J. Duthoit'a i Polska Rapsodia, czyli wieniec naszych pieśni ludowych — A. S. Sims'a. Doskonale wykonane i dobrze odczute polskie kompozycje nagrodziła publiczność długotrwałymi, burzliwymi oklaskami.

Na trzecią część programu, którą było „Widowisko Lotnicze“ F. Konarskiego (Ref-Rena), złożył się szereg pun-

któw muzycznych i tanecznych, ujętych w ramy okolicznościowego dialogu dwu lotników, polskiego (E. Chudzyński) i angielskiego (M. Kiersnowski.) Wzięli w nim udział: Dziewczyna polska — S. Horwatówna, Warszawianka — Weronika Bell, Gazeciarz — R. Ratschka, Lotnik — C. Grocholski, Góral — W. Broda, Baga — L. Lawiński, Dziadzio — J. Bzowski, Wnuczka — R. Paluchówna, Pilot z Bitwy o W. Brytanię — B. Malinowski, Młode Pokolenie — Harcerki i Harcerze oraz Brygadowe Koło Młodych „Pogoń“. Ponadto uczestniczyły następujące zespoły: taneczny SLP „Tatry“ pod kierunkiem B. Bojanowskiej i połączone chóry Akademicki, im. Szymanowskiego i Parafialnego Devonian pod H. Hosowiczem. Reżyserem całości był S. Zięciakiewicz, dekoracje — J. Smosarskiego, światła — F. Stawińskiego, organizacja — B. Kollera.

Przedstawienie na otwartej ze wszystkich stron estradzie Albert Hall'u, nie posiadającego ponadto zbyt dobrej akustyki, nastęcza rozmaite trudności, które nie w każdym wypadku zostały tym razem rozwiązane. Anglo-polski dialog lotników nie zaznaczył się dość wyraźnie, a zakończeniu — nad którym nie można było zapaść kurtyny — brakło mocniejszego akcentu. Najlepiej wypadły numery taneczne i muzyczne, które publiczność nagradzała też najgorętszymi oklaskami.

* * *

Ze strony brytyjskiej święto lotnictwa polskiego w 25-lecie Bitwy o W. Brytanię zostało potraktowane niejednolicie. Z koleżeńską serdecznością przez wojskowe koła RAF'u, którego przedstawiciele wzięli należyty udział w uroczystościach, podczas, gdy prasa przemilczała je niemal zupełnie. Brytyjski sekretarz spraw zagranicznych Stewart był podówczas z wizytą w Warszawie i tłumaczono się podobno nieoficjalnie obawą o podrażnienie tamtejszych komunistów. Niewiele to pomogło, bo zaatakowali oni wobec tego Londyn właśnie za to przemilczenie.

O wielkim powodzeniu święta Żołnierza-Lotnika zdecydowała jednak sama społeczność uchodźcza, która na rzucone hasło odpowiedziała serdecznym i powszechnym odzewem. Wbrew niektórym sugestiom, jakoby emigracyjny ogół zapomniął o swojej ideowo-politycznej racji pozostawania poza krajem i przekształcił się w emigrację zarobkową, wrześnieowe święto zaśwadiło o czymś przeciwnym. Najżywszy oddźwięk pięciu tysięcy słuchaczy w Albert Hall'u wywołały słowa, stwierdzające naszą wierność idei niepodległości i wolę dalszej pracy dla tego nadrzędnego celu. (a)

ZŁUDZENIA PANA MOCZARA

(Dokończenie ze str. 1)

Cieężko zdobywane dewizy — jakże potrzebne dla kraju — władze komunistyczne wydają na likwidację tak zwanego „upolitycznienia“ Polaków na Zachodzie. W myśl zasady, że „Polonii“ wolno być tylko emigracją zarobkową. Opłacają setki dywersantów i finansują różne gadzinówki w każdym kraju, gdzie istnieje większe skupiska Polaków.

Robiąc bilans dwudziestoletnich wysiłków, zmierzających do rozbitcia emigracji, władze komunistyczne musiały same dojść do wniosku, że metody te zawiodły. Przekonano się, że emigracja polityczna na Zachodzie jest poważną przeszkodą w utrwaleniu dyktatury komunistycznej w Kraju. Toteż od blisko roku jesteśmy świadkami nowej, podejmowanej z ogromnym hałasem i dużym nakładem środków finansowych, ofensywy przeciw nam skierowanej.

Główne natarcie idzie tym razem przeciw polskim niepodległościowym organizacjom kombatanckim ze Stowarzyszeniem Polskich Kombatantów na czele. Uderzenie wymierzone jest więc bezpośrednio w pierwszą linię obrony, w zorganizowaną społeczność żołnierską, która stanowi na emigracji najbardziej zwarty i dynamiczny, świadomy swych zadań element.

Przewodzi tej akcji nie byle kto, bo sam szef bezpieczeństwa minister spraw wewnętrznych, Moczar. Występuje on na zmianę w charakterze prezesa organizacji byłych żołnierzy, tak zwanego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Po bankructwie wysiłków „Polonii“ i jej przybudówek, po kompromitacji PAX-u przychodzi pan Moczar ze swoim aparatem tajnej policji. Ciekawe jakie są jego kwalifikacje na to stanowisko? Czy może znana jego przeszłość jako szefa U.B. w Łodzi, kiedy to między innymi zlikwidował setki byłych żołnierzy Armii Krajowej? Połączenie funkcji prezesa ZBoWiD-u i szefa policji w jednej osobie ma zapewne ułatwić pracę.

Do pomocy dobrał sobie pan Moczar byłego dowódcę armii utworzonej w czasie wojny, generała Berlinga, mianując go prezesem „Komisji dla współpracy z Polonią Zagraniczną“. Niestety trudno spodziewać się, aby generał Berling zainteresował się rzeszą Polaków przetrzymywanych dotychczas w obozach pracy i miejscach przymusowego osiedlenia w Związku Sowieckim. Inni pomocnicy Moczara to wieloletni więźni UB generał Skibiński, komendant milicji generał Pietrzak, Włodzimierz Lechowicz, który jest jednocześnie wice-

prezesem komunistycznej Międzynarodowej Federacji byłych Uczestników Ruchu Oporu z siedzibą w Pradze, Żukrowski z PAX-u.

Pamiętamy wszyscy, że kiedy niektórzy dzisiejsi bliscy współpracownicy pana Moczara, siedzieli w więzieniu, obecny ich prezes należał do grupy oprawców, gnębił byłych Akowców i żołnierzy wracających z Zachodu do Polski. W Kraju Moczar w pogoni za popularnością rozpoczął na szeroką skalę tak zwaną ochotniczą akcję werbunkową, przyznając prawo należenia do ZBoWiD-u również osobom, które z wojskiem nie miały nic wspólnego, chcąc w ten sposób przy pomocy tej organizacji rozszerzyć swą bazę operacyjną.

Przypomniano sobie weteranów z okresu przed pierwszą wojną światową i dziś po dwudziestu latach rządów komunistycznych podwyższą się im głodowe emerytury. Narzuca się pytanie czy przywilejami tymi objęte zostaną również np. wdowy po zamordowanych w Katyniu. Dopiero dzisiaj p. Moczar, dla wzmocnienia swojej pozycji w rozgrywkach wewnętrznych w partii zabiega o względy byłych żołnierzy, obiecując im poprawę bytu, domy wypoczynkowe i hojnie szafując orderami.

Przysłowie mówi, że lepiej późno niż wcale. Choć nie wierzymy, aby polepszenie warunków życia objęło wszystkich byłych żołnierzy, radzi jesteśmy, że choć niektórzy Koledzy w Kraju skorzystają z tych przywilejów. Ciemną stroną tych poczynań pozostanie fakt, że następuje to tak późno; a okoliczność, że podejmuje tę akcję właśnie teraz szef tajnej policji ma swoją wymowę. Okazuje się, że z rosnącym rozgoryczeniem mas byłych żołnierzy jednak liczyć się trzeba.

Jeżeli chodzi o emigrację, to idą w świat apele, ubrane w wielkie hasła patriotyczne, o nawiązanie łączności, o wymianę myśli i poglądów, o wspólne organizowanie obchodów rocznic wojskowych, o wymianę informacji i dokumentacji historycznej i tak dalej.

Pisze się i mówi ciągle przy tej okazji o znanych nam dobrze okropnościach niemieckich w okresie ostatniej wojny. Naturalnie ani słowem nie wspomina się o zbrodniach Rosji, o łagrach na dalekiej Syberii i piwnicach polskiego U.B.

Akcję rozpoczęto od wysłania do niektórych krajów zwiastunów współpracy, fachowców od nawiązywania kontaktów z emigracją.

Co pozwala panu Moczarowi ludzię się, że żołnierz, lotnik i marynarz polski, lub żołnierz Armii Krajowej, po tylu odstrasżających doświadczeniach zmienił swe poglądy?

Polskie ośrodki emigracyjne, a w szczególności organizacje byłych żołnierzy nadal domagają się będą prawdziwej wolności narodu, pełnych swobód demokratycznych i sprawiedliwości społecznej, poszanowania godności człowieka. Na nic się zdadzą zakłamanie apele i obietnice sielankowej współpracy. Zawiodą również próby maskowania przepaści, jaka dzieli naród od rządzących nim ludźmi. Zachowujemy serdeczną więź z narodem, natomiast będziemy nadal walczyć z partią komunistyczną, która jest tego narodu ciemięzycielem.

Roczna prawie działalność ZBoWiD-u, jeżeli chodzi o emigrację, dała wyniki równe zeru. Z tego zapewne zdaje sobie sprawę i pan Moczar i jego funkcjonariusze. Niewypałem okazała się metoda wysyłania do nas oficjalnych delegacji, jak to miało miejsce na przykład w Belgii, Francji, czy Wielkiej Brytanii. Opracowano więc nowy system polegający na wysyłaniu nieoficjalnie pojedynczych osób, które mają na emigracji kolegów i znajomych z dawnych czasów. Innymi słowy akcja prowadzona jest obecnie po innej linii — kolega do kolegi. Tych „kolegów“ z Kraju łatwo rozszyfrujemy.

Jak dotychczas, tak i obecnie nie damy się nabrać na piękne słowa, wiemy bowiem co się kryje za tymi zaproszeniami do rozmów na niewinne na pozór tematy.

Będziemy przy każdej sposobności, wykorzystując wszystkie środki, domagać się powrotu wszystkich Polaków przebywających ciągle jeszcze w Rosji, gdzie wykonują pracę niewolniczą w nieludzkich często warunkach. Będziemy się domagać:

— ujawnienia w Kraju prawdy o zbrodni sowieckiej w Katyniu i uczczenia tych ofiar pomnikami na terenie Polski;

— zaniechania prześladowania Kościoła i przywrócenie swobody nauki religii;

— dopuszczenia do Kraju polskiej prasy emigracyjnej;

— zniesienia kontroli korespondencji prywatnej oraz zaniechanie prób wykorzystania pobytu Polaków z zagranicy w Kraju w celu wymuszania informacji szpiegowskich;

— zniesienia cenzury prasy i wydawnictw, oraz zaniechania szykan w stosunku do pisarzy i dziennikarzy w Kraju.

Oto nasza odpowiedź panom spod znaku ZBoWiD-u, którzy by chcieli wykorzystywać polskie organizacje byłych żołnierzy na Zachodzie dla swych własnych celów, nie mających nic wspólnego z dobrem narodu.

Stanisław Lis

KONFLIKT SOWIECKO-CHIŃSKI

(1)

— Podłoże, stopień, nasilenie, skutki —

NA WIOSNĘ 1966 roku, Sowiety i Chiny ludowe obchodzić będą dziesięciolecie swej zimnej wojny, która w tym okresie przeszła raczej do fazy wojny rozgrzanej. Wojnę tę, jak można osądzić z rezultatów ostatnich dziewięciu lat, wygrywają Chiny. W dziedzinie politycznej poderwały one znaczenie Sowietów jako ośrodka światowego ruchu komunistycznego. Zdołały rozbić partie komunistyczne w świecie na dwa odcłamy, pro-sowiecki i pro-chiński, a od pewnego czasu, penetrują na równych prawach, kraje gospodarczo nierozwinięte, gdzie usiłują pozbawić Sowiety zdobytych wielkim kosztem wpływów.

Zimna wojna przybrała przeto charakter globalny i przeniosła się na tereny, na których władza polityczna i struktura gospodarcza znajdują się wciąż jeszcze w fazie konsolidacji. Ten właśnie brak konsolidacji usiłują zarówno Sowiety jak i Chiny wykorzystać dla osiągnięcia własnych celów i zorganizowanie przede wszystkim silnej partii komunistycznej, złożonej z elementów wyrotowych, wychowywanych w Rosji lub Chinach i zdobywaniem spośród dzisiejszych elementów, będących u władzy, jednostek, którym obiecuje się pozostanie przy władzy na wypadek, gdyby obecna konstelacja polityczna uległa zmianom.

Jakkolwiek Sowiety i Chiny różnią się w swej strategii, ostatecznym celem jednej i drugiej strony jest rewolucja, o której Chou En-lai, w czasie swojej wizyty do Afryki, w 1963 roku, może nieostrożnie i za wcześnie się wygadał, gdy oświadczył, że kraje afrykańskie „dojrzały już doskonale do rewolucji“.

W tej akcji, której przyswieca ten sam cel, można jednak dostrzec pewną różnicę. Podczas, gdy Sowietom chodzi przede wszystkim o obalenie rządów pro-zachodnich, w strategii chińskiej leży jeszcze dodatkowo element rasowy: całkowite usunięcie z tych terytoriów białego człowieka.

JAK DOSZŁO DO SPORU?

Dzisiejsi władcy nowopowstałych państw, podłoża ideologicznego konfliktu sowiecko-chińskiego albo nie znają, albo zainteresowani w płynących z dwóch źródeł korzyści go ignorują. Stąd, niezależnie od stopnia konfliktu Sowiety i Chiny usiłują pokryć straty poniesione na skutek klótni, zdobywaniem wpływów w Azji, Afryce i Ameryce Łacińskiej dla przyspieszenia wspólnego celu: rewolucji światowej.

W lutym 1956 roku odbył się w Moskwie XX Zjazd sowieckiej partii komunistycznej, na którym Chruszczow potępił kult jednostki w okresie Stalina, a jednocześnie nakreślił nową linię działania światowego ruchu komunistycznego, opartej na polityce pokojowego współistnienia z krajami o odmiennej strukturze politycznej i gospodarczej. Zmiana oznaczała na pierwszym miejscu zmianę polityki wobec Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Nakreślając nową linię polityczną, Chruszczow tym samym podkreślił dominujące stanowisko sowieckiej partii i jej uprawnienia wydawania wszystkim partiom komunistycznym odpowiednich dyrektyw, które miały obowiązywać również i partię chińską bo, jak twierdził Chruszczow, partia sowiecka reprezentuje linię ideologiczną, nakreśloną przez Marksa i Lenina.

Tu jednak Chruszczow spotkał się z wyrażonym sprzeciwem delegatów Chin ludowych, gdzie po śmierci Stalina, Mao Tse-tung uważał siebie samego za jedyne, pozostałego przy życiu, seniora całego światowego ruchu komunistycznego.

W kilka miesięcy później Sowiety znalazły się w niezwykle trudnej sytuacji z Węgrami i Polską. Tu Chiny poparły zbrojną interwencję sowiecką na Węgrzech, ale odmówiły poparcia podobnej interwencji w Polsce, co należy tłumaczyć, w pewnej mierze, wizytą Ochaba w Pekinie.

Widocznie jednak nastroje antysowieckie zaczęły przybierać na sile, bo oto w dniu 18 czerwca 1957 roku „Nowa chińska agencja informacyjna“ nagle potępiła jako absurdalne i pochodzące z prawicowo-nacjonalistycznego źródła, oświadczenia Lung Yuna, wiceprzewodniczącego centralnego komitetu Ligi Demokratycznej i członka Rady Obrony Kraju, który jako pierwszy dał wyraz nastrojom, nurtującym wśród członków chińskiego Frontu Narodowego. „Jest rzeczą niesłuszną — wołał publicznie Lung Yun — aby Chiny musiały ponosić wszystkie koszty pomocy, udzielone Korei, opierającej się ingerencji Ameryki. Już bowiem wcześniej armie sowieckie ‘wyszabrowały’ północno-wschodnie Chiny. Pomoc sowiecka pochodziła głównie z pożyczek, a przeciw Chiny, pomagając Korei, walczyły o socjalizm. Teraz, co najmniej przez dziesięć lat zmuszone będą spłacać tę ‘pomoc’ Sowietom swoim eksportem“.

Rozmiar pomocy udzielonej przez So-

wiety Chinom nie da się dokładnie określić, bowiem wszystkie transakcje między obu krajami stanowiły strzeżoną ściśle tajemnicę i dopiero spór ujawnił pewne, sprzeczne ze sobą cyfry, podawane przez skłócone strony.

Tak np. *Prawda* z 3 kwietnia 1964 roku, cytując sprawozdanie Susłowa, przedłożone centralnemu komitetowi w dniu 14 lutego 1964 r. twierdziła, że pomoc, udzielona Chinom w różnych formach, osiągnęła sumę 2 miliardów dolarów. Chińczycy ze swej strony oświadczyli, że cała pomoc wynosiła tylko 1,6 miliarda a „księgowo“ tylko 790 milionów dolarów, udzielonych im wyłącznie w formie pożyczek. Różnicy około 1,2 milionów dolarów, ani Susłow ani Chińczycy nie wyspecyfikowali.

SPÓR PRZYBIERA CHARAKTER EKONOMICZNY

W 1958 r. Chiny, wbrew radom sowieckim, wprowadzili w życie drugi, pięcioletni plan gospodarczy (1958—1962). Pierwsze dwa lata, znane pod nazwą „długiego skoku“, zakończyły się, jak wiadomo, niepowodzeniem, zarówno w rolnictwie jak i w zamierzonej produkcji stali. Nie zdały egzaminu „komuny“ w rolnictwie i „podwórzowe“ huty stali, które przetopiły prawie każdy, posiadany kawałek żelaza.

Plan „długiego skoku“ był pomysłem czysto chińskim, ale stanowił jednocześnie pierwszą otwartą opozycję przeciw mieszaniu się Sowietów do ich spraw gospodarczych, które, zdaniem Chin, wprawdzie udzielały im pomocy, jednak z wyrażnym celem kierowania całą gospodarką Chin, nie wyłączając sił zbrojnych.

A pomoc sowiecka, trzeba przyznać, była dla nowych Chin, wcale niemała, bo objęła wybudowanie około 200 obiektów przemysłowych, np. dla produkcji cyny, rozbudowę zakładów energetycznych, fabryki budowy traktorów i gumy syntetycznej. Do tego Sowiety dostarczyły Chinom cztery reaktory atomowe.

Drugi rodzaj pomocy polegał na dostarczeniu Chinom około dziesięć tysięcy różnych specjalistów, przyjsięcie na praktykę takiej samej ilości inżynierów i techników chińskich oraz przyjęciu na uczelnie sowieckie około jedenaście tysięcy studentów.

Toteż, gdy w 1958 roku, bez porozumienia się z Sowietami, Chiny wprowadziły swój drugi plan gospodarczy,

Chruszczow nakazał wycofanie z Chin specjalistów sowieckich, wstrzymanie budowy wielu obiektów i zabranie przez powracających techników wszystkich planów rozbudowy przemysłowej Chin. Jak ogłosił w 1960 roku Chou En-lai, Sowiety zerwały jednostronnie 343 kontrakty oraz uniemożliwiły rozbudowę względnie wykończenie 257 zakładów przemysłowych. Wstrzymano jednocześnie wszelkie dostawy maszyn i instalacji, potrzebne do uruchomienia obiektów gotowych.

SPÓR PRZERZUCA SIĘ NA INNE DZIEDZINY

W okresie następnych czterech lat, spór nie tylko się załagodził ale przeciwnie przybrał na sile, głównie przez wysuwanie, tym razem, warunków przez same Chiny. Polepszanie stosunków miało wyprzedzić wyklęcie przez Sowiety, zdrajcy ruchu komunistycznego, Tity, oraz pójście przez Chruszczowa do Canossy, tj. do Albanii.

Jednocześnie dano Sowietom do zrozumienia, że Chiny nie zrezygnowały z prowincji nadmorskich, zaanektowanych przez rządy carskie oraz z rektyfikacji granic w prowincji Sinkiang. Obie strony zaczęły mijać na siebie nowymi oskarżeniami. Sowiety zarzucały Chinom ruchy wojskowe na tych pograniczach oraz działalność kartografów. Mnożyły się zarzuty o złym traktowaniu obywateli sowieckich przez chińskich kolejarzy.

Chiny ze swej strony zarzucały Sowietom organizowanie na tych terenach sabotażystów, zaś w czasie inwazji chińskiej do Indii, oskarżyły Sowiety, że działa indyjskie, które strzelały do żołnierzy socjalistycznych Chin, były pochodzenia sowieckiego. Na to *Izwiestia* z 22 września 1963 r. usiłowały przypomnieć Chinom, ile to działań dostarczyły Sowiety Chinom i że bez pomocy Sowietów, Chiny w ogóle nie byłyby w stanie rozpocząć jakiegokolwiek akcji zbrojnej. Tu Sowiety miały widocznie na myśli te kwoty, które pozostały do rozrachunku z pomocy dwóch miliardów dolarów.

Jednak spór przybrał formę niesamowitą, gdy Sowiety zarzuciły Chinom istnienie na ich terenie obozów pracy przymusowej, na których więźniowie uprawiają opium, którego produkcja przynosi Chinom 500 milionów w walutach zagranicznych. Tak więc uprawą i sprzedażą opium zatruwa się stosunki sowiecko-chińskie.

Częste podkreślanie przez Sowiety rozmiarów pomocy, udzielonej Chinom, spotkało się ze strony chińskiej... z przytoczeniem cyfr pomocy, jaką Sowiety udzieliły innym satelitom. Między innymi ujawniono, że w okresie między 1945 a 1962 pomoc ta urosła do sumy

6,6 mliardów dolarów, z czego sama tylko Mongolia otrzymała 660 milionów a Niemcy wschodnie 1,4 miliarda dolarów. Chińczycy wskazywali również na Polskę, Czechosłowację i Wietnam północny, który spadł głównie na ich barki.

Innym argumentem wytoczonym przez Chiny były wygórowane ceny za produkty sowieckie, znacznie wyższe, od cen na rynkach światowych oraz przytoczyły przykłady transakcji sowieckich z Polską, Rumunią i północną Koreą. Tu Sowiety przyznały, że przed 1953 r., tj. w okresie Stalina, były pod tym względem dyskryminacje „związane z kultem jednostki“, ale Chiny uporzeczyły twierdziły, że w braku walut zagranicznych zmuszone były płacić te wysokie ceny, jako dodatkowy haracz, co Sowiety nazywały braterską pomocą.

* * *

Dyskusja na temat pomocy sowieckiej w postaci planów, głównie zaś przez specjalistów sowieckich nie była pozbawiona i typowo złośliwego chińskiego humoru. Tak np. w piśmie skierowanym przez Centralny Komitet partii chińskiej do Centralnego Komitetu partii sowieckiej w dniu 29 lutego 1964 r., Chińczycy oświadczyli, iż „kierując się zasadami międzynarodowej, wzajemnej pomocy, między państwami bloku socjalistycznego, partia chińska, głęboko zaniepokojona obecną sytuacją gospodarczą Związku Sowieckiego, gotowa jest dopomóc Sowietom przysłaniem ekspertów“.

PRÓBY USUNIĘCIA CHIŃSKICH SCHIZMATYKÓW Z MIĘDZYNARODOWEGO RUCHU KOMUNISTYCZNEGO

Od 1960 r., przez okres następnych dwóch lat jesteśmy świadkami prób, pogodzenia dwóch skłóconych, bratnich partii komunistycznych, które jednak rozbiły się o stanowcze stanowisko Chin, które jako pierwszą cenę zgody domagały się głowy Chruszczowa. Między innymi na Zjeździe konsultatywnym 81 partii w Moskwie, wysunięty został projekt utworzenia dyrektoriatu sowiecko-chińskiego, jako instancji kierującej światowym ruchem komunistycznym. Obu stronom miało być przyznane prawo weta. Chińczycy zgodzili się na prawo weta dla siebie, odmówili jednak tego prawa Sowietom. Zerwanie przez Sowiety stosunków dyplomatycznych z Albanią, spór tylko jeszcze zaostrzyło. Ponadto Chiny oświadczyły, że wysunięty przez Sowiety na 21 Zjeździe partii program przejściowego okresu od socjalizmu do komunizmu wcale ich nie wiąże, ponieważ Chiny osiągnęły już prawie stopień struktury komunistycznej.

Na dalsze zaostrzenie konfliktu wpłynęła sprawa Kuby i kompromisowe załatwienie grożącego konfliktu światowego, jeśli nie wojny, między Sowietami a Ameryką. Jednak próby przeciągnięcia Fidela Castro jako sojusznika Chin zawiodły. Castro doszedł bowiem do wniosku, że oparcie się o Sowiety i ich uprzemysłowionych satelitów bardziej popłaca.

Z drugiej strony, próby Chruszczowa zwołania światowej konferencji partii komunistycznych, na której zamierzał usunąć schizmatyków chińskich z tego ruchu, natrafiły na zastrzeżenia Gomułki i Kadara, a wreszcie na sprzeciw Togliatti'ego, zawarty w jego testamentem politycznym.

Rezultatem tych prób była konferencja delegatów 26 partii komunistycznych zwołana do Moskwy 30 lipca 1964 roku, na której postanowiono wybrać komisję do opracowania też na światową konferencję. Jednak tezy miała komisja przedłożyć wpięć na nowym posiedzeniu, którego datę ustalono na dzień 15 grudnia 1964 r., zaś datę samego Zjazdu światowego przewidziano na pierwszą połowę 1965 r., bez określenia dokładnego dnia.

W październiku 1964 roku usunięto Chruszczowa ze stanowiska pierwszego sekretarza partii sowieckiej, zaś Breżniew i Kosygin postanowili kontynuować przygotowania dla zwołania światowego Zjazdu wszystkich partii komunistycznych. W dniu 12 grudnia 1964 r. *Prawda* doniosła, że pierwsze posiedzenie komisji, której powierzono opracowanie też na zjazd zostanie zwołane w dniu 1 marca 1965 r. Na tym posiedzeniu miało się ustalić datę światowego Zjazdu. Posiedzenie „konsultatywne“ istotnie się odbyło w dniach 1—5 marca br. z udziałem delegatów 18 partii komunistycznych. Jednak i tu daty zwołania światowego Zjazdu nie zdecydowano. Postanowiono natomiast zwołać inne jeszcze, również „konsultatywne“ posiedzenie, tym razem z udziałem delegatów 81 partii komunistycznych, które dopiero ma ustalić ostateczną datę zwołania Zjazdu światowego.

W międzyczasie Chiny zdążyły zapewnić sobie poparcie partii komunistycznych Japonii, północnego Wietnamu, północnej Korei i Indonezji, a ponadto i kilku partii kontynentu afrykańskiego.

Jednak również w tym samym czasie Chiny wysłały sowieckiej partii komunistycznej najostrejsze w treści ostrzeżenie, w którym zapowiedziały, że:

„Dzień, w którym zwołacie posiedzenie, które według waszych zamiarów ma zająć się ekskomuniką schizmatycznej partii Chin, dzień ten będzie waszym krokiem do grobu“.

GDY ROSJANIE OPUSZCZALI KRÓLESTWO POLSKIE

WSTĘP

PRZED paru miesiącami przeszła, niezauważona i nieodnotowana rocznica. A tymczasem dla Polaków posiadała ona, i posiada, zupełnie wyjątkowe znaczenie. Oto bowiem latem roku 1915 siły zbrojne Cesarstwa Rosyjskiego opuściły raz na zawsze granice Królestwa Polskiego, po stuletniej i, zdawałoby się raz na zawsze nieodwracalnej, okupacji. Pokolenie, które widziało i przeżyło ten błogosławiony zakręt historii, żyje jeszcze jak najbardziej i, nierzadko, cieszy się pełnią władz umysłowych. Przekazy jej jednakże na ten temat, zarówno polskie jak i rosyjskie, są często niezgodne ze sobą. Trudno się temu dziwić.

Wycofanie się Rosjan z Polski ciągnęło za sobą niekończący się łańcuch przemian zasadniczych w życiu tak wielkiego obszaru i tylu milionów ludzi, iż ładunek uczuciowy, związany z tym musiał z konieczności zaciemnić zarysy wypadków w pamięci świadków ich czy uczestników. Dalszym skrzywieniem perspektyw historycznych były osobiste ambicje i żale związane z odrodzeniem suwerennego państwa polskiego. Tzw. „zgoda narodowa“ jest szkodliwą, sentymentalną bzdurą oczywiście, i w najlepszym wypadku mągajstwem i lenistwem umysłowym a nie szczytnym zrywem patriotycznej abnegacji. Śp. Jerzy Paczkowski jakże słusznie i trochę przekornie „udowodnił“ poetycko iż „nierządem Polska stoi“ i „nie będzie zgody orła z reszką“. Ale ten stan umysłów, zbawienny w swojej istocie, utrudnia ogromnie pracę historyka.

Z dziecinnych lat utkwily mi w pamięci różne wersje odzyskania niepodległości w okresie 1914—1921 w opracowaniu dla młodzieży szkolnej i młodzieży w ogóle. Z jednego wynikało, iż była ona owocem bojów Pierwszej Kadrowej a w innych niezbitcie udowodniano, iż zdumiewające osiągnięcie to było wyłącznym owocem trudów i myśli kilkunastu organizacji mało wojennych starszych panów, generałów różnego koloru, służby i autoramentu, czy zgoła Legionu Puławskiego. Jak najdalszy jestem od pomniejszania czyichkolwiek zasług i piszę oczywiście skrótem pojęciowym. Trzeba jednakże stwierdzić ze smutkiem, iż na emigracji ciągle jeszcze pokutują smutne duchy kompensacyjnej megalomanii i ukazują się dzieła „udowadniające“, iż

na przestrzeni, na przykład dwudziestolecia II Rzeczypospolitej, wszyscy inni robili głupstwa i szachrajstwa a tylko Polska była bez winy i osaczona. Jest to tym bardziej niebezpieczne skrzywienie, iż w chwili obecnej, w Polsce, pod kłosem sowiecko-rosyjskiego protektoratu historia jest fałszowana świadomie celowo i bardzo sprytnie przy użyciu całej gamy nacisków psychologicznych. Stosowane są one od stalinowskiego niszczenia tysięcletniej tradycji po moczarowską bohaterstwową podaną dla użytku zniechęconych i zmęczonych ludzi w Polsce w technicznie pierwszorzędnym sosie pułkownika Załuskiego. Durni emigranci traktujący zabiedzony i okupowany kraj jako deptak do pysznienia się obcymi paszportami i względną nietykalnością oraz zapomnianym w „Priwiślenskiej Ludowej Riepublikie“ dobrobytem materialnym pod płaszczykiem nostalgii i odwiedzin rodzin, ze szczególnym entuzjazmem idą na lep obecnie obowiązującego tam hasła: „Wy jesteście biali; my jesteśmy czerwoni: Polska jest biało-czerwona“. A naprawdę chodzi o natrętne i nieustanne wbijanie do głowy, iż wchłonięcie Polski, Litwy i pół tuzina innych krajów w sowiecko-rosyjską orbitę jest ostatecznym, nieuchronnym rozwiązaniem historycznym dla tej części Europy.

„Nep“ międzynarodowy stosowany przez Moskwę w Rumunii, na Węgrzech i, w pewnym stopniu, także wewnątrz Sowietów, przede wszystkim ze strachu przed Chinami i przed załamaniem gospodarczym, jest podfryzowywany do godności historycznej konieczności. Wszystko dla udowodnienia tezy, iż „Rusek“ — obojętnie, obojętnie czy przez prokurę — nigdy już znad Wisły, Warty, Niemna, Dniepru i Berezyny nie wyniesie się.

Co do tego nie ma różnicy pomiędzy osnowami „narodowej“ polityki sowieckiej a zrębem wskazań dynastycznych Cesarstwa Rosyjskiego, sięgających jeszcze Cara Iwana Kality i jego dzieła „zbierania ziem ruskich“. Królestwo Polskie¹⁾ było traktowane przez Petersburg po macoszemu nie tyle z zemsty za rok 1863, jak to twierdzą po dziś dzień endecy fizjokraci, ale po prostu ze względów wojskowych: miało być bazą wypadową skąd „wał drogowy“ nieprzeliczonych armii rosyjskich miał się przetoczyć ku zachodowi i

„wyzwolić słowiańskie ziemie odzyskać“.

Wymieniłem, w jak najogólniejszym skrócie, zaledwie kilka argumentów na poparcie tezy, iż w chwili obecnej — i aż do rozpadnięcia się imperium rosyjskiego w jakiegokolwiek formie, zarówno polskie jak rosyjskie świadectwa dowodowe dotyczące przełomowych okresów burzliwej i nieszczęśliwej historii stosunków polsko-rosyjskich, należy traktować z jak największą ostrożnością. Najczęściej przekazują one tyleż osobistych uprzedzeń i uczuć autorów ich co wersji opisywanych faktów. Tym cenniejsi są świadkowie obcy, tym bardziej jeżeli rejestrowali swoje spostrzeżenia na gorąco i obserwacje ich na ten temat były dziełem ubocznym, jeżeli ich obecność w Polsce była związana nie z obserwacją stosunków polsko-rosyjskich, ale z innymi zadaniami. Takim niezmiernie cennym koronnym świadkiem historii był gen. major Sir Alfred William Knox. Tym bardziej, iż opisywał on okres, kiedy „Rusek“ opuszczał i „Priwiślenski Kraj“ i brzegi Niemna i Litwę i Ukrainę i Białoruś. Wbrew stuletnim zapewnieniom, iż sama myśl o czymś podobnym jest zdradą i niedorzecznością.

Na zakończenie wstępu mała uwaga uboczna, ale istotna. Uważam, iż podstawą polityki rosyjskiej wobec Polski, Litwy, Ukrainy i innych narodów bałtycko-czarnomorskiego było zawsze i jest wchłonięcie etniczne i ludobójstwo psychiczne. Zasadę tę stosowali tak samo gubernatorzy i namiestnicy cesarscy, jak przewodniczący komunistycznych organizacji partyjnych. W każdym razie usiłowali i usiłują stosować. Mimo to nie przeprowadzam, oczywiście, żadnego porównania pomiędzy Cesarstwem Rosyjskim a Związkiem sowieckim. Nie ma na świecie państwowych organizacji nie obciążonych ciężkimi przestępstwami moralnymi, ale istnieją za-

¹⁾ Zdaję sobie sprawę z niedokładności terminu. „Carstwo Polskoje“ nie było dokładnym odpowiednikiem „Królestwa Polskiego“. Miało swoisty wydźwięk konstytucyjny. Podkreślało element podboju, podobnie jak „Carstwo Kazanskoje“ i „Carstwo Astrachanskoje“ w „Wielkim Tytule“ cesarzy Wszechrosji.

sadnicza różnica filozoficzna, moralna i materialna pomiędzy najgorszym państwem wywodzącym swój tytuł do władzy z pierwiastka metafizycznego a najlepszym nawet sprzysiężeniem nihilistycznych bandytów i rzeźmieszaków obediencji Nieczajewa i „Lenina“.

SWIADEK

Generał Knox przyglądał się ewakuacji armii rosyjskiej z Polski z tytułu swoich funkcji zawodowych. Od roku 1911 do roku 1918 był on brytyjskim attaché wojskowym przy ambasadzie rosyjskiej w Petersburgu i w tym charakterze towarzyszył sztabom i poszczególnym jednostkom w akcji i na bezpośrednim zapleczu walk.

Knox był klasycznym typem „budowniczego imperium“ wiktoriańskiego okresu, opisywanym z zawistnej i człobitnej odległości przez Rudyarda Kiplinga. Z pochodzenia był, jak tyłu innych przedstawicieli tego gatunku, protestanckim Irlandczykiem. Urodził się 30 października 1870 r. w miejscowości Shimnath, koło Newcastle, w hrabstwie Down. Uczęszczał do szkoły St. Columba's College, Rathfarnham, po czym wstąpił do Akademii Wojskowej w Sandhurst. Służbę czynną rozpoczął jako podporucznik w pułku Królewskich Strzelców Irlandzkich — Royal Irish Rifles — w roku 1891-szym. Po krótkim stażu przeszedł do armii indyjskiej, do 58-go Pułku Strzelców im. Vaughana — 58th Vaughan Rifles.

W Indiach Alfred Knox od samego początku wykazał się wielkimi zdolnościami. W latach 1899—1900 był adiutantem Lorda Curzona, bardzo wybitnego wicekróla Indii, w latach 1901—1902 brał udział w jednej z niekończących się kampanii na północno-zachodnim pograniczu cesarstwa indyjskiego. Odnaczył się tam odwagą osobistą i zdobył swoje pierwsze odznaczenie. A jednocześnie dobrze zapoznawający się oficer zaczął specjalizację w sprawach rosyjskich. Rywalizacja Rosji z cesarstwem indyjskim, posiadłością brytyjską o decydujące wpływy w Azji była w zamorskiej historii politycznej obu mocarstw motywem przewodnim aż do roku 1907-go, kiedy Londyn podpisał z Petersburgiem traktat przyjaźni w obliczu wspólnego zagrożenia przez Niemcy wilhelmińskie. Pozostały o tym okresie przekazy nawet w literaturze polskiej. Pamiętniki gen. B. Grąbczewskiego, niezmiernie ostrożne i mimo tego bardzo interesujące, są cennym źródłem historycznym dla tych spraw.

Knox opanował bezbłędnie język rosyjski, co w połączeniu z jego kartą służbową zadecydowało o przeniesieniu najpierw do akademii sztabu — Staff

College — w latach 1904—1905, a potem o przydziale do sztabu generalnego Imperium Brytyjskiego. W 1911 r., już jako pułkownik sztabu generalnego, został attaché wojskowym w Rosji. Dla brytyjskiego oficera zawodowego był to wówczas najbardziej odpowiedzialny i ciekawy przydział. Z zadania wywiązał się ku pełnemu zadowoleniu tak swoich zwierzchników jak i gospodarzy. Został generałem, kawalerem Orderu Łaźni (CB i KCB), komandorem Orderu św. św. Michała i Jerzego (CMG). Rosjanie odznaczyli go orderami św. Stanisława I klasy, św. Włodzimierza (3-ciej klasy) i św. Anny (2-giej klasy). A nade wszystko darzyli go sympatią i zaufaniem. Uczucia te Knox odwzajemniał całkowicie. Widział wszystkie słabe strony i charakteru i organizacji rosyjskiej i mimo to był do Rosjan szczerze i głęboko przywiązany.

Moment ten zasługuje na szczególną uwagę przy ocenie wartości pamiętników Knoxa jako źródła historii polskiej: w żadnym wypadku nie może być posądzony o antyrosyjskie nastawienie ogólne. Po rewolucji październikowej gen. Knox wrócił do Londynu i został wkrótce mianowany szefem Brytyjskiej Misji Wojskowej przy admirałe Kołczaku, naczelnym zwierzchniku rządu rosyjskiego na Syberii. Na tym stanowisku nie krył się ze swoim wrogim nastawieniem wobec bolszewików; kunktatorstwo i dwulicowość sprzymierzonych w całej tej smutnej epopei oburzała go w najwyższym stopniu. Tak dalece, iż po upadku Kołczaka, w r. 1920, podał się do dymisji w stosunkowo bardzo młodym wieku i u progu wielkiej kariery. Na tym działalność publiczna gen. Alfreda Williama Knoxa, KCB, CMG zakończyła się, mimo jego nieprzeciętnych zdolności. W latach 1924—1945 posłował do parlamentu z ramienia partii konserwatywnej okręgu Wycombe, w hrabstwie Buckingham, pod Londynem, ale jako parlamentarzysta był poprawną przeciętnością. Żył bardzo długo; zmarł dopiero 9 marca 1964 r.

W pewnym sensie Knox był „wewnętrzny emigrantem“. Był zanadto zrośnięty ze światem, który się bezpowrotnie rozwiął w latach 1914—1920 i nie potrafił znaleźć wspólnego języka z jego spadkobiercami. Został wprawdzie odznaczony Czeskim Krzyżem Wojskowym, ale nie udawał, iż pochwała postępowanie Legionu Czeskiego na Syberii ani, tym bardziej, gen. Syrowego, przykro zamieszanego, chociaż pod przemożnym naciskiem gen. Janin, szefa francuskiej misji wojskowej, w sprawę wydania bolszewikom admirała Kołczaka.

O polskie sprawy gen. Knox otarł się bezpośrednio na Syberii. Poza tym w latach 1911—1916, bawił wielokrotnie w Polsce. W druku ukazały się tylko jego wrażenia z lat wojennych. Ogłosił je drukiem w r. 1921.²⁾ Była to zresztą jedyna książka jaką napisał. Dziś jest rzadkością bibliofilską prawie że nie do znalezienia w handlu.

UWAGI METODOLOGICZNE

Za dobrą sprawę pamiętniki wojenne gen. Knoxa, dwa dość pokaźne tomy, musiałyby być przełożone na polski in extenso. Na pewno cieszyłyby się wielkim powodzeniem właśnie w „Polsce Ludowej“ jako raptularz przepędzenia „Ruska“ i opisów tegoż w pracy i odpoczynku. W tym miejscu ograniczam się jedynie do ustępów bezpośrednio dotyczących Polski i Polaków. Nie podaję żadnych komentarzy i utrzymuję nazwy miejscowości i osób w brzmieniu oryginału.

Tu należy zauważyć, iż gen. Knox po polsku nie mówił, chociaż musiał niejedno rozumieć. Stąd też transkrypcja jego imion polskich jest angielskim zniekształceniem fonetycznym zniekształcenia rosyjskiego polskiego oryginału. „Zamostie“ na „Zamość“ może tu służyć jako przykład. Nie podejmuję się też oceny dokładności terminologicznej Knoxa. Np. nigdzie nie wspomina „Strzelca“ a pisze o „Sokołach“. Niewątpliwie tak ich nazywały rosyjskie sztaby w roku 1914, przynajmniej w potocznej rozmowie. Znawcy tego okresu — i opisywanych stron — są uprzejmie proszeni o komentarze na ten temat. „Orzeł Biały“ będzie im wdzięczny za dalsze odkrywcze przyczynki do historii polskiej podczas I wojny światowej.

DIARIUSZ GEN. KNOXA

(Str. xix) — „stany liczebne poszczególnych jednostek (armii rosyjskiej) w czasie pokoju składały się w dwóch trzecich z Rosjan i w jednej trzeciej z „narodowości pcdbitych“ — subject races — jak Polacy, Łotysze, Estończycy, Gruzini, Ormianie, itd. Jako zasada członkowie „podbitych narodowości“ nie odbywali swojej służby wojskowej w pobliżu miejsca urodzenia, ale byli przydzielani do cdeglých jednostek“.

(Str. 41) — „Vrotslavsk, Kalish i Bendin w południowo-zachodniej Polsce“.

(Str. 47) — „I-sza armia, pod wodztwem gen. Rennekampfa miała

²⁾ Major General Sir Alfred Knox, KCB, CMG. With the Russian Army 1914—1917, London, Hutchinson & Co., 1921.

być utworzona w Wileńskim Okręgu Wojskowym, podczas gdy 4-ta, 5-ta, 3-cia i 8-ma armie miały działać przeciw Austrii. 2-ga armia miała przeprowadzić koncentrację na przedpolu Warszawy jako rezerwa dla południowej grupy armii, a 9-ta miała być w pogotowiu w Piotrogradzie dla obrony stolicy przed ewentualnymi desantami“.

(Str. 50) — „19.8.14 — Rovno jest typowym rosyjskim miastem nadgranicznym, brudnym i zakurzone. Ulicę roją się od żydów natarczywie gapiących się — who gape and stare — na przyjezdnych“.

(Str. 61) — 24.8.14. — „W Mława zatrzymaliśmy się na noc w hotelu pod zarządem przystojnej Polki. Nasza gospodyni powiedziała, iż mąż jej został zmobilizowany. Wojsko niemieckie ograbiło ją z 1000 rubli podczas okupacji miasta przez nich. Płacili za dostawy papierowymi kwitami, które teraz nie mają żadnej wartości. Ludność miejscowa była uszczęśliwiona — delighted — kiedy ofensywa rosyjska zmusiła Niemców do wycofania się. Utrzymuje się, iż w miarę naszego posuwania się naprzód w Mazurii ludność niemiecka uchodzi a Polacy pozostają na miejscu. Rzeczywiście od proklamacji Wielkiego Księcia nastawienie Polaków jest bez zarzutu.“

(Str. 67) — 26.8.14. — Neidenburg. Anders, oficer sztabu generalnego, który towarzyszył nam, odmówił wyjazdu bez osłony, ponieważ wczoraj o mały włos nie zostaliśmy ostrzelani z powodu czerwonego képi Laguiche'a (francuskiego attaché wojskowego). Pojechaliśmy z kolumną samochodową... Usiłowałam nakłonić Andersa, żeby wyruszyć do I-go Korpusu, ale bezskutecznie... Anders powrócił ze sztabu armii o 9-ej i podał nam nieco wiadomości sytuacyjnych“.

(Str. 71) — 27.8.14. — „Samsonow powiedział, iż mam się udać do Mława z Laguiche'm, Leonkiewiczem i Anderssem. Tam ma dołączyć mój ordynans z końmi i ekwipunkiem i mam doszlusować z powrotem do niego“.

(Str. 73) — Ostrolenka. — „Kolacja o 6-ej wieczorem w Khorjele u katolickiego księdza... Wzdłuż drogi co parę mil gromadki polskich dziewcząt śpiewających pieśni religijne na kolanach dookoła przydrożnych kapliczek. Zapomniałem, iż był to piątek, i skojarzyłem ich modlitwy z dziejowym dramatem, jaki właśnie rozwijał się o kilka mil stąd na północ“.

(Str. 77) — 30.8.14. — „Przedsięwzięto wszelkie przygotowania do ewakuacji Warszawy, gdyby zaszła po temu konieczność, w pierwszym tygodniu mobilizacji. 3-cia Dywizja Piechoty Gwardii przeszła w kierunku północno-wschodnim, dla obrony przesmyku Polski — the neck of Poland — w rejonie Suwałk. Mosty warszawskie przygotowane do wysadzenia w powietrze. Ruch został całkowicie wstrzymany w ciągu trzech dni na

nowym moście, na czas tych przygotowań. Urzędnicy państwowi z żonami spakowani i przygotowani w każdej chwili do drogi. Ogólna ulga kiedy 1-sza i 2-ga Dywizja Piechoty Gwardii przybyły z Petersburga i przeszły na drugą stronę rzeki... nasz konsul Grove... Guczkow, „Październikowiec“, członek Dumy, który przyjechał tutaj z Czerwonym Krzyżem, powiedział wczoraj wieczorem, iż Rosjanie byli przygotowani na straty 300 tysięcy żołnierza dla sforsowania Dolnej Wisły“.

(Str. 78) — 31.8.14. — Warszawa. „Ekscentryczny młodzieniec podróżował ze mną. Syn warszawskiego producenta czekolady. Ma przydział do sztabu 2-jej armii wyłącznie dzięki umiejętności rysowania karykatur. Zajmuje się kolorowaniem map“.

(Str. 91) — „Rosjanie... zapomnieli o nikkczemnej wydajności — miserable capacity — kolei warszawskomławskiej i o przekładance bagien i piaszczystych wydmuchów północnej Polski, która została celowo pozostawiona bez sieci kolejowej i dróg dla opóźnienia postępu nieprzyjaciela“.

(Str. 97). — Warszawa. — „Przyjechałem do Warszawy o 8.30 wieczorem. Zatrzymałem się w Bristolu, i spędziłem cały dzień na załatwianiu następnego wyjazdu. W biurze dowództwa Służby Transportowej—Commandant of the Lines of Communications — jak zawsze, wszystko utkane uzbrojonymi posterunkami zawracającymi głowę każdemu... Całość w stanie nieopisanego brudu; na oko wszyscy na coś czekają i wydaje się, że bardzo mało pracują... Spotkałem dwóch pesymistycznie nastrojonych Anglików, mniej więcej przekonanych iż Warszawa jest bezpośrednio zagrożona ponieważ jest fortyfikowana i wznoszone są zasieki z drutu kolczastego“.

(Str. 99) — 16.9.14. — Lublin. „Wyjechałem z Warszawy pociągiem o 4-tej po południu. Konie zostawiłem. Przyjechałem do Lublina o 11-tej po południu dla dołączenia do sztabu 9-tej armii... Na pół drogi ze stacji znaleźliśmy dorożkę i zajęliśmy do szeregu hoteli zaczynając od wspaniałości w rodzaju Ritz'a a kończąc na żydowskiej dziurze. Ani w jednym nie było miejsca nawet kątem. W większości na pokój przypadało od 3 do 6 klientów“.

(Str. 101) — 17.9.14. — „Wyjeżdżając z Warszawy zauważyłem, iż jedno z prześel północnego mostu dla pieszej komunikacji — northern footbridge — zostało podminowane dla wysadzenia w powietrze. Na prawym brzegu Wisły przygotowane są stanowiska dla artylerii polowej skierowane na Warszawę. Podobnie w Iwango-rodzie widziałem świeżo powstałe okopy“.

(Str. 104) — 19.9.14. — Sandomierz. „Rozmawiałem przez dłuższy czas z polską panią. Starła się wywieźć co myślę o armii rosyjskiej. Zauważyła, iż musiała ona poczynić zdumiewa-

jące postępy od czasów japońskiej wojny. Oprowadzała mnie po swoim domu... Dwaj synowie jej służą w armii austriackiej i nie miała od nich wiadomości od chwili wybuchu wojny. Jakże nieszczęśliwym narodem są Polacy! Mam nadzieję, iż jednym ze skutków wojny będzie zjednoczenie jego pod rosyjskim protektoratem. Jestem wstrząśnięty widokiem lejów artyleryjskich. Każdy wymiar podatku dochodowego jest do przyjęcia, jeżeli zapobieże pojawieniu się podobnych lejów u nas, w Ulsterze“.

(Str. 106) — 20.9.14. — Klimontów. „Zjedliśmy prawie że zadawalniący obiad, razem z herbatą za 40 kopiejek (10 pensów!). Ludność miasta prawie że wyłącznie żydowska“.

(Str. 107) — 21.9.14. — Stopnica. „Zatrzymaliśmy się o 6-tej wieczorem w domu polskiego ziemianina. Pani domu, przyjemna dama w starszym wieku pełna pocieszającego zachwytu dla Anglii, pragnęła rozmowy ze mną. Wątpi czy Rosjanie dotrzymają obietnic wobec Polski. Powiedziała, iż rząd rosyjski zamroził wszystkie fundusze samorządowe i kapitały banków prywatnych. Przeważna część ich są to przekazy wychodźców do Ameryki. Urzędnicy nie są płaceni a emeryci nie otrzymują swoich pensji“.

(Str. 110) — 23.9.14. — Złota. „Jechaliśmy pod zimnym wiatrem jedną z najokropniejszych dróg, nawet jak na Rosję, do Wiślicy, po czym skręciliśmy w lewo (na południe) dwiema kolumnami i starliśmy się z około 200 „Sokołami“ czyli polskimi partyzantami — nie zanadto podniecający bój. — Podczas potyczki wieczornej z Sokołami spaliliśmy rezydencję w Czarkowie — Charkov Manor House — piękny stary zamek. Właściciel jego, młody hrabia Palowski (sic) i jego rządcza zostali dostarczeni do naszego miejsca postoju na wozie drabiniastym. Szkoda mi było chłopca, który wyglądał jak cywilizowany gentleman i zdecydowanie odcinał się od wielu tłoczących się dokoła niego, ale było jasnym, iż udzielił schronienia Sokołom przed naszym przybyciem. Miejscowe dowody wskazywały poza tym, iż był ich lokalnym przywódcą. Jego starszy brat jest obywatelem austriackim i oficerem w pułku kawalerii austriackiej. Inny jego brat był jednorocznym ochotnikiem i to w tym właśnie pułku, który go ujął dzisiaj. Posiadają majątki na Litwie i pałac w Krakowie. Młodzieniec zachowywał się — without bombast — i raz po raz spoglądał na swój płonący dom. Odwieziono go pod strażą do Buska. Niewątpliwie pozostał na miejscu w nadziei, iż uda mu się uratować rezydencję... Ponieważ mieliśmy uprzednie wiadomości, iż naszym przeciwnikiem będzie tylko 200 Sokołów, mogliśmy zezwolić jednej brygadzie na przemarsz wprost do miejsca zakwaterowania. Spędziłem bardzo wygodną noc u hrabiego

Veselovskiego (sic). Doskonała kolacja i prawdziwa kąpiel z rana“.

(Str. 112) — 24.9.14. — Złota. „Ogromnie żałuję Polaków. Biedni ludzie nie wiedzą czy mają pozostać na miejscu czy starać się wyjechać. Kiedy pojawiają się uzbrojeni Sokoli, twierdzą iż są wobec nich bezsilni, i Rosjanie, mimo to, zwalają na nich odpowiedzialność. Dziś, przy herbacie, starsza pani, nasza gospodyni, zapytała kim był bardzo młody oficer, który siedział przy stole. Zadrżała, kiedy powiedziałem jej, iż był to Kozak. Powiedziała iż przed dziesięciu dniami brat jej zmarł nagle na udar serca w swoim majątku, kiedy dawał Kozakowi chustę, której ten zażądał dla przebrania się. W 1863 roku jej dziad i ojciec brali udział w ruchu partyzanckim. Dom ich został otoczony i obaj panowie zostali ranni. Jej babka, osiemdziesięcioletnia staruszka została zastrzelona przez Kozaka. Mam nadzieję, iż koniec wojny przyniesie ulgę temu tak ciężko doświadczonemu narodowi. Nasza gospodyni powiedziała, iż dowiedziała się, że dom jej ma być zarekwirowany zaledwie o 5-tej z rana. Twarda konieczność, ale nie na to nie można poradzić. Biedaczka jest przeżrana ilością błota na butach naszych ordynansów, chociaż, w gruncie rzeczy, wycieraczki w domu nie ma. Gorzko uskarżała się na kradzież jabłek od Żyda-dzierżawcy sadu. Powiedziała o tym szefowi sztabu, ale obawiam się, że nie odniesie to żadnego skutku. Oficerowie nie rozumieją, iż wybryki tego rodzaju ujemnie działają na dyscyplinę“.

(Str. 112) — 25.9.14. — Piątek. „Leśniczówka o 5 kilometrów na południe od Pinczowa. Śniadanie we dworze polskiego ziemianina, właściciela szeregu wspaniałych starych sztychów“.

(Str. 117) — Yasenn (sic) na południowo wschód od Andreeva (sic) 27.9.14. — „Następnie przeszliśmy do Mostkowic, majątku p. Gurskiego (sic) który przyjechał do Warszawy na czas trwania wojny“.

(Str. 123) — 1.10.14. — Zvolya-Sarnya (sic). „Wygodny nocleg na plebanii w Lagov (sic). Kanalizacja na wysokości zadania, co jest cudownym zjawiskiem w Polsce“.

(Str. 125) — 2.10.14. — Plebania-Vasnev (sic). „Chata, w której spędziliśmy dzień należy do osiemdziesięcioletniego starca, który zapomniał ile miał dzieci: siedmioro czy ośmioro. Doskonały przykład wytrwałego i solidnego polskiego chłopca“.

(Na tym kończą się notatki gen. Knoxa z okresu jego przydziału do 14 dywizji kawalerii. Z kolei doszłusował najpierw do 9 armii i do korpusu gwardii, w okresie październik—grudzień 1914, podczas pierwszej ofensywy Hindenburga na Warszawę).

Cz. Jeśman

(D.c.n.)

MINISTER obrony N.R.F., Kai Uve von Hassel, wygłosił niedawno długie i bardzo interesujące przemówienie do kilkuset młodszych oficerów „Bundeswehr“. Jeśli streszczenie tego przemówienia, opublikowane w miesięczniku „Wehrkunde“, obejmuje jego całość i nie opuściło ustępów drażliwych czy propagandowo niewygodnych, władze NATO mogłyby mówcy wystawić pochwalną laurkę, bowiem w streszczeniu tym nie ma ani jednego podburzającego akcentu lub alarmującego zwrotu, np. na temat konieczności odzyskania ziem utraconych, czy wzięcia rewanżu za klęskę, czy dorobienia się broni niekonwencjonalnych, czy choćby zjednoczenia Niemiec.

Czy Hassel istotnie o tych sprawach nie wspomniął, pewności nie ma. Mimo woli przypomina się niemieckie powiedzenie: „Es klingt zu schön, um wahr zu sein“ („brzmi to zbyt ładnie, by było prawdziwe“).

Tak czy inaczej, podług wersji „Wehrkunde“ wymowny i zręczny minister mówił tylko o trwającym nadal zagrożeniu, o zadaniach „Bundeswehr“ jako instrumentu odstraszenia i obrony w ramach NATO, o jej pozycji w państwie i społeczeństwie niemieckim oraz o obowiązkach i metodach postępowania korpusu oficerskiego.

Ponieważ wywody jego zawierały, obok truizmów, kilka bardzo ciekawych i trafnych stwierdzeń, z którymi warto się zapoznać i które nawet warto zapamiętać, pozwolę sobie dać streszczenie owego streszczenia, dokonanego przez „Wehrkunde“:

„Obowiązkiem oficera, jako obywatela w mundurze, jest myśleć i postępować politycznie, tzn. żyć i służyć w gromadzie dla gromady i dobra kraju. Takie nastawienie jest nieodzownym warunkiem spełnienia zadań, które są ogromne wobec bynajmniej nie zmniejszonego zagrożenia ze strony komunizmu, który, udając, że dąży do odprężenia i koegzystencji, wprawdzie działa obecnie metodami subtelniejszymi i bardziej wyrafinowanymi, ale swoich światoburczych celów się nie wyrzeka, swoje ogromne siły unowocześnia i udaremnie rozbrojenie odrzucaniem kontroli.

W tej sytuacji podstawowymi zadaniami „Bundeswehr“ pozostają albo się stają:

— zwiększenie zwartości i gotowości jej wszystkich części i jednostek,

— szybko przezwyciężenie personalnych zatorów czy braków,

— wypełnienie jej materialowych braków przez skoncentrowanie się w nabywaniu na niewielu, ale decydujących typach broni i sprzętu,

— wreszcie stworzenie odpowiedniej rezerwy terytorialnej i podtrzymanie

KAZIMIERZ GLABISZ

Wskazania dla oficerów „Bundeswehr“

znajomości rzemiosła wojskowego wśród rezerwistów.

Niedocenianiem pracy „Bundeswehr“ przez społeczeństwo nie należy zbytnio się przejmować. Nie należy także sugerować się nadmiernie obawami, że społeczeństwo śpi i zwała całą odpowiedzialność za bezpieczeństwo kraju na „Bundeswehr“ i NATO. Tak źle nie jest. Pozycja „Bundeswehr“ w społeczeństwie niemieckim wzrasta z każdym rokiem, a ponadto pogłębia się w nim zrozumienie, że same siły zbrojne, choćby najlepsze, nie wystarczą w razie próby, że musi za nimi stać społeczeństwo, gotowe do ofiar i obrony. Tę pocieszającą ewolucję zawdzięcza się zarówno rzetelnej pracy „Bundeswehr“, podziwianej przez sojuszników a nawet przesadnie ocenianej przez wrogów, jak i rosnącemu zrozumieniu, że w obecnej sytuacji(!) nie ma rozumniejszej i bezpieczniejszej polityki zagranicznej niż stosowana przez rząd N.R.F.

Ujemnym zjawiskami i nawet niesprawiedliwymi krytykami nie należy się zrażać tak samo jak niepowodzeniami. Są one w znacznym stopniu nieuchronne, ale zostaną z czasem przezwyciężone czy złagodzone, jeśli nie straci się z oka zasadniczych i głównych celów, wyciągnie właściwe nauki z błędów i niepowodzeń oraz przyjmie krytykę bez nadmiernej wrażliwości.

Wojsko w kraju demokratycznym nie może składać się tylko z apolitycznych kondotierów, choćby najlepszych pod względem wojskowym, bo wtedy wyobcowuje się i staje państwem w państwie. Tylko ten żołnierz, który ustosunkowuje się szczerze, z głębokim przekonaniem i pozytywnie do demokratycznych urządzeń państwa, wie, o co by w razie wojny walczył i co by w razie klęski stracił. Zrozumienie tego faktu wymaga politycznego wykształcenia, tym potrzebniejszego oficerowi, że styka się on z rekrutem, który może po raz pierwszy w życiu przeżywać blaski i cienie przebywania w gromadzie i tworzenia wspólnoty i który, zależ-

nie od pierwszych wrażeń, kształtuje swoje późniejsze nastawienie.

Nie mniej niż polityczne wykształcenie niezbędne dla oficera nowoczesnych sił zbrojnych są oczywiście — rozległa wiedza ogólna, i techniczna, rzetelna znajomość swojej broni i jej współdziałania z innymi broniąmi oraz umiejętność obcowania z podkomendnymi — po myśli zdrowych zasad, ujętych w instrukcjach owej tak niesłusznie krytykowanej „Innere Führung“. Stosowanie tych zasad jest niewątpliwie trudne, bo wymagają one twardej i dyscyplinowanej służby, uwzględniającej równocześnie wymogi humanitaryzmu i godności ludzkiej, niemniej jest możliwe i konieczne.

Jednym z niezbędnych warunków pogodzenia tych pozornie sprzecznych wymogów i znalezienia właściwej drogi i metody jest niez izolowanie się korpusu oficerskiego. Nie powinien on być jakimś zamkniętym, odgradzającym się od świata i podkomendnych ciałem, żyjącym specyficznymi pojęciami prawa i honoru. Powinien on oczywiście się łączyć i być solidarny. To jego prawo, ale nie może zamykać dostępu do siebie myśli i idei z zewnątrz pochodzących, jeśli sam ma promieniować. A promieniować i to w sensie dodatnim — musi. Przecież od korpusu młodszych oficerów zależy klimat w oddziałach i stopień przekucia dobrej bezspornie woli podkomendnych podoficerów i szeregowców na maksymalną wydajność i sprawność.

Oficer ma prawo im rozkazywać, ale winien, zwłaszcza w odniesieniu do podoficerów, ich pracę i godność szanować i z ich doświadczenia, częściowo także frontowego, korzystać. Tylko w ten sposób uzyska ich zaufanie i gotowość do współpracy — nawet z nadwyżką. To zaufanie trzeba tym bardziej stale zdobywać, że same uprawnienia rozkazodawcze nie wystarczają, by z podkomendnych wydobyć maksimum wydajności. Ale serc żołnierzy i ochoczej ich kooperacji nie zdobywa się ani niezręcznym spoufaleniem się, ani też wyniosłym i ostrym występowaniem. By zdobyć ich zaufanie i ugruntować swój autorytet, wolno natomiast i trzeba zasięgać i brać pod rozwagę rady więcej doświadczonych podoficerów. Naturalnie pod warunkiem, że następnie poweźmie się właściwą decyzję i nie zmienia się jej łatwo. Żołnierz szanuje dowódców rozważnych, stanowczych i konsekwentnych, świecących przykładem i dostępnymi, nie ma natomiast zaufania do oschłych, wyniosłych, porywczych, niesprawiedliwych lub chwytliwych. Dlatego właśnie prowadzenie jest trudniejsze niż komenderowanie“.

Trzeba obiektywnie przyznać, że powyżej streszczone admonicje i wskaza-

nia najwyższego w czasie pokojowym zwierzchnika „Bundeswehr“ zawierają sporo rozumnych uwag i trafnych konstatacji, świadczących o tym, że Hassel jest w wyższym stopniu, niż był jego poprzednik, Strauss, zwolennikiem stosowania nadal liberalnych metod wychowywania i prowadzenia żołnierza, ułożonych swego czasu przez gen. de Baudissina, a znacznie bardziej zbliżonych do pojęć amerykańskich niż staro-pruskich. Widocznie jednak te postępowe metody nie wszędzie są stosowane, jako, w pojęciu tradycjonalistów, nieodpowiadające „mentalności i duchowi żołnierza niemieckiego“, skoro Hassel poświęcił temu odcinkowi działalności korpusu oficerskiego większą część swego przemówienia. Czy osiągnął tym pożądaną efekt, nie sposób ocenić, bo zależało to od składu jego audytorium i od nastawienia gros korpusu oficerskiego, stykającego się bezpośrednio z żołnierzem.

Łatwiej uwierzyć w to, że korpus oficerski „Bundeswehry“ nie jest izolującą się kastą i nie dąży do stworzenia z niej „państwa w państwie“, jak to zrobił w okresie republiki weimarskiej gen. Seeckt z „Reichswehry“. Całkiem niefeudalny skład obecnego korpusu oficerskiego, nie pamiętającego już czasów wilhelmskich, wciąż jeszcze ma popularność wojska w społeczeństwie oraz brak wśród generacji człowieka o prestiżu i ambicji Seeckta, zdają się zabezpieczać N.R.F. przed ponownym wyemancypowaniem się jej sił zbrojnych spod supremacji czynników cywilnych. Fakt, że wszyscy generałowie „Bundeswehr“ służyli ongi w hitlerowskim „Wehrmacht“ i potulnie słuchali rozkazów kaprala Hitlera, przemawiają raczej za tym.

Nie znaczy to oczywiście, że wszyscy oficerowie „Bundeswehr“ są prawdziwymi demokratami i zwolennikami obecnego ustroju NRF, albo że w razie dojścia do wojny walczyłyby ona, jak poniekąd sugeruje Hassel, głównie w obronie demokratycznych urządzeń.

Tutaj Hassel poszedł za daleko w uzasadnianiu konieczności zrobienia z żołnierza „obywatela w mundurze“, gdy z drugiej strony wiele nie mniej ważnych, ale drażliwych lub skomplikowanych problemów faktycznie lub pozornie w ogóle nie poruszył, albo tylko między wierszami o ich istnieniu nam pomknął.

W obecnej sytuacji Niemiec, skomplikowanej dodatkowo postawą Francji wobec NATO i Ameryki, ta jego wstrzeźliwość czy dyskrekcja „Wehrkunde“ jest zrozumiała.

Czy jego optymizm, szczerzy lub urzędowy, ich zaraził, przyszłość może okazać.

Kazimierz Glabisz

STANISŁAW BŁASZCZAK

LOS PŁATA FIGLE

PO POGROMIE Francji w czerwcu 1940 roku i ja znalazłem się na Wyspach Brytyjskich. Po wylądowaniu wywieziono nas na północ, do Szkocji. Krótki pobyt w Glasgowie i wyjazd do obozu w Biggar. Zamieszkaliśmy pod namiotami, rozbitymi na nieco podmokłej łące.

Był to wyjątkowo mokry rok, bo nawet Szkoci, przyzwyczajeni do swojej pogody, narzekali. W namiotach pod nogami chlupotało błoto, materace i koce na polowych łózkach przesiąknięte były wilgocią. Trzeba było nielada wysiłku, aby do takiego łóżka położyć się spać.

Łaziliśmy od namiotu do namiotu jak przysłowiowe „mokre kury“ i narzekaliśmy wspólnie na szkocką pogodę. Ołowiane zazwyczaj szkockie niebo przybrało któregoś dnia już ciemno-bury kolor. Chmury wisały tuż nad głowami, z których sypała się gęsta deszczowa kasza. W namiotach, pełnych jakiejś charakterystycznej stęchlizny, trudno już było wytrzymać. Włożyłem płaszcz i wyszedłem na drogę, po której, rozgarniając warstewkę błota, sunęły przeważnie wojskowe samochody. Oparty o mur odgradzający rozległe pastwisko od drogi stał jakiś żołnierz i wpatrywał się w pobliskie góry, pokryte gęstym świerkowym lasem. Stałem obok niego i odezwałem się z sarkazmem: „Ładny widok...!“.

— Dla mnie nie ładny, ale interesujący, bo ja te strony dobrze znam — powiedział z silnym akcentem śląskim.

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem. Zrozumiał to i już nie pytany ciągnął dalej.

— Tak, tak... Jestem tu już po raz drugi. Pochodzę ze Śląska. Gdy wybuchła pierwsza wojna zabrano mnie do wojska, naturalnie niemieckiego, załadowano do pociągu i pojechaliśmy na Zachód bić Francuzów. Niedługo jednak wojowałem za kajzera — Anglicy wzięli mnie do niewoli, no i znalazłem się w Szkocji.

Obóz jeniecki mieścił się właśnie na tym oto pastwisku. Było nas tu parę tysięcy. Pracowaliśmy w tym lesie, któremu teraz przyglądałem się z takim zaciekawieniem. Zdaje mi się, że porządnie wyrósł, choć zdaleka tego do-

brze nie widzę. Widzi pan, że miałem rację mówiąc, że te strony dobrze znam. Tak to los płata różne figle.

Życie w obozie jenieckim, nawet u Anglików, do przyjemności nie należy; zabijała nas monotonia no i te szkockie deszcze. Praca w lesie była największą rozrywką. Nie przepracowywaliśmy się, bo do roboty nikt nas nie gonił. W obozie było kilkudziesięciu Polaków ze Śląska i z Poznańskiego. Chociaż mieszkaliśmy w różnych barakach, trzymaliśmy się jednak kupy.

Któregoś dnia przyjechało do obozu dwóch cywilnych panów w towarzystwie oficerów brytyjskich. Nie wiedzieliśmy co to za jedni. Zarządzono zbiórkę wszystkich Polaków w obozowej świetlicy. Stało się to w chwili, gdy oddziały jenieckie wychodziły na robotę do lasu, a nam kazano pozostać w obozie. Gubiliśmy się w domysłach, co to może znaczyć. Obaj cywilni panowie wraz z Brytyjczykami przyszli do świetlicy i jeden z nich przemówił do nas po polsku. Zrobiło to wśród nas olbrzymie wrażenie. Poinformował on nas, że sprawą odzyskania przez Polskę niepodległości jest na jak najlepszej drodze, że we Francji tworzy się armia polska i że obowiązkiem każdego Polaka jest służba w jej szeregach. Nadmieniał on również, że nikt nas do tego nie będzie zmuszał i jeżeli ktoś nie chce, pozostanie nadal w obozie.

Nie namyślaliśmy się ani chwili i z miejsca zgłosiliśmy się na ochotnika do szeregów. Kilku jednak pozostało w obozie. Do dzisiaj nie wiem, co to byli za jedni ci dwaj cywile, nawet nie wiem jak się nazywali. Spędzili z nami sporo czasu. Zostało ustalone, że tegoż dnia po południu mieliśmy opuścić obóz. Okazało się jednak, że nie było to takie łatwe i proste.

Gdy oddziały pracujące w lesie powróciły do obozu na obiad, Niemcy szybko dowiedzieli się o wszystkim od tych, co nie chcieli wstąpić do wojska polskiego. Powstała okropna awantura; wymyślano nam od zdrajców, brano się nawet do bicia. I nie wiadomo na czym by się to wszystko skończyło, gdyby nie weszło oddziału wojska, które zrobiło porządek.

O wyjeździe z obozu w biały dzień i mowy być nie mogło. Trzeba było zmienić cały plan. Postanowiono, że wyjedziemy w nocy. Pojedynczo wymykaliśmy się z obozu i zebrałiśmy się poza drutami, gdzie czekały na nas dwa samochody ciężarowe, które zawiozły nas na stację kolejową. Zajęliśmy zarezerwowane dla nas przedziały i pociąg ruszył na południe. Nawet mi do głowy nie przyszło wówczas, że jeszcze raz będę oglądał Szkocję i to prawie w podobnych okolicznościach...

* * *

W miarę opowiadania sierżanta Zechciola (tak się bowiem nazywał ten Ślązak) zainteresowanie moje wzrastało.

— I co dalej? — zachęcałem go.

— Dalej wszystko poszło tak, jak należało przewidywać. Przybyliśmy do Coëtquidan, głównego obozu szkoleniowego polskiej armii. Było już wówczas w obozie chyba z kilkanaście tysięcy ludzi, a nowi stale napływali. Najwięcej było Polaków z zaboru austriackiego, którzy dostali się do niewoli włoskiej. Ale sporo było takich, ze Stanów Zjednoczonych i Francji, którzy nigdy munduru na grzbiecie nie mieli. Przybycie nasze do Coëtquidan w mundurach niemieckich, wywołało nielada sensację. Natychmiast nas umundurowano i otrzymaliśmy przydziały. Muszę przyznać, iż spotkaliśmy się z pewnym wyróżnieniem, że to byliśmy już żołnierzami wyszkolonymi i z dużym obyciem frontowym, co miało przecież dosyć duże znaczenie. Już w kilka tygodni później otrzymaliśmy prawie wszyscy stopnie podoficerskie.

Szkolenie w obozie było tylko podstawowe, reszta miała być dokonana w oddziałach. Pośpiesznie tworzone kompanie i bataliony, które natychmiast opuszczały obóz, udając się do wyznaczonych im miejsc postoju. Tak to two-

rzyła się błękitna armia generała Hallera. Z armią tą wróciłem do kraju, odbyłem całą wojnę polsko-bolszewicką. Nie obszło się naturalnie bez mego udziału w walkach o Śląsk i wreszcie powróciłem znowu do zawodu górnik. Stała służba w wojsku jakoś nie nęciła mnie.

Przyszedł rok 1939, a z nim katastrofalny wrzesień. Znowu znalazłem się w szeregach. Już w pierwszych dniach wojny dywizja śląska, w której służyłem, została rozbita. Resztki jej dotarły w pobliże granicy rumuńskiej. Nie namyślałem się ani chwili co mam ze sobą robić — za udział w powstaniach śląskich nie czekała mnie ze strony Niemców nagroda. A przecież niezależnie od tego mieli oni do mnie pretensje o „dezercję“ podczas pierwszej wojny światowej. Przeszedłem granicę rumuńską i po kilku miesiącach znowu znalazłem się we Francji.

Powtórzyła się historia z pierwszej „światówki“, z tą różnicą, że ongiś wojsko polskie tworzył we Francji generał Haller, a teraz generał Sikorski. Wówczas powróciłem z Francji do kraju, to powróć chyba i teraz.

Dziwne są zrządzenia losu — znowu znalazłem się w Coëtquidan... Obóz prawie nic się nie zmienił, przybyło w nim tylko trochę baraków. Znowu los chciał, że zamieszkałem w tym samym baraku, co i wówczas. Odnalazłem datę i pierwsze litery mego imienia i nazwiska, które wówczas wyciąłem kozikiem na jednym ze słupów barakowych...

Pamiętny czerwiec 1940 roku zapędził na Wyspy Brytyjskie. No i znowu jestem tutaj — w obozie pod Biggar. Czyż to wszystko nie jest dziwne...? Takich jak ja, co podobne przeszli koleje losu, z pewnością jest więcej. Tak, tak — los lubi płatać figle...

Stanisław Błaszczak

NOWE WYDANIE

głośnej książki

STEFANA KORBOŃSKIEGO

„W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ“

w oprawie płóciennej

Cena: £3.3.0, \$9.00, 40.00 F.

„GRYF“ — 171, Battersea Church Road,
London, S. W. 11.



BIURO PODRÓŻY



ANGLOPOL TRAVEL

tuż przy stacji SOUTH KENSINGTON
(róg Exhibition Road — na szlaku Daquise—Ognisko)

38, THURLOE PLACE
LONDON, S. W. 7 — Tel.: KENSington 3223

WSZELKIE BILETY, SPROWADZANIE KREWNYCH, WIZY, KUPONY
BENZYNOWE, BONY HOTELOWE, WAKACJE, PRZEKAZY PIENIĘŻNE.

PRZEJAZDY SAMOCHODEM NA KONTYNET.

PATRZĄC W KRYSTAŁOWĄ KULĘ...

IM WIĘCEJ dowiadujemy się o Rooseveltcie, tym bardziej krytycznie oceniamy jego rolę w historii. Jego złudzenia, jego z gruntu fałszywa ocena Stalina i polityki sowieckiej, jego lekceważenie mniejszych narodów, jego pogardliwy i wrogi stosunek do de Gaulle'a, jego różne fobie i uprzedzenia — wszystko to katastrofalnie zażyło na dziejach świata. Wystarczy przypomnieć sobie Jałtę, aby uświadomić sobie jak fatalną rolę odegrał Roosevelt.

Ostatnio ukazała się w Ameryce książka na inny temat, a jednak mimochodem rzucająca trochę światła na osobę Roosevelta w ostatnim okresie jego życia. Książka jest fascynująca z innych względów, ale mnie, jako dziennikarza politycznego, najbardziej zainteresowały zawarte w niej rewelacje o Rooseveltcie i jego polityce wobec Rosji.

Mam na myśli książkę o niezwyklej Amerykance Jeanne Dixon. Któż to taki? Jeanne Dixon to ...jasnowidz. Nie ulega wątpliwości, że posiada niezwykły i niesamowity dar przewidywania wydarzeń. Niesposób powiedzieć co się na ten dar składa; ta dziedzina pozostaje otoczona tajemnicą. Przepowiednie pani Dixon przypominają przepowiednie Ossowieckiego: Ma ona widzenia, widzi np. czarną chmurę nad Białym Domem. Na parę miesięcy przed morderem w Dallas przepowiedziała zamordowanie Kennedy'ego, ba, starała się go ostrzec. Ostrzegała także innych. Wśród jej wróżb, które się sprawdziły, było także zamordowanie Ghandiego, śmierć słynnej aktorki filmowej Caroli Lombard w wypadku lotniczym, wystrzelenie przez Rosjan pierwszego sputnika, klęska wyborcza Churchilla w 1945, zwycięstwo komunizmu w Chinach.

Jej przepowiednia na temat Kennedy'ego była szczególnie dramatyczna. Wywróżyła mu śmierć na wiele lat z góry. Już w 1952 roku, a więc na 11 lat przed tragedią w Dallas, Jeanne Dixon widziała chmurę śmierci nad Białym Domem, a w nim młodego człowieka o niebieskich oczach. Ta wizja przesładowała ją. W 1956 r. jej przepowiednia, że „niebiesko-okij demokratyczny prezydent, wybrany w 1960 roku, będzie zamordowany“, została wydrukowana w popularnym tygodniku. A na trzy miesiące przed morderem nagle wpadła do mieszkania znajomej, o której wiedziała, że zna prezydenta i błagała ją by ostrzegła Kennedy'ego żeby poniechał planowanej podróży na Południe.

Bo ta czarna chmura nad Białym Domem, którą widziała od lat, rosła i rosła, a teraz zaczyna obniżać się, co jest niechybnym dowodem, że chwila się zbliża. A w dniu zamachu tak była pewna, że coś się stanie strasznego prezydentowi, że — mówiąc o tym dwum przyjaciółkom, z którymi spotkała się na lunch — nie była w stanie czegokolwiek przelknąć. Po chwila przyszła wiadomość o zamachu...

Dziś Jeanne Dixon jest głośna w Ameryce. Ale przed 20 laty mało kto o niej słyszał. W latach wojny znano ją tylko w wąskim kręgu w Waszyngtonie. Tam któregoś dnia dotknęła palców wiceprezydenta Trumana i wywróżyła mu, że zostanie prezydentem „przez akt Boży“. Tam też, pod koniec 1944,

została wezwana do Białego Domu na rozmowę z Rooseveltem. I ten epizod wydaje mi się szczególnie godny uwagi. Nie ze względu na niewątpliwy dar jasnowidztwa pani Dixon, lecz ze względu na reakcje Roosevelta.

Dodajmy, że dokładna data nie jest podana, ale było to pod koniec roku 1944, a więc na niewiele tygodni przed Jałtą.

Okazuje się, że Roosevelt zdawał sobie sprawę z tego, iż nie pożyje długo. Jak się zdaje, zaprosił Jeanne Dixon by mu wywróżyła „ile życia mi pozostało na skończenie roboty, jaką mam zrobić?“

Jasnowidząca dotknęła jego palców. Prerażona, chciała zmienić temat rozmowy, ale gdy Roosevelt nalegał na odpowiedź, powiedziała mu „sześć miesięcy, albo mniej“.

W gabinecie prezydenta zapanowała cisza. Po chwili Roosevelt zadał dalsze pytanie. Świadczy ono, jaki problem gnębił go najbardziej; kto wie nawet czy nie bardziej niż zbliżająca się śmierć. Cóż bowiem chciał wiedzieć prezydent, usłyszawszy że pozostaje mu tylko najwyżej pół roku życia?

„Czy pozostaniemy sojusznikami Rosji?“ — zapytał.

Wiemy, że uprzednio przez lata wojny, w Teheranie i później, wszystko podporządkowywał idei trwałego sojuszu z Rosją. Wmówił w siebie, że jest on możliwy, tak jak wmówił sobie i próbował wmawiać innym że — jak to powiedział Mikołajczykowi parę miesięcy wcześniej — „jednego jestem pewny, że Stalin nie jest imperialistą“. Ale w końcu 1944, po Powstaniu Warszawskim, po rozmowach Churchilla i Harimana ze Stalinem na temat Polski itd. musiał się zachwiać w swym przekonaniu. To go gnębiło. Wydawało mu się, że wszystko zależy od sojuszu z Rosją. Nie chciał zrozumieć, że ten sojusz był niemożliwy. Jego pytanie do wróżki było błaganiem o potwierdzenie jego wiary.

Odpowiedź Jeanne Dixon nie spełniła jego nadziei. Brzmiała ona:

„W końcu będziemy sojusznikami Rosji przeciw komunistycznym Chinom. Ale to jest rzecz daleka o więcej niż jedno pokolenie“.

Reakcja Roosevelta jest szczególnie charakterystyczna. Jeszcze nie dawał za wygraną, rozpaczliwie próbował wyczytać w tych słowach to, czego pragnął.

BILETY KOLEJOWE, SAMOLOTOWE, OKRĘTOWE

Formalności związane
ze sprowadzaniem rodzin
z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio

z a ł a t w i a

TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5

Tel. FRE 1186

MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.

Tel. Moss Side 4683

BIRMINGHAM 2
39, Corporation Street

Tel. MID 1526

„A więc nie myślę się w sprawie Rosji? Koniec końców będziemy z Rosją, a Rosja będzie z nami?”

Ale dla jasnowidzącej była to wciąż sprawa daleka: „Tak, skończy się to naszym sojuszem z Rosją. Ale do tego czasu nasz rząd zmieni się. Nie będziemy mieli zawsze systemu dwupartyjnego jaki znamy”.

Ponieważ do tej pory nie zanoszą się na zmianę ustroju Ameryki, więc chyba i reszta przepowiedni na temat sojuszu z Rosją przeciw Chinom nie szybko się spełni, choć sporo Amerykanów zdaje się o takim sojuszu marzyć.

Prezydent najpotężniejszego państwa na świecie, człowiek od którego w dużej mierze zależały losy świata, rozpaczliwie szukający u jasnowidzącej potwierdzenia swoich niebezpiecznych złudzeń — cóż za tragiczny, przerażający obraz!

Niektóre przepowiednie pani Dixon spełniły się do tej pory tylko częściowo. Tak więc u progę roku 1964 ogłosiła taką przepowiednię: „Przewiduję wielkie niebezpieczeństwo dla Stanów Zjednoczonych w latach 1964-67, zarówno w sprawach wewnętrznych jak i międzynarodowych. To niebezpieczeństwo zwiększy się na skutek dojścia do władzy nowego przywódcy, który zastąpi Chruszczowa w ciągu 18 miesięcy. Jego nazwisko zaczyna się na S. Jest to typ zawodowca i intelektualisty i będzie dla nas znacznie trudniej poradzić sobie z nim, niż z Chruszczowem”.

Sprawdziło się, że Chruszczow odszedł. Ale jego następcą nie nosi nazwiska na S. Niemniej jednak właśnie ostatnio krążyły pogłoski, że wkrótce władzę obejmie Szelepin czy Susłow. Więc poczekajmy.

Zresztą choć pani Dixon tyle wydażeń trafnie przewidziała, sporo jej wróżby okazało się fałszywych. Np. wróżyla wojnę światową, wywołaną przez Chiny przez atak na wyspy Quemoy i Matsu w październiku 1958 czy zwycięstwo konserwatystów w wyborach 1964 roku.

Zanotujmy wszakże, co wróży światu. Oto kilka z jej głównych prorocत्व:

W latach osiemdziesiątych dojdzie do wojny światowej, rozpętanej przez narody Azji i Afryki pod wpływem Chin komunistycznych. Wydarzenia w Wietnamie i Korei doprowadzą do wojny z Chińczykami.

Historia pokaże, że zakaz doświadczeń nuklearnych był rzeczą złą dla Ameryki i będzie wykorzystany przeciw niej.

Chiny dokonają inwazji terytorium Rosji, ale będą to starcia graniczne i nie rozpętają wojny, która wybuchnie

później i w której Rosja i Ameryka będą walczyły razem.

Jeszcze w tym stuleciu Papież będzie poszwankowany w zamachu.

Republikanie wygrają wybory prezydenckie w 1968 roku.

Po wojnie światowej nastąpi odrodzenie duchowe ludzkości. Dzieciatko urodzone 5 lutego 1962 roku gdzieś na Środkowym Wschodzie, zrewolucjonizuje świat i zjednoczy wszystkie wiary. Ludzkość zacznie odczuwać wielką siłę tego człowieka o skromnym, włościańskim pochodzeniu około 1980 roku i jego wpływ rosnąć będzie aż do roku 1999, kiedy to zapanuje na świecie pokój dla wszystkich ludzi dobrej woli.

Kto dożyje, ten przekona się czy ta przepowiednia była tak trafna, jak tyle innych...

Aleksander Bregman

Paryż, we wrześniu 1965.

5 grudnia Francuzi po raz pierwszy wybiorą swego prezydenta w drodze powszechnego głosowania. Za czasów III i IV Republiki tych wyborów dokonywały izby połączone parlamentu — Zgromadzenia Narodowego i Senatu. Generał de Gaulle, gdy doszedł do władzy w 1958 roku, uważał, że to jest grono zbyt ciasne, że prezydent Republiki, wybrany wyłącznie przez parlament, jest moralnie od niego zależny i na skutek tego nie ma w opinii odpowiedniego ciężaru gatunkowego. Nowa konstytucja w swej pierwszej wersji rozszerzyła to grono elektorów do niemal stu tysięcy osób i objęło ono wszystkich radnych departamentalnych i przedstawicieli rad miejskich, a więc ludzi, którzy zostali sami wybrani w głosowaniu powszechnym.

SZYBKIE



PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI

T A Z A B

22, ROLAND GARDENS, LONDON, S.W. 7.

Tel. FRE 3175

W NOWYM JORKU: TAZAB, 100 East 10th St., N. York 3. NY.

WE FRANCJI:

PACZKI do POLSKI i ROSJI

LEKARSTWA!

LEKARSTWA!

ELKA S.A.R.L.

20 rue Legendre,
Paris 17-e.

Zagadka premiera Pompidou

NOWA konstytucja dała bardzo szerokie prerogatywy prezydentowi Francji, który z najwyższego dygnitarza państwowego o funkcjach czysto reprezentacyjnych stał się właściwie szefem władzy wykonawczej, co zresztą znalazło wyraz w zmianie tytułu szefa rządu. Dawniej nazywał się prezesem rady ministrów, a obecnie jest tylko premierem, a dosłownie „pierwszym ministrem” — (premier ministre), bo właściwym przewodniczącym rady ministrów jest sam prezydent Francji. Jeżeli do tego dodać autorytet generała de Gaulle i jego osobisty system rządzenia, to w rezultacie trzeba stwierdzić, że całość władzy znalazła się w jego ręku i rola premiera ogranicza się do rodzaju wielkiego sekretarza prezydenta do spraw rządu.

Ale z czasem generał de Gaulle doszedł do wniosku, że nawet to stutysięczne grono elektorów prezydenckich jest jeszcze za skromne i w słynnym referendum z 1962 roku przeprowadził zmianę konstytucji i obecnie prezydent będzie wybierany w głosowaniu powszechnym — podobnie jak w Stanach Zjednoczonych. Dopiero ten sposób wyboru głowy państwa stawia ją na równi ze Zgromadzeniem Narodowym.

Oczywiście jak w wielu tego rodzaju sprawach, grały tu również pewne względy uboczne. De Gaulle szybko przekonał się, że ci różnego rodzaju radni stanowią główny trzon opozycji przeciw niemu, co doskonale widać w Senacie, wybieranym również przez nich. Gdyby nie przeprowadził zmiany konstytucji, to nawet on sam oświadczyłby nie miałby pewności ponownego wyboru w tym roku. W roku 1958 uzyskał ich głosy, ale wtedy cały kraj był za nim, dziś natomiast wiele się od tego czasu zmieniło. Do tego stopnia, że de Gaulle nosi się z zamiarem likwidacji Senatu w jego obecnej formie i przekształcenia go w rodzaj izby społecznej z głosem wyłącznie doradczym.

Obserwatorzy przewidywali, że ten nowy sposób wyboru prezydenta będzie poprzedzała wielka kampania wyborcza, podobna do tej, jaka ma co cztery lata miejsce w Stanach Zjednoczonych. Pewni specjaliści od wyborów odbyli nawet podróże do Ameryki, by tam na miejscu dokładnie zapoznać się z techniką tej kampanii. Tymczasem ter-

min wyborów zbliża się i do tej pory na większą skalę nie się tutaj nie dzieje.

Są dwie przyczyny tej względnej ciszy. Pierwszą to tajemniczość, jaką de Gaulle otacza swoje własne zamiary — nikt w tej chwili nie wie, czy będzie on ponownie kandydować na prezydenta. Nie wiedzą tego nawet ministrowie i ich opinie pod tym względem są podzielone. Prasa przytacza z nazwiska tych, którzy są przekonani, że de Gaulle nie będzie kandydować — podczas gdy inni są pewni, że będzie. Ma on podobno wkrótce podać publicznie swą decyzję, może nawet przed dojściem tej korespondencji do rąk czytelników sytuacja się wyjaśni. Drugą przyczyną słabego natężenia kampanii wyborczej to zamieszanie w szeregach opozycji. Do tej pory nie wyłoniła ona kontrkandydata o poważniejszym ciężarze gatunkowym — bo ostatni kandydat, François Mitterand, mimo, że uzyskał teoretyczne poparcie całej niemal lewicy z komunistami włącznie, nie ma nawet cząstki tego autorytetu, jakiego należałoby oczekiwać u antygaullistowskiego kandydata. Zresztą komiśnię tylko dlatego zdecydowali się go poprzeć, by nie wystąpić z własnym kandydatem, bo zdają sobie sprawę, że co najmniej milion ich wyborców odda głosy na de Gaulle'a, jeżeli ten będzie kandydować — zwłaszcza kobiety. Wolą więc nie znaleźć się w sytuacji, w której możnaby łatwo policzyć ich głosy, podczas gdy we wspólnej puli lewicy nikt się ich nie doliczy, każda partia zwali na inną głosowanie na de Gaulle'a.

JĘŻELI de Gaulle nie będzie kandydować, to kogo wyznaczy na swego następcę? Obecnie jest niemal pewne, że tym następcą tronu będzie premier Pompidou. Wszyscy obserwatorzy i komentatorzy polityczni są co do tego zgodni. Generał kazał mu podróżować po Francji, pojawiać się w telewizji, przemawiać, pojawiać się publicznie — jednym słowem dawać się poznawać opinii publicznej.

Gaulliści starej daty nie są zbytnio z tego wyboru zadowoleni. Premier Georges Pompidou, 55 lat, wszedł nagle na scenę polityczną i został szefem rządu w sposób, jaki ich zaskoczył, a niektórych nawet oburzył. Nie był on nigdy na nic wybranym, nie był de-

putowanym, ani senatorem, ani nawet radnym departamentalnym. Więcej, do dziś nie jest członkiem gaullistowskiej partii U.N.R. (Unii dla Nowej Republiki), jak w ogóle nigdy do żadnej partii nie należał. W czasie wojny był profesorem licealnym, manifestował w swym gronie sympatie dla nieznanego generała, przemawiającego do Francuzów przez radio z Londynu, ale nie należał do żadnego gaullistowskiego ugrupowania czy ruchu, nawet z Resistance miał dość słabe powiązania. A najgorsze to, że do gabinetu premiera przeszedł bezpośrednio zza biurka dyrektora generalnego banku Rothschildów, a ta rodzina nie cieszy się zbyt wielką popularnością we Francji. Lewica do dziś powtarza, że Pompidou został de Gaulle'owi „wypożyczony” przez Rothschildów, że jest narzędziem wielkiej finansjery itd. Mogło by się wydawać, że Pompidou jest kandydatem, którego najłatwiej będzie opozycji zwalczać.

KIM jest premier Pompidou i jak to się stało, że zrobił tak olśniewającą karierę, nie będąc do niej zupełnie przygotowanym?

Ojciec jego jest profesorem licealnym, a dziadek był zwykłym wieśniakiem ze środkowej Francji, nie posiadającym nawet własnej farmy, lecz pracującym u swego brata. Młody Georges uczył się doskonale, choć zawsze mało pracował, ojciec uzyskał dla niego stypendium i umieścił go w „Ecole Normale Supérieure”, która we Francji jest pepinią intelektualistów i przygotowuje do kariery profesorskiej i naukowej. Konkursowy egzamin wstępny do niej jest jednym z najtrudniejszych — Pompidou zdał go świetnie. Znowu wydawało się, że nic w niej nie robił, jego pasją to teatr, abstrakcyjne malarstwo i nocne życie Paryża — rzadko wracał do siebie przed północą. Okazało się jednak, że miał czas na wszystko, bo pierwszy w swej klasie zrobił na uniwersytecie magisterium. Jego biograf, Merry Bromberger twierdzi, że dzięki nadzwyczajnym zdolnościom i pamięci pracuje cztery razy szybciej od innych. Szkołę tę skończył z pierwszą lokatą i jeden z profesorów oświadczył mu, że Szkoła przyznaje mu z zalem tę lokatę, bo był uczniem, który pracował najmniej, niestety nie może postąpić inaczej. Wyszedł z niej jako profesor

języka francuskiego, łaciny i greki. Nauczał najpierw w Marsylii i później w Paryżu.

Po wyzwoleniu Paryża w 1944 roku jeden z jego szkolnych kolegów ofiarował mu stanowisko w gabinecie gen. de Gaulle'a — „potrzebujemy kogoś, kto umie dobrze pisać po francusku“, powiedział. Wiadomo jaką wagę de Gaulle przywiązuje do poprawności i staranności języka, a Pompidou, rozmiłowany w literaturze i poezji, ma styl godny wielkich piór Francji.

Tam zwrócił na siebie uwagę generała, nie tylko z powodu opanowania języka, ale uderzyła go zdolność syntezy, szybkiego opanowania zawikłanych problemów i trzeźwość sądu tego młodego intelektualisty — a przede wszystkim jego dyskrecja. Od Pompidou nigdy nic nie wycieka. Stał się szybko jednym z najbliższych i najbardziej zaufanych współpracowników generała, choć niewiele osób zdawało sobie z tego sprawę.

Gdy de Gaulle odszedł od władzy Pompidou nie wrócił do liceum, lecz zaproponowano mu wejście do Rady Państwa. Ta bardzo szanowana we Francji instytucja jest równocześnie najwyższym trybunałem administracyjnym i doradcą prawnym rządu, który w pewnych, określonych przez konstytucję wypadkach, musi wysłuchać opinii Rady Państwa przed wydaniem swych dekretów. Pompidou zastrzegł się, że nigdy nie dotknął prawa i nie ma o nim pojęcia, ale wszedł do tej Rady. Wytłumaczono mu, że od znajomości praw jest ważniejszy zdrowy rozsądek i zdolność opanowania zagadnień. Wkrótce okazało się, że Pompidou daje sobie radę z najbardziej zawikłanymi problemami prawa publicznego i opanował je bez przerywania swego wygodnego i przyjemnego trybu życia — miał czas na wszystko.

W roku 1958 de Gaulle powrócił do władzy jako szef rządu i natychmiast wziął Pompidou na swego dyrektora gabinetu, mimo że ten tymczasem znowu zmienił pracę — został naczelnym dyrektorem banku Rothschildów, choć, jak sam twierdzi, nie miał pojęcia ani o ekonomii, ani o finansach i nie umiał nawet czytać kursów giełdowych. Pompidou zgodził się zostać u boku de Gaulle'a przez sześć miesięcy — do końca 1958 r. Generał został prezydentem, a jego dyrektor gabinetu wrócił do Rothschildów.

W r. 1962 de Gaulle'a zlikwidował ciężki problem Algerii i postanowił zmienić premiera, którym był Michel Debré. Nie jest tajemnicą, że Debré

był zawsze gorącym zwolennikiem „Algerii francuskiej“ i robił co mógł, by nie dopuścić do porzucenia jej przez przyznanie temu krajowi niepodległości. Jedyne całkowita lojalność i wierność de Gaulle'owi były powodem wykonywania polityki, której był przeciwnikiem. A generałowi wówczas był taki premier potrzebny, by wykazać opinię, że nawet Debré akceptuje jego koncepcję — bo innej nie ma. Biedny Debré dziesięć razy ofiarowywał swą dymisję, generał dziesięć razy jej nie przyjął. Gdy wreszcie w Evian dokonano ostatniego aktu algerskiego de Gaulle podziękował swemu premierowi, co ten głęboko odczuł — licząc, że za wykazane poświęcenie pozostanie przy władzy, gdy już nie będzie musiał łamać swego sumienia i działać wbrew przekonaniom. Wielu komentatorów polityki de Gaulle'a przytacza to jako przykład bezwzględności prezydenta Francji i jego nieliczenia się z przyjaciółmi ani z przyjaźniami.

Ku ogólnemu zdumieniu premierem został Pompidou — a najwięcej zdziwił się on sam, podczas gdy pani Pompidou błagała go, by odmówił. Powrót na arenę publiczną, a zwłaszcza na takie stanowisko, oznaczał koniec beztróskiego i przyjemnego życia, nocnych eskapad, lata spędzanego w Saint-Tropez w towarzystwie Françoise Sagan czy Brigitte Bardot i ich kompanów.

Pompidou się wreszcie zgodził, zrezygnowany. Rzadki wypadek, by kogoś trzeba było zmuszać niemal do objęcia takiego stanowiska. I dziś zarysowuje się możliwość zajęcia miejsca de Gaulle'a w Pałacu Elizejskim. Znowu najbardziej zrozpaczona jest pani Pompidou, bo gdy zostanie pierwszą damą Francji, to będzie musiała definitywnie skończyć nawet z obecnym trybem życia, bo mimo presji de Gaulle'a, państwo Pompidou zdecydowanie odmówiło przeniesienia się do Hotelu Matignon, oficjalnej rezydencji premiera. Mieszkają, jak dawniej na wyspie św. Ludwika w pobliżu Biblioteki Polskiej, gdzie nieskrępowanie przyjmują swych dawnych przyjaciół, skąd mogą robić swe dyskretne wypadki do teatrów, nocnych lokali, czy do rodziny, bo te więzy u Pompidou są bardzo silne.

DLACZEGO de Gaulle upatrzył sobie właśnie Pompidou? Niewątpliwie ma do niego zaufanie i wierzy, że będzie on wiernie kontynuować gaullistowską linię polityczną. Po drugie Pompidou w oczach de Gaulle'a reprezentuje najlepszą elitę Francji, intelektualistę, humanistę o wysokiej

kulturze, a wiadomo jaką awersję generał odczuwa w stosunku do technokratów i różnego rodzaju specjalistów. Ci, według niego, mogą zajmować wyłącznie stanowiska podrzędne, ale nigdy kierownicze — rządzi i decyduje humanista, a technokrata jest od tego, by te decyzje wiernie wykonywać. Wreszcie Pompidou nie jest związany z żadną partią, z żadnym ugrupowaniem, koterią czy mafią. Jest więc niezależny, co w oczach de Gaulle'a jest naczelną zaletą męża stanu. Obok tego życie prywatne i rodzinne Pompidou jest bez zarzutu — a to się u de Gaulle'a liczy.

Ale Merry Bromberger w swej książce o Pompidou przytacza, że de Gaulle, zapytany przez jednego z swych bliskich, co sądzi o Pompidou, odpowiedział: „Pompidou — to zagadka“.

Co miał generał na myśli — nie wiadomo. Ale gdyby brać za dobrą monetę wiele plotek i pogłosek, które obecnie obiegają Paryż — to ta zagadkowość nie byłaby bez kozery.

Jeden z poważnych tygodników pisze, że de Gaulle dlatego tak gwałtownie zwalcza koncepcję integracji europejskiej i atlantyckiej, „bo zdaje sobie sprawę, że wszyscy jego następcy, z Pompidou włącznie, rzucą się na tę drogę integracyjną, za swego życia stara się więc wznieść zaporę przeciw temu biegowi historii“. Pewni dziennikarze, którzy normalnie są dobrze poinformowani i wiedzą co w trawie piszczy, potwierdzają ten pogląd. Niektórzy nawet idą dalej i mówią, że Pompidou miał zapewnić b. premiera Antoine Pinay, którego ugrupowania centrum namawiają by zgłosił swą kandydaturę na prezydenta Francji, że może być spokojny o sprawę zjednoczonej Europy i solidarności atlantyckiej, bo on, Pompidou, nie będzie kontynuować polityki de Gaulle'a. Że zresztą de Gaulle tylko czasowo hamuje pewien proces, który sam uważa za nieunikniony, bo jego zdaniem w obecnej sytuacji jest za wcześnie na integrację, w tej chwili nie leży ona w interesie Francji. Ale jutro może być inaczej.

Gdyby te pogłoski były prawdziwe, czy należałoby sądzić, że Pompidou jest gotów zdradzać swego wielkiego szefa? Byłby to pogląd bardzo prymitywny, bo to nikt inny tylko de Gaulle wyniósł urząd prezydenta na takie wyżyny, że nie może wymagać od swego następcy, by ten wyrzekł się niezależności i postępował inaczej, niż mu nakazuje sumienie i poczucie dobra publicznego.

Marian Czarnecki

Z ŻYCIA POLSKIEGO W ŚWIECIE

Wizytacja Ks. Biskupa Dr. W. Rubina w Perth

Ks. biskup dr Wł. Rubin, delegat Prymasa Polski do spraw uchodźczych, w czasie swego objazdu ośrodków polskich w Szkocji, zawitał również dnia 28 sierpnia br. do Perth.

Wizytację swoją rozpoczął modłami nad grobami poległych żołnierzy polskich na cmentarzu w Perth. Później wygłosił kazanie w czasie Mszy św., celebrowanej przez ks. proboszcza W. Drobinę w kościele św. Jana.

Po Mszy św. ks. Biskup goszczony był w miejscowym Domu Kombatanta przy 5, Barossa Place, gdzie gospodarz Domu kol. R. Scott, przywitał go u wejścia, wręczając staropolskim zwyczajem chleb i sól. Następnie w towarzystwie prezesa Koła SPK w Perth, kol. L. Dopierały, miał możliwość zetknąć się osobiście z licznie zebranymi Polakami, którzy przybyli aż z tak odległych miejsc jak Aberdeen, aby zobaczyć się ze swoim duchowym przewodnikiem.

Później, w czasie przyjęcia, przy pięknie udekorowanych, przez miejscowe Panie, stołach, kol. L. Dopierała witał krótkim przemówieniem dostojnego gościa, a ks. prob. Drobiną wznosił toast na jego cześć, po czym wszyscy odśpiewali „Sto lat“.

Ks. Biskup odpowiedział w pięknych słowach. Wszystkich obecnych uderzyła

i ujęła za serce swoboda i bezpośredniość ks. Biskupa, który nie tylko przyłączył się, ale również dyrygował chóralnym śpiewem piosenek żołnierskich.

Na okres wizyty ks. Biskupa przybył również do Perth kol. S. Soboniewski, prezes Zarządu Głównego SPK.

A. Zieliński

ŚWIĘTO ŻOŁNIERZA POLSKIEGO W LIÈGE

Staraniem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów Koła Liège w niedzielę 5 września odbył się uroczysty obchód Święta Żołnierza Polskiego w związku z 20-tą rocznicą zakończenia drugiej wojny światowej.

O godz. 16.00 została odprawiona uroczysta Msza św. na intencję Ojczyzny w kościele St. Servais, którą odprawił i podczas której wygłosił podniosłe kazanie ks. Leszek Charuba. Pieśni religijne wykonał chór Stow. Katolickiej Młodzieży Polskiej pod kierownictwem p. B. Lachowskiego. Po obu stronach ołtarza ustawione były liczne poczyty ze sztandarami polskimi i belgijskich organizacji kombatantkich. Wierni wypełnili kościół po brzegi. W pierwszej ławce honorowej zajęli miejsce przedstawiciel armii belgijskiej oraz przedstawiciele organizacji kombatantkich belgijskich i organizacji polskich.

O godz. 17.00 na sali 29 rue des Anglais odbyła się uroczysta akademie. Po otwarciu i powitaniu zebranych przez prezesa Koła SPK Liège kol. Czarkowski krótkie przemówienia okolicznościowe wygłosili ks. Leszek Charuba, przedstawiciele organizacji kombatantkich belgijskich oraz prezes Zarządu Oddziału SPK Belgia kol. Wł. Drozdowski. Część tą zakończono odegraniem hymnu narodowego belgijskiego i odegraniem i odśpiewaniem hymnu narodowego polskiego.

Część drugą artystyczną uświetniła w bogatym repertuarze pieśni znakomita polska artystka śpiewu Weronika Bell, która przybyła z Paryża z małżonkiem Jackiem Machniewiczem, kompozytorem wielu tekstów do pieśni wykonanych przez Weronikę Bell.

W pierwszej części Weronika Bell wykonała szereg pieśni polskich wojskowych i narodowych. Po krótkiej przerwie, w czasie której utwory poezji polskiej recytował mały Marek Bellier, uczeń polskiej szkoły nauki przedmiotów ojczystych. Weronika Bell odśpiewała szereg pieśni polskich, francuskich i włoskich. Śliczny głos oraz pełna czaru osoba Weroniki Bell podbiła serca wszystkich słuchaczy, którzy wypełnili szczerze salę zmuszając znakomitą artystkę do licznego bisowania.

Podczas śpiewu akompaniował artystce Jean Housen, belgijski profesor muzyki. Nad częścią techniczną programu artystycznego czuwał kol. Wojciechowski, referent kulturalny Koła SPK Liège.

Wspaniały recital śpiewaczy Weroniki Bell został zakończony wręczeniem jej przez delegację Koła bukietu białoczerwonych kwiatów oraz wspólnym odpowianiem z publicznością na sali „Roty“ Konopnickiej.

Po części artystycznej odbył się wieczorek taneczny przy dźwiękach polskiej orkiestry. Część kulinarną przygotowali pp. Włodarczykowie i Bagińscy.

POWITANIE

J. E. Ks. Bpa W. RUBINA W BELGII

W dniu 11 lipca 1965 r. w Charleroi odbyło się uroczyste powitanie ks. Biskupa W. Rubina przez polską emigrację w Belgii. Uroczystość ta miała miejsce w ramach Komitetu Miejskowego Millennium.

Po uroczystej Mszy św. z udziałem Ks. Rektora H. Repki i księży polskich odbyła się Akademia powitalna na której program złożyły się deklamacje, śpiewy, tańce i obrazek sceniczny o Ślubach Jasnogórskich Króla Kazimierza w opracowaniu p. Jana Goppolda, prezesa SPK Koło Charleroi.

W imieniu Komitetu Millennium, Prezydium witał Gościa p. T. Zyberk-Plater. Następnie przemawiali delegaci Stowarzyszenia Polskiej Młodzieży Katolickiej, Mężów Katolickich i Zw. Polaków w Belgii. W imieniu SPK Belgia witał ks. Biskupa, opiekuna duchowego emigracji politycznej p. S. Merło, sekretarz generalny, który między innymi powiedział, że Kraj nasz z okupacji hitlerowskiej dostał się pod okupację komunizmu. Wojna dla kombatanta nie skończyła się w 1945 roku. Walka trwa. Kombatant polski pozostał nadal żołnierzem Rzeczypospolitej Polskiej Niepodległej, o którą toczy boje wszędzie, gdzie się znajduje.

„Tutaj na sali — mówił p. Merło — mamy wielu kombatantów, którzy zjawili się w Belgii po wojnie, jako żołnierze 1 Dyw. Panc. lub jako byli jeńcy wojenni z obozów niemieckich. Oni pierwsi wówczas stanęli do szeregów, aby ratować Europę Zachodnią przed klęską ekonomiczną i niebezpieczeństwem zalewu komunistycznego. „Czarny diament“ — węgiel, leżał wówczas w pokładach. Nie było ludzi do pracy. Kombatanci Polacy z narażeniem swego zdrowia i życia zeszli do kopalń. I zwyciężyli. Europa została uratowana.

Nie spoczęli jednak na laurach. Nie

MOŻESZ WYSLĄC
WSZYSTKO
przez
Grabowskiego

Lekarstwa
żywność
Pieniądze
Owoce

Ortaliony

(bez podpinka i z podpinką)

i tak dalej

Nowy cennik z kalendarzem 1965

Każdy artykuł do wyboru
JEŚLI LEKI TO Z APTEKI

M. B. GRABOWSKI

175, DRAYCOTT AVENUE,
London, S.W.3. Tel.: KEN 0750

ustali w marszu do Polski Niepodległej.

Kombatant wierny nadal hasłu wyrytego na naszych wojskowych sztandarach: Bóg, Honor i Ojczyzna — gotów jest złożyć najwyższą ofiarę: Chrześcijanina, Polaka i Żołnierza“.

Po Akademii Ks. A. Muller, miejscowy proboszcz polskiej parafii podejmował Dostojnego Gościa tradycyjną polską kolacją z udziałem przedstawicieli niepodległościowego społeczeństwa polskiego w Belgii.

W 21-ROZNICĘ WYZWOLENIA MIASTA AXEL

Axel, miasteczko holenderskie, które w dniu 19 września 1944 roku, po kilkudniowych zaciętych walkach i przy minimalnych stratach własnych, wyzwolone zostało przez oddziały 1. polskiej Dywizji Pancernej, nie zapomina (i nigdy nie zapomni!) o ofierze krwi Żołnierza Polskiego i dlatego też rokrocznie w sposób nader wzruszający, obchodzi rocznicę swego wyzwolenia.

Obchód 21-rocznicy wyzwolenia m. Axel rozpoczął się w sobotę 18 września, powitaniem delegacji Koła SPK „Vlissingen“ oraz grupy polskich kombatantów z St. Niklaas (Belgia) w ratuszu przez burmistrza p. M.K. van Dijke oraz prezesa Towarzystwa „Axel-Polen“ p. D. J. Oggel'a. Ze strony polskiej przemawiał prezes SPK w Holandii, inż. J. Minkiewicz.

Z kolei udano się w pochodzie na cmentarz katolicki by złożyć kwiaty na grobie śp. pani Szydłowskiej, a następnie na cmentarz miejski, gdzie pod pomnikiem przy grobach poległych w walkach o Axel żołnierzy polskich oraz na grobach ludności cywilnej, złożone zostały wieńce i kwiaty.

Po powrocie do ratusza, wyruszone w pochodzie przy dźwiękach werblów pod pomnik ufundowany przez miejscowe społeczeństwo dla uczczenia pamięci Polaków poległych za wolność Holandii, pod którym wieńce złożyli burmistrz m. Axel p. M. K. van Dijke, prezes kombatantów polskich z St. Niklas p. K. Hlebowicz oraz prezes SPK w Holandii, inż. J. Minkiewicz. Po odśpiewaniu przez chór dziewcząt holenderskich „Jeszcze Polska nie zginęła“, a następnie hymnu holenderskiego, pod pomnik podchodziły parami dzieci szkolne, które przed pomnikiem ułożyły duży i barwny dywan kwiecia. Była to jak zawsze najbardziej wzruszająca część uroczystości.

Po południu w ramach obchodu odbył się piąty z kolei „marsz wyzwolenia“ organizowany przez axelski związek sportowy W.S.V. „Emma“, w któ-

rym na trasach 5, 10, 15, 20, 25 i 40 km udział wzięło ponad tysiąc osób z dużą przewagą dzieci i młodzieży. Weteranami w tym towarzystwie była grupa polskich kombatantów z prezesem SPK inż. J. Minkiewiczem na czele. Pierwszy i wspólny dla wszystkich grup etap marszu prowadził do Krzyża Dragonów nad szosą do Hulst, u stóp którego również złożone zostały wieńce i kwiaty, a trębacz odegrał „The Last Post“.

Spod krzyża goście polscy wrócili do miasta, by wziąć udział w jubileuszowym (z okazji 20-lecia) zebraniu Towarzystwa „Axel-Polen“, połączonym z wyświetlaniem filmów z okresu wyzwolenia oraz późniejszych uroczystych obchodów. Zebranie zagaikł prezes Twa „Axel-Polen“ p. D. J. Oggel podkreśleniem raz jeszcze nierozzerwalnych więzów łączących mieszkańców m. Axel z wolnymi Polakami. Prezes SPK inż. J. Minkiewicz podkreślił w swym przemówieniu wielkie pod tym względem zasługi Towarzystwa „Axel-Polen“ i złożył z okazji jubileuszu serdeczne gratulacje.

Po wspólnej kolacji i uroczystości rozdania nagród zwycięzcom „marszu wyzwolenia“ goście polscy podejmowani byli w ratuszu tradycyjną „lampką wina“. W ramach obchodu przeprowadzona została tradycyjna zbiórka publiczna na polskich inwalidów wojennych.

Święto Żołnierza Polskiego w Sao Paulo

Dzień Żołnierza Polskiego i 45-lecie zwycięstwa nad Czerwoną Armią pod Warszawą był jak co roku, obchodzony 15 sierpnia przez tutejsze Koło SPK. O godz. 10 rano, wobec licznie zebranych członków Koła i jego sympatyków, członkowie Zarządu złożyli wieniec, oddając cześć żołnierzowi brazylijskiemu, na pomniku Żołnierza Korpusu Ekspedycyjnego Brazylii w drugiej wojnie światowej. Następnie delegacja Związku Ex-Kombatantów Brazylijskich z jego sekretarzem Francisco de Santos na czele, złożyła wieniec, na którego wstędze był napis: „Żołnierzowi Wolnej Polski“.

Po złożeniu wieńców do zebranych przemówił płk dypl. S. P. Koszutski, który, nawiązując do wypadków sprzed 45-ciu laty, kiedy rozegrała się 18-ta decydująca bitwa świata, powiedział, że historia ma swoje przypyły i odpływy, i że nie należy tracić nadziei, stojąc mocno na stanowisku pełnej niepodległości Polski. Przemówienie nagrodzone zostało serdecznymi oklaskami. Zostało ono następnie przetłumaczone przez wiceprezesa Koła, F. Piotrowskie-

go na język portugalski, po czym głos zabrał sekretarz Braz. Zw. Ex-Kombatantów w S. Paulo, Fr. de Santos, który oddając hold bohaterstwu żołnierza polskiemu, podkreślił, iż żołnierz polski uratował świat zachodni w 1920 roku przed czerwonym najazdem, był się samotnie we wrześniu 1939 roku i walczył na wszystkich frontach w drugiej wojnie światowej.

Tegoż dnia w polskiej kaplicy kościoła N. S. Auxiliadora, proboszcz polskiej parafii ks. dr A. Łatka, odprawił uroczyste nabożeństwo, na którym kazanie wygłosił przybyły niedawno z Kraju ks. W. Kosiorek.

S.P.K. Belgia — 21 Rocznic Oswobodzenia Brukseli

W dniach 4 i 5 września 1965 r. odbyły się w Brukseli uroczystości, związane z 21-ą rocznicą wkroczenia wojsk alianckich do Brukseli i oswobodzenia Belgii. Szczególnie uroczyste była obchodzona ta rocznica w Brukseli.

W dniu 4 września w poszczególnych gminach Brukseli odsłonięto tablice pamiątkowe ofiar wojny. W Brukseli—Forest odbyła się manifestacja na cześć 2 armii brytyjskiej, która pod dowództwem gen. Dempsey w dniu 3 września 1944 roku wroczyła do stolicy Belgii. Tablica pamiątkowa wmurowana na moście kolejowym — ku upamiętnieniu dnia wyzwolenia spod okupacji nazistowskiej — była okazją do podniosłych ceremonii. W asyście pocztów sztandarowych: „Brigade Piron“ (walcząca u boku aliantów), „British Legion“, kombatantów belgijskich i Resistance oraz zaproszonej na te uroczystości — SPK Belgia, złożyli wieńce i kwiaty: gen. Hunter, M.B.E., D.S.O., reprezentant ambasady brytyjskiej w Belgii; M. Wielemans — burmistrz Bruxelles—Forest, mjr. prof. Bertelson w imieniu „Brigade Piron“ i ppłk. Stefan Lebelt wraz z kpt. Stanisławem Merło — w imieniu BKM „Pogoń“ i SPK Belgia. Chorążym SPK był chor. Kazimierz Ullman.

W dniu 5 września — delegacja SPK Belgia wzięła udział w składaniu wieńców i kwiatów przed pomnikiem Żołnierza Brytyjsko-Belgijskiego, przed pomnikiem Nieznanego Żołnierza i pomnikiem „Brigade Piron“. Poza delegatami W. Brytanii i miasta oraz SPK i „Pogoni“ na wspomnianych ceremoniach był obecny gen. Piron, który w rozmowie z delegacją SPK prosił o przekazanie pozdrowień gen. Andersowi i gen. Maczkowi.

W godzinach popołudniowych odbył się galowy obiad żołnierski w salonach Kasyna Lotnika w Brukseli, na który specjalnie została zaproszona delegacja

SPK. W atmosferze koleżeństwa żołnierskiego spotkanie „alianckie“ przeciągnęło się do późnego wieczora.

Specjalnie należy podkreślić serdeczny stosunek kombatantów Belgów i Anglików do swoich towarzyszy walki — Polaków. Każdy z obecnych pragnął choć parę słów przemówić do delegatów SPK i mocno uściśnąć przyjacielską dłoń polskiego kombatanta. (S)

SPK BELGIA NA UROCZYSTOŚCIACH W NIEUPORT

Dorocznym zwyczajem w Nieuport, rybackim porcie belgijskim kombatanci uroczysto obchodzą rocznicę zatrzymania przez Belgów ofensywy niemieckiej w 1914 roku nad rzeką Yser. W Nieuport była kwatera główna króla Alberta.

W roku ub. w 50 rocznicę tego czynu w manifestacji w Nieuport wziął udział obecny król Belgów, Baldwin. Obok licznej reprezentacji kombatantów belgijskich, amerykańskich, angielskich, francuskich, luksemburskich była również delegacja SPK Belgia.

Tegoroczne uroczystości miały miejsce w dniu 1 sierpnia. Do Nieuport zjechały się poczty sztandarowe organizacji kombatantów z dwóch wojen światowych. Ponad 2000 sztandarów belgijskich, alianckich i polskich wraz z przeszło 10.000 rzeszą kombatantką załadniły spokojne uliczki portu rybackiego.

Uroczystości rozpoczęły się Mszą św. za króla Alberta i poległych kombatantów w obu wojnach światowych.

Defiladę na placu przed ratuszem przyjął gen. Engelen, reprezentant króla w otoczeniu osobistości belgijskich i alianckich. Ambasadora Francji reprezentował płk de Hays, attache wojskowy, Anglii — gen. Hunter attache wojskowy W. Brytanii. Kombatantów polskich na trybunie reprezentował kpt. Merło S., sekretarz generalny SPK Belgia.

Pochód otworzyła młodzież harcerska. Niosła ona wieńce i kwiaty. Wiązanka kwiatów biało-czerwonych od SPK Belgia była niesiona przez małą harcerkę belgijską na czelu pochod. Po młodzieży szły poczty sztandarowe belgijskie, francuskie, polskie (z kół SPK Bruksela, Liège, Charleroi oraz Zw. Rez. i B. Wojskowych z Francji-Północ), angielskie, amerykańskie i luksemburskie.

Defilada trwała ponad godzinę. W tym samym szyku pochód udał się pod pomnik Alberta, wzniesionego na miejscu postoju kwatery głównej.

Po przemówieniach organizatorów

uroczystości nastąpiło składanie wieńców i kwiatów przed pomnikiem. Organizacje i ich delegaci byli zapowiadani przez mikrofon. W imieniu polskich kombatantów wiązanek kwiatów ofiarowanych przez SPK Belgia złożył p. Merło Stanisław.

Następnie odbyło się składanie wieńców przed pomnikami poległych Francuzów i Anglików.

Po zakończeniu uroczystości w Nieuport delegacje sztandarowe udały się autobusami do Dunkierki, gdzie po raz pierwszy miały miejsce uroczystości braterstwa broni alianckiej w ostatniej wojnie światowej. (u)

DZIEŃ ŻOŁNIERZA POLSKIEGO W RIO

Koło SPK w Rio de Janeiro uczciło Dzień Żołnierza Polskiego uroczystym obchodem, który rozpoczął się Mszą św. w kościele polskim z udziałem przedstawiciela prezydenta Brazylii mjr. José Miguel, gen. Ignacio Reboucas Melo, col. Lourival de Valois Correia — prezesa Stowarzyszenia Kombatantów francuskich, belgijskich, angielskich i portugalskich.

Po mszy odbyła się ceremonia złożenia wieńca przy grobie Nieznanego Żołnierza. Wieniec złożył prezes SPK Janusz Pawełekiewicz w towarzystwie dwu wiceprezesów Juliusza Targowskiego oraz Karola Nowiny-Szczerbińskiego. Złożony został również wieniec od Kombatantów brazylijskich ku czci Żołnierza Polskiego. Przemówienie okolicznościowe wygłosił płk Lourival de Valois Correia podkreślając w nim dzielność żołnierza polskiego, patriotyzm Polaków oraz tradycyjne węzły przyjaźni łączące narody polski i brazylijski.

24 sierpnia z inicjatywy alianckich związków kombatantów: angielskiego, belgijskiego, francuskiego i polskiego odbyła się kolacja z udziałem prezydenta Brazylii marsz. Humberto de Alencar Castelo Branco, w czasie której dostojnemu gościowi wręczono dyplom czterech stowarzyszeń kombatantów. Grupa polska była reprezentowana przez 20 osób.

ŚWIĘTO ŻOŁNIERZA I ROCZNICA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO W SPK BRUKSELA

W dniu 14 sierpnia 1965 roku w lokalu SPK Koła Bruksela odbyła się uroczysta Akademia w rocznicę odparcia w 1920 roku nawały bolszewickiej na Polskę.

Uroczystość zagała po polsku i francusku kol. K. Wójcik, prezes Koła SPK

Bruksela witając obecnego ks. Kapelana SPK Belgia i wszystkich zebranych tak licznie gości i członków SPK.

Ks. Kapelan dr K. Brzezina w krótkich słowach podzielił się z zebranymi wspomnieniami osobistymi z okresu kiedy cały naród polski chwycił za broń, której było b. mało aby iść na front bronić Warszawy, stolicy i symbolu Odrodzonej Polski. „Modlono się o broń, o chleb, o obuwie — brakowało wszystkiego“. Hordy komunistyczne zostały odparte od stolicy i pobite bronią, na którą było wówczas armię polską stać. Armia polska pod dowództwem marszałka Piłsudskiego odniosła zwycięstwo wielkie. Uratowano Europę od komunizmu. Stał się polski „Cud nad Wisłą“, bo żołnierz, inteligent, robotnik i rolnik wraz z księdzem stanęli w jednym szeregu, aby swoją pierśią zastąpić to co jest dla każdego Polaka najdroższe — WOLNOŚĆ.

Referat zasadniczy wygłosił kol. Piętka, wiceprezes Koła SPK Bruksela. Nakreślił on historię armii polskiej od chwili jej likwidacji przez ostatni rozbiór w 1795 r., aż po ostatnią wielką wojnę, likwidującą oddziały polskie na Zachodzie i AK w 1945 roku. Żołnierz AK zesłany przez agentów sowieckich do obozów śmierci w tajgach syberyjskich.

Prelegent mówił o Legionach Piłsudskiego. O armii gen. Hallera we Francji. Wszyscy tworzyli wielką siłę dla niepodległości Polski.

Z kolei mówił kol. W. Drozdowski, prezes SPK Belgia o miłości narodu polskiego do żołnierza. Kult żołnierza nie był sztuczny, wypływał on z postawy całego narodu do jego heroizmu, poświęcenia się Ojczyźnie.

Następnie wręczono Odznaki Honorowe SPK nadane przez Zarząd Główny w Londynie następującym osobom: Złotą otrzymał kol. W. Dehnell, b. prezes SPK Koła Bruksela, a obecnie członek Zarządu. Srebrne otrzymali: kol. Rzeźnik Henryk, zasłużony kierownik szkoły polskiej w Vucht, Limburgia; kol. Jan Świdorski, członek zarządu SPK Bruksela; kol. Pakulski, długoletni skarbnik Koła; Pani Ludwika Verstaepfen, bibliotekarka Koła od założenia (1949) i Mr. Jean Vandenberg, Belg, członek wspierający SPK Bruksela.

Po czym spożyto żołnierską kolację podczas której kol. A. Szeliga wygłosił własny wiersz o polskim żołnierzu, hucznie oklaskiwany przez obecnych, a pieśni wojska polskiego do późna w nocy wywodziły nastrój wspólnych „szarych szeregów“ frontu kombatanta polskiego w Brukseli. (w)

ZEGAR ASTRONOMICZNY

JEDNYM z uroków przeszłości jest że obfituje ona w niespodzianki. Historia, a szczególnie ta jej część, którą nazywamy „dziejami kultury“ — pełna jest paradoksów. Często to, co w chwili gdy się działo, wyglądać mogło na stratę, na zaprzepaszczenie jakichś istotnych wartości czy dzieł, okazuje się z czasem ich ocaleniem. I na odwrót.

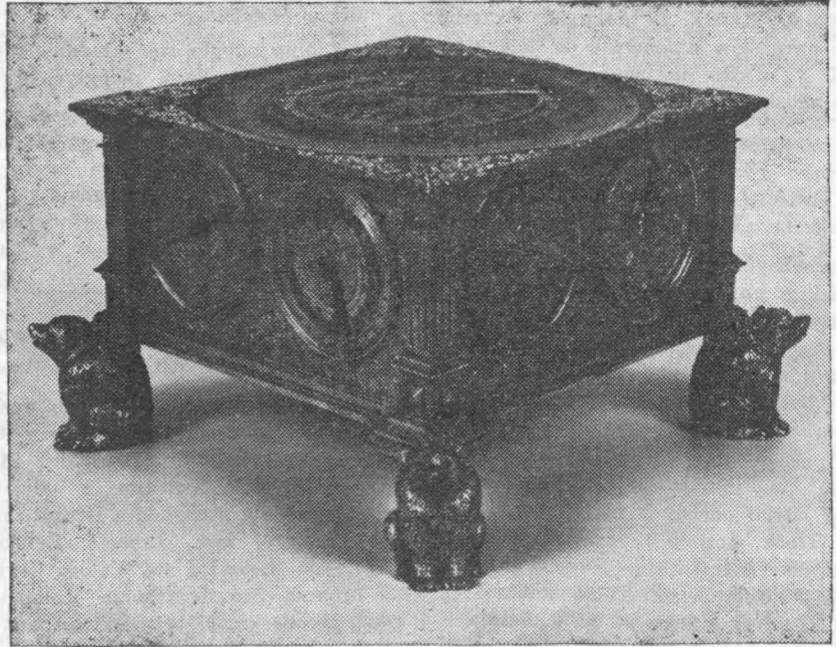
Oto parę przykładów, by uniknąć gołosłowności: „Potop“ szwedzki był nie tylko politycznie, ale także (a może przede wszystkim) ekonomicznie i kulturalnie wielkim dla Polski ciosem. A przecież wiele z tego co zrabował i wywioził Karol-Gustaw oraz jego armia — zachowało się do dziś. Cieszy turystę i uszczęśliwia badacza bogactwem i nieprzeciętną wartością poloników w muzeach, bibliotekach i archiwach Sztokholmu czy Upsali.

Przeciwnie: zbiory Biblioteki Raperswilskiej, zbiory batignolskie, oraz Towarzystwa Literackiego Przyjaciół Polski w Londynie zwiezione zostały z bezpiecznych schronisk w Szwajcarii, Francji i Anglii do Warszawy — na zagładę, na zniszczenie. Zachowane katalogi pozwalają zaledwie ocenić rozmiar uszczerbku, zniszczenia.

Do owych pozornych strat zaliczyć można wywiezienie przez Jana-Kazimierza po abdykacji jego prywatnych zbiorów do Francji. Wystawione na licytację po śmierci tego ostatniego z Wawów na polskim tronie — rozeszły się po Europie zachodniej, trafiły z czasem do zbiorów publicznych i prywatnych kolekcji. Dzięki zachowanym inwentarzom, sporządzonym po śmierci króla można podejmować próby identyfikacji niektórych przedmiotów z tej kolekcji.

I tak na przykład wydaje się, że mógł do Jana-Kazimierza należeć zegar wykonany w Krakowie przez Jakuba Weydmana (o czym pisałem w szkicu drukowanym w „Orle“, w numerach z 4 i 11 czerwca 1964 r.). Zidentyfikowanie jednak innego zegara z tej samej kolekcji opiera się na znacznie mocniejszych podstawach. Mam na myśli zegar astronomiczny ze zbiorów National Maritime Museum w Greenwich (nr. inw. Ch. 10.37.1937), określony tam jako „należący niegdyś do Kazimierza V, króla polskiego, wykonany przez Kaspra Buschmana z Augsburga, wiek XVI“.

Otóż zachowała się (w jedynym, o ile mi wiadomo egzemplarzu, dziś w posiadaniu biblioteki Muzeum w Greenwich) 15-to stronicowa broszura, wydana w Genewie, u Piotra Jaquier, w 1704 roku, czyli w trzydzieści dwa lata po śmierci Jana-Kazimierza. Broszura owa stwierdza w zakończeniu: „L'Horloge dont on vient de faire la Description est a vendre: cette Piece apartenoit a



Zegar astronomiczny Kaspra Buschmana — Widok ogólny.
Za zezwoleniem „National Maritime Museum“ w Londynie.

Casimir V-e Roy de Pologne, que ayant abdiqué le Royaume, se retire a Paris, ou il fut Abbé de St. Germain: Elle fut vendue a Paris, apres la mort de ce Prince, qui arriva l'an 1672. Elle est presentement a Geneve, chez les Sieurs Marchant Maitres Horlogers, ausquels ceux qui auront dessein de l'acheter, pourront s'adresser.“ — (Opisany zegar jest na sprzedaż. Należał on do Kazimierza V, króla polskiego, który po abdykacji usunął się do Paryża, gdzie był opatem St. Germain. Zegar został nabyty w Paryżu, po śmierci tego Księcia, która nastąpiła w 1672 r. Znajduje się obecnie w Genewie, u Panów Marchant, zegarmistrzów, do których ci którzy mają zamiar go kupić, mogą się zwracać).

Broszura — stanowiąca rodzaj reklamy — opisuje dokładnie zarówno wygląd zewnętrzny zegara dziś znajdującego się w muzeum w Greenwich, jak i jego rozliczne, różnorodne funkcje.

Co do owych „panów Marchant, zegarmistrzów w Genewie“ to wiadomo, że działał tam zegarmistrz tego nazwiska imieniem Amedeusz w latach 1695—1726. Wykonane przez niego zegarki i zegary znajdują się w kolekcjach Horstmann'a i Gélis'a, oraz w muzeum historii i sztuki w Genewie. Wiadomo też, że inny Marchand, o imieniu za czynającym się na literę F pracował w Genewie ok. roku 1687.

Nim zajmiemy się szczegółowym opisem zegara, warto zrekonstruować jego przypuszczalne dzieje. Co do mistrza, który ten skomplikowany instrument wykonał, to wchodzić mogą teoretycznie w rachubę aż trzej Kasprowie Buschmanowie z Augsburga: Kasper starszy urodził się w 1512 a zmarł w 1613 r., jako stuletni przeszło starzec, więc od lat chyba nieczynny już w rzemiośle. Kasper młodszy, syn, aktywny był w rodzinnym mieście w latach 1590—1611. Znany jest zegar, podpisany „Caspärus Buschman Automarius Augusta 1611“, oraz inny, jego roboty, z monogramem C. B. Inny Kasper, określany przez G. H. Bailliego również jako „syn“ zmarł w 1589 r. Otóż zegar powstać musiał po roku 1582 i to zapewne w dobre kilka lat, skoro umieszczona na nim tarcza wskazująca dni roku i przypadających na nie świętych zaopatrzona jest w dwie wskazówki: po jednej dla kalendarzy nowego i starego stylu.

Kalendarz Gregoriański przyjęty był najwcześniej (tj. już w październiku 1582 r., zgodnie z zaleceniem bulli papieskiej) we Włoszech, Hiszpanii, Portugalii i Polsce, ale o kilka lat później w katolickich Niemczech. (Niemcy protestanckie pozostały przy kalendarzu juliańskim aż do 1700 r.).

Najprawdopodobniej więc zegar został skonstruowany w ostatnich latach

JANA KAZIMIERZA



XVI lub w pierwszych latach XVII wieku, przez Kaspra Buschmana — syna. Należy też przypuszczać, że nie był on wykonany na zamówienie — na przykład polskiego monarchy — gdyż nosiłby wtedy na sobie widome takiego zamówienia ślady: herby czy monogramy. Zdaje się potwierdzać to przypuszczenie również fakt, że na płycie umieszczonej u spodu zegara wyryte są tablice umożliwiające nastawienie go w zależności od tego, pod jaką szerokością geograficzną znajduje się w danym momencie. Wymienione miasta znajdują się w pasie między 47° a 54°. Obok wielu niemieckich, zwracają uwagę polskie: Kraków oraz Gdańsk, a także śląski wtedy Wrocław i zachodnio-pomorski Szczecin.

Wygląda na to iż Buschman, przewidując że zegar sprzedany zostanie do jakiegoś odległego miejsca zestawiał tablice dla wygody ewentualnych nabywców, uwzględniając miasta najbardziej w jego opinii prawdopodobne.

Nasuwa się jednak pytanie, w jakich okolicznościach i w jakim czasie zegar zawędrował do Polski? Fakt, że Jan-Kazimierz wywiózł go ze sobą do Francji wraz ze swymi prywatnymi zbiorami, zdaje się wskazywać na to, że był on własnością rodzinną Wazów, a nie Rzeczypospolitej, że dostał się królowi w spadku po bracie, a zapewne, pośrednio, po ojcu. Kasa Jana-Kazimierza była chronicznie pusta i niewiele w jego zbiorach napotkać można przedmiotów przez niego samego nabytych.

Jeśli chodzi o Władysława IV to nie interesował się on zbytnio zegarami, a przynajmniej nie dochowały się takiego zainteresowania jakiegoś wiadome ślady. Inaczej, jak wiadomo, miała się sprawa z Zygmuntem III. Był on nie tylko zamiłowanym w tej dziedzinie kolekcjonerem, ale sam parał się — obok alchemii — złotnictwem, jubilerstwem, zegarmistrzostwem. Czyniła mu też z tego powodu niechętna szlachta zarzuty, uważając tego rodzaju zatrudnienia i zabawy za uchybiające monarchszej godności. Podejrzewano też, że otaczający króla artyści i rzemieślnicy cudzoziemcy, podsycają w nim upodobanie do absolutyzmu. Liczne ślady tych obaw i oskarżeń znaleźć można w poezji rokoszowej.

Oto jak charakteryzuje zamiłowania Zygmunta prof. W. Tomkiewicz w książce „Z dziejów polskiego mecenatu artystycznego w wieku XVII“: „...Zajmował się też król, zapewne przy po-

mocy nadwornych jubilerów i zegarmistrzów, wyrobem zegarów i zegarków kieszonkowych, z których przynajmniej dwa dochowały się do niedawna. Specjalnie misterny był zegar bijący, w kształcie świątyni, oszacowany na 3.000 talarów, który król ofiarował legatowi papieskiemu, chociaż autorstwo króla w tym wypadku jest wątpliwe“.

Jeden z owych zegarów (czy raczej, w tym wypadku, zegarków), które wymienia Tomkiewicz był opisany i reprodukowany przez A. Przeździeckiego i F. Ratawickiego w ich dziele „Wzory sztuki średniowiecznej i z epoki Odrodzenia pod koniec wieku XVII“, wydawanej w Warszawie i Paryżu w latach 1853—1869. Opis ów brzmi: „Zegarek Zygmunta III (wielkości naturalnej). ...Temuż królowi przypisują robotę zegarka (no. 1). Złoty jest, w kryształowej pochwie z emaliowaną obwódką. Godzin 12 rzymskimi liczbami ma około cyferblatu oznaczone a po-

środku 24 godzin wedle zwyczaju włoskiego, liczbami arabskimi...“

Jak widać, autorzy wydawnictwa nie byli całkiem pewni autentyczności królewskiego autorstwa, co zresztą w następnym zdaniu potwierdzają słowami: „...mamy jednak daleko autentyczniejsze utwory sztuki złotniczej króla...“ Dodać wypada, że zegarek ów należeć chyba musiał do osoby prywatnej, bo nie podano w opisie zbioru, muzeum czy instytucji, w której się znajduje — zasada na ogół pilnie przez autorów tej książki przestrzegana.

W każdym razie wydaje się prawdopodobne, że to właśnie król-zegarmistrz, a przy tym kolekcjoner, nabył ów astronomiczny zegar roboty augsburskiego mistrza i to zapewne dla zalet technicznych, w które ten skomplikowany instrument obfituje, a które Zygmunt III mógł — lepiej niż kto inny — docenić.

Na czym jednak polegały te zalety? Najłatwiej będzie odpowiedzieć na to pytanie opisując zegar. Dodajmy, że bardzo w takim opisie okazuje się pomocną owa genewska broszura z początków XVIII wieku, o której była poprzednio mowa.



Zegar astronomiczny Kaspra Buschmana. Tarcza górna.
Za zezwoleniem „National Maritime Museum“ w Londynie.

Jest więc dzieło Buschmana zegarem stołowym, w kształcie płaskiego pudełka, o kwadratowej tarczy górnej. Cztery kolumny po bokach, wsparte na czterech siedzących niedźwiadkach stanowią ramy, które wypełniają płyty ścian. Całość wykonana jest ze złoczonego mosiądzu.

W kwadrat górny wpisane jest koło wypełnione szeregiem ruchomych i nieruchomych tarcz, pierścieni i wskazówek. Pozostałą poza okręgiem przestrzeń wypełnia ryta dekoracja o stylizowanych elementach roślinnych. Pierścień zewnętrzny okręgu, ruchomy, zawiera wypisane w koło miesiące i dni roku z dodanymi imionami świętych, których uroczystości na odpowiednie dni przypadają. Dalej ku środkowi koła następują pierścienie wskazujące godziny i minuty według słońca i księżyca, oraz fazy tego ostatniego. Ruchoma tarcza wewnętrzna pokazuje (dla szerokości 48°) miejsce, gdzie w danym momencie znajdują się gwiazdy stałe oraz jest wzniesienie słońca.

Na każdej bocznej ścianie zegara umieszczone są po dwa koła, bądź wypełnione tarczami, bądź ażurowo rzeźbioną dekoracją roślinną. Resztę przestrzeni wolną od owych kół również wypełnia dekoracja o motywach roślinnych.

Pierwsza ze ścian posiada po prawej stronie tarczę podzieloną na dziewięćnaście części, zawierających liczby cyklu księżycowego (tzw. „Złote liczby“ służące do ustalania roku, oraz dat Wielkanocy). Tarcza umieszczona po lewej stronie zawiera pierścień nieruchomy z „literami niedzielnymi“, tj. takimi, które w cyklu słonecznym wskazują pierwszą niedzielę roku. Wewnątrz tego pierścienia znajduje się ruchoma tarcza wykonująca jeden obrót w ciągu 28 lat, tj. w ciągu całego cyklu słonecznego i wskazująca litery pierwszej niedzieli dla lat zwykłych i przestępnych.

Na drugiej z kolej strony zegara koło po lewej wypełnia ażurowa dekoracja. Tarcza w kole po prawej podzielona jest na siedem części rytymi kolumnkami. Każdą część stanowiącą jakby niszę, wypełnia postać symbolizująca jedną planetę i odpowiadające jej bóstwo starożytne. Kolejne napisy brzmią: Sol. Sontag — Lunae. Montag — Martis. Aftermontag — Mercurius. Mitwoch — Iovis. Donerstag — Veneris. Freitag — Saturnus. Samstag.

Zwraca uwagę nieoczekiwane nazwanie wtorku „Aftermontag“ zamiast Dienstag. Nazwa utworzona tu jest podobnie jak polski „po-niedzialek“. Wskazówka ozdobiona małym wyobrażeniem słońca informuje jakie bóstwo rządzi daną godziną; wiadomość wyraźnie przeznaczona dla astrologów.

Na stronie trzeciej, na tarczy umie-

szczonej po lewej stronie widnieją znaki Zodiaku a wewnątrz ruchomy krąg wskazujący „klimaty“. Tarcza po prawej stronie służy do określania zmieniającego się na przestrzeni roku czasu trwania nocy.

Na stronie czwartej koło lewe — jak na stronie drugiej — wypełnia ażurowa dekoracja. Tarcza po stronie prawej służy do nastawiania dzwonka budzika.

Znajdująca się u spodu zegara płyta z wrytymi tablicami szerokości geograficznych różnych miast itp. łatwo daje się odczepić. Przechodzą przez nią cztery czopy: jeden służący do nakręcania zegara, drugi budzika, trzeci mechanizmu do bicia godzin, czwarty — kwadransów. Zegar nakręca się raz na dzień, kluczem obracającym się w lewo, a czynność nakręcania nie zatrzymuje jego ruchu. Zegar wybija kwadransy i godziny (uderzeniami od 1 do 24).

Opisawszy dzieło mistrza Kaspra Buschmana wypada wrócić do jego dzieł. Niezależnie jaką drogą dostał się do zbiorów Jana-Kazimierza, jeżeli był sprzedany na licytacji jego zbiorów (jak stwierdza genewska broszura) to należy się spodziewać, że znaleźć będzie można jego opis w inwentarzach pozostałych po królu rzeczy i w katalogu samej licytacji.

Ten ostatni, bardzo obszerny i zawierający dokładne opisy przedmiotów oraz nazwiska nabywców, nie został jeszcze wydany drukiem. Dwa inwentarze pośmiertne opublikował we wspomnianej poprzednio książce „Z dzieł Mecenatu...“, wydanej w 1952

roku, prof. W. Tomkiewicz. Niestety opisy przedmiotów w tych inwentarzach są ogólnikowe, a zegarów i innych instrumentów do mierzenia czasu jest przeszło czterdzieści.

Wydaje się jednak, że pozycja najprawdopodobniejsza to „...une horloge carrée a boîte de laiton doré carré, qui marque les heures, les demies et les quarts, marquant les douze signes et les sept planetes. Prisée cent livres.“ — Zegar kwadratowy w oprawie z mosiądzu złoczonego, wskazujący godziny, półgodziny, i kwadransy, oraz dwanaście znaków (zodiaku) i siedem planet. Wyceniony na sto liwów.

Używając terminów ściśle trudno by zegar astronomiczny w muzeum w Greenwich nazwać „polskim“, skoro nie był wykonany w Polsce, ani przez Polaka, ani nawet — jak się zdaje — na zamówienie Polaka. Należał jednak do polskiego króla, czy raczej królów, zapewne przez wiek niemal — świadczy więc o ich guście, zainteresowaniach, zamiłowaniach.

A wobec wpływu jaki dwór Wazów wywierał na modę i obyczaj magnaterii, a za jej pośrednictwem szlachty a także mieszczaństwa — także o guście całego narodu. Stanowi też ciekawy — i chlubny — dokument kontaktów Polski z Augsburgiem — jednym z najwybitniejszych środowisk rzemiosła artystycznego w ówczesnej Europie.

Gdyby zegar został w Polsce, zapewne nie byłoby go już dziś wcale. Pochłonęłaby go jedna z wielu wojennych zawieruch, pożóg, katastrof. Wywieziony przed trzema wiekami — przetrwał do dziś i drogą okrężną, przez Francję, Szwajcarię, trafił do Londynu.

Uczyniono go by służył do mierzenia czasu na wiele zawiłych sposobów. Do dziś, piękny i ozdobny, świadczy o czasie: nieruchomy, świadczy o czasie który minął.

Mieczysław Paszkiewicz

CZYTAJ POLSKĄ KSIĄŻKĘ

SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO

Przesyłki Wolne od Cła

Paczki „Do Wyboru“



HASKOBA LTD.

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7. —

Tel. FRE 7888

Biurowo Podróży: ANGLOPOL TRAVEL, 38, Thurloe Pl., London, S.W. 7.



PAN Durnikiewicz, przepraszam mi-ster Durnibridge należał do oby-wateli, którzy szanują przede wszyst-kim samego siebie. Wypięty i rosnący wciąż w przód brzuch, wydęta warga dolna i skomplikowany akcent angielski były widowymi oznakami dobrobytu i powodzenia.

Na pierwszy rzut oka Mr. D. nie przypominał człowieka, który wyrósł tylko i jedynie dzięki poślubieniu bo-gatej kobiety. No, ale ludzie najczę-ściej wyglądają inaczej niż my, obser-watorzy, chcielibyśmy ich widzieć.

— Ja, sir — powiedział Mr. D. — ni-komu nic nie zawdzięczam. Czy mi ja-kiś rodak, jakąś organizacja, jakiś skarb coś pomógł? *Never. Nothing, sir.*

Uważał się za wyzwolonego z wszel-kiej lojalności i zobowiązań ideologicz-nych. Jego nowa lojalność obywatela brytyjskiego wymagała zupełnie innych poświęceń niż mu to imputowali przy-godnie spotykani dawni koledzy.

— First — podnosił palce do góry — to pay taxes.

Trzeba przyznać na jego korzyść, że z podatkami nie kręcił. Był szlachetnym wyjątkiem wśród *selfmade* business-men'ów.

Najważniejszą sprawą w życiu pana Durnikiewicza było wychowanie syna.

— Mówcie, co chcecie — zwierzał się poważnie — ja swego Roberta nie będę do niczego zmuszał. Ma psuć sobie akcent? I kim on że będzie? Anglikiem. Jest *British born* i ma wszelkie szanse, aby zrobić karierę. Jego wuj pracuje w ministerstwie. No cóż, proszę sir'a, Pol-ska mały kraj. Mały.

Wypięty brzuch, wydęta warga, fun-ty równo ułożone w pugilaresie, dom na eleganckim przedmieściu, samochód Rover, żona jeszcze wcale trzymająca się, chociaż szczerząca zęby na kilometr, i syn, świetnie uczący się, świetnie się zapowiadający.

— Robert będzie albo businessman'em albo *Civil Servant*. Ja bym nie mógł, ale on *British born*...

Szczęście, kompletne szczęście mądre-go, uważnego emigranta.

I oto katastrofa. Przyszedł jak zbity pies, aby się wyskarżyć.

— Co się stało?

— Robert — powiedział — przyszedł do mnie i rzekł: *Daddy I am going to Poland*. Gdzie? — pytam nie wierząc samemu sobie. *Daddy*, powiada, *I want to see my country. I am going to Poland to Granny*.

— Co on wie o *country*? Co on wie o *Granny*? Skąd u niego taka „ajdija“? Naleykał się skądś czy co? Umówił się, powiada, z angielskimi kolegami, że ra-

Z NOTATNIKA SZYDERCY

zem zrobią wycieczkę do Warszawy. Muszę mu, powiada, o paszport się wy-starać i nie na imię Durnibridge, ale Durnikiewicz. Nie umie wymówić tego, a chce być Durnikiewiczem. *How?*

Tego dnia Mr. D. był tak rozmiękły, że postawił dwa *double* pod rząd. Łuskał z portfela nowiutkie banknoty i płacił za whisky dla nas trzech. Bo był także z nami pan Wywieńło, znany jakąją, i on to właśnie wypowiedział, co my wszyscy mieliśmy na myśli.

— Cóż zrobić — powiedział podno-żąc kieliszek — jak ktos urodził się Durn... durn... durn ...ikkkkiewi-czem... to nnnie nnnie poradzi.

Kalorie

SIEDZIELI przy sobie na kanapie. Wiadomo, ludzie dobierają się nie tylko wedle urodzenia, interesu, czy psychologii; w doborze naturalnym po-siada znaczenie waga i figura. A te mieli bardzo podobne. Pan Fiłkuś o-krągły jak góra sadła, opływający w podbródki i posiadający nawet uszy otłuszczone i pani Zalotnik, którą poza oczyma nazywali pani Balonik. Ją chy-ba co dzień na nowo wydymali pompą do opon samochodowych. Nawet jej usta bardzo wysmarowane szminką, wciąż układały się w ściśnięty ryjek, jakby powstrzymywała powietrze pracę od środka.

Siedzieli na tym przyjęciu u Wan-dusi i rozmawiali naturalnie o intere-sach. Ona o sklepie, on o pracowni to-rebek.

Ani im się śniło wstać i wziąć coś ze stołu, aż Wandusia sama przyniosła im po talerzu.

Widziałem jak rozjaśniły się twarze. Nie dziwnego, na wielkich talerzach le-żała w płatach świeża wieprzowina, mortadela włoska, sałceson polski, grzybki, ogóreczki, sałatka dwóch ga-tunków i cała fura różności zebranych ze wszystkich półmisków.

Pan Fiłkuś natychmiast złapał za ta-lerz, za nóż i widelec.

— Pan to wszystko zje? — szepnęła przerażona pani Zalotnik.

— Świetne jedzonko — zawołał radoś-nie pan Fiłkuś. — Wandusia sławna gospodyni.

— Ach — jęknęła pani Zalotnik — gdybym ja tak mogła...

— A co przeszkadza, pani dobro-dziejko?

— Kalorie. Panie Romanie, odchu-dzam się i jestem na diecie 1.000 ka-lorii dziennie. Rozumie pan.

— Rozumiem — smutnie powiedział pan Fiłkuś — właściwie to, i mnie po-wiedział lekarz, że powinienem spaść. Ale człowiek zawsze daje się skusić.

— Nie trzeba, panie Romanie — su-rowo strofowała pani Zalotnik. — Niech pan patrzy: dwa płatki wieprzowiny 250 kalorii, sałceson 175, kiełbasa po dwadzieścia kalorii na talarek; razem 160, sałatka kartoflana z majonezem będzie miała najmniej 220, ta druga neapolitańska 200, mortadela po 100 kalorii, chleb po 60, polędwica 120... Ile to już będzie?

Pan Fiłkuś wyciągnął notes i wieczne pióro, pochylił się nad talerzami jak chirurg nad pacjentem i liczył.

— Dwa tysiące trzysta sześćdziesiąt pięć — powiedział wreszcie pan Fiłkuś, patrząc błagalnie na panią Zalotnik.

— Widzi pan? — wołała ona z og-niem w oczach. — Tyle, ile chudy i mi-zerny robotnik potrzebuje na cały dzień, a dla pana na dwa i pół dnia powin-no to wystarczyć.

— Doprawdy?

— I przyznaj się pan, że poszedłby pan jeszcze po dokładkę. Co?

— Może...

— I dolożyłby pan sobie jeszcze? Co by pan sobie dolożył?

— Nie wiem — jęczał pan Fiłkuś — nie wiem, co tam na stole jest.

— Chodźmy zobaczyć.

Podnieśli się żwawo i postąpili ku zastawionym stolom, przy których we-soło i gwarno posilali się goście.

— No rybka — rozjaśnił się pan Fiłkuś, ale zaraz spuścił oczy.

— Rybka sto dziesięć kalorii — stwierdziła pani Zalotnik.

— Co złego z moją rybą? — zanie-pokoila się gospodyni.

— Nic, nic kochana — uspokajała ją pani Zalotnik. — Mówimy o szkodli-wości przejadania się. Kalorie, moja droga...

— I potrawa za potrawą, uczona pani Zalotnik wymieniała ilość kalorii; nie-bezpieczeństwo utycia i przejedzenia.

Rybka, wołowina, jajko w majone-zie, krewetki, sardynki, pieprz turecki nawet.

Goście powoli stawiali talerze i od-suwały się od stolów. Pani Wandusia zagryzała wargi i powstrzymywała łzy. Jeden pan Fiłkuś jaśniał. Twarz mu się paliła szczęściem, oczy przymykał z rozkoszą. Oto jakimś dziwnym tra-fem zamknęły się jego uszy na wszel-kie dźwięki ze świata, oczy zwięzły pole widzenia, ręce zniewolone sięgnęły przed siebie i widelec uderzył w świet-ną węgierską słoninkę paprykowaną.

Jadł płatek po płatku w boskim rozmazaniu.

— Co pan robi, panie Romanie? — zawołała przerażona odstępstwem pani Zalotnik.

Oprzytomniał, poczerwieniał, ale zamiast się upokorzyć, stanął w hardej postawie.

— Słoninka w papryce jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

— Aby dobrze podłana — zawołał wielkim głosem pan Pieprzyk i podsunął kielich z Soplicą.

— Na zdrowie — podniósł kieliszek pan Fiłkuś.

— Czy pan wie, ile to kalorii? — łamała ręce pani Zalotnik. — Słonina wysoko kaloryczna, co najmniej 300, a wódka, zaraz zobaczę — poszperała w torebce i wydobyła nowiutką tabelę kalorii — kieliszek wódki 120 kalorii. Czyli tylko wariat może tak się odżywiać. Tylko idiota.

Na to słowo wszyscy zdrętwieli. Spodziewano się jakiejś akcji honorowej, jakiegoś uderzenia widelcem w stół. Ale pan Fiłkuś, jakby mu wódka w głowie rozjaśniła, spojrzął na panią Zalotnik mądrymi oczyma filozofa.

— Od kiedy — pytał dotykając palcem nowiutkiego papierka ze spisem kalorii — pani dobrodziejka stosuje tę tabelę?

— No... no... — zmieszła się — od wczoraj.

— A ja, pani dobrodziejko, od jutra. Od jutra!

Odetchnęliśmy wszyscy i jak na komendę zbliżyli się do stołu.

— Niech pani je. — Wandusia podsuwała półmisek z wieprzowiną czerwonej, skonfundowanej pani Balonik, przepraszam, Zalotnik. Niech pani sobie pozwoli. Na przyszły rok nie będzie nie tylko kalorie, Świętny pomysł.

Geniusze

KAŻDY wie, że prawdziwego geniusza ocenić może tylko potomność. Dlatego wszyscy geniusze są nieszcześnie liwymi, bo czują się pokrzywdzeni.

Adam Waldemar Kawalek był geniuszem, wiedział o tym dobrze i czynił wszystko, co można, aby już dziś współcześni nabrali o nim tego mniemania. Ta niecierpliwność, niechęć na czekanie na potomność sprawiała, że życie Adama Waldemara Kawalka było trudne. Zanotujmy to raczej w czasie terażniejszym: życie jego jest trudne. Bowiem dotychczas jeszcze nie przekonał nikogo o swym geniuszu, a nie ustając w wysiłkach bardzo męczy się psychicznie i fizycznie.

Pisząc o ważnym zagadnieniu politycznym — bo geniusz zajmuje się polityką na równi ze sztuką, filozofią, wiedzą ścisłą i socjologią — Adam Waldemar Kawalek dodaje na zakończenie każdego artykułu: Wszystko to ja w swej skromności przepowiedziałem już dawno. Jak pamiętacie, pisałem o tym w roku 1955/56, 7, 8 itd.

Pisząc o literaturze dodaje skromnie: Tylko wyjątkowa złośliwość recenzenta i jego zaślepienie sprawiły, że zapomniał powiedzieć o tym, że niżej podpisany wypowiedział już dawno to samo.

Specjalnością geniuszy jest odkrywanie wrogów, zdejmowanie zasłony z fałszywców, demaskowanie agentów politycznych. Geniusze umieją tego dokonać w wielkim stylu z wysokiego piedestału i potężnym głosem. Niestety, świat zawsze jest dla nich niesprawiedliwy i odmawia im godnej platformy, odpowiedniego dla ich głosu oratorium. Przeważnie zwykłe wołanie ich rozbrzmiewa w lokalach małych, w okolicznościach bardzo mizernych.

„Nie piszę tego — czytamy wypowiedź genialną geniusza — aby podnieść znaczenie mojej osoby, albo poniżyć tego zababranego politycznie, utyłanego w błocie, zasmarowanego fałszem, przekupnego głupca i naiwnego pętaka Zet Ypsylońskiego, ale piszę, bo mi tak sumienie nakazuje“.

Geniusze zwykle nie miewają sumienia. Tworzą potężne rzeźby, budują piramidy nie bacząc na cierpienia robotników, wygrywają wojny poświęcając miliony istnień, tworzą historię i kulturę nie licząc się ze zdaniem ani życiem współczesnych. Nasz geniusz starając się o uznanie za życia musi, rzecz jasna, być w porządku wobec przepędności i dlatego wystawia przed siebie wielką tarczę sumienia.

Ale dość charakterystyki. Przejdźmy do faktu. Nasz geniusz wydał właśnie genialną książkę. Płaszczył się i prosił, zabiegał i lasił, aż mu wydawca wypuścił godny wielkich pisarzy elaborat. Geniusz czerwony z dumy pomyślał, że współczesność ślepa i głucha może przeoczyć to wydarzenie, więc rozpoczął starania. Półgeniusz, ćwierć geniusz czy zwykły śmiertelnik, któremu przydarzyła się podobna sytuacja poszedłby do swych przyjaciół, poprosiłby uprzejmie, zapłakałby serdecznie, obiecałby kolację z winem i wódką, obiecałby entuzjastyczną recenzję z ich własnej mającej się ukazać książki itd. Tysiące sposobów istnieje, aby zmusić serdecznego druha do wypowiedzi pochwalnej.

Geniusz tego nie robi. On po prostu uczciwie, szczerze napisał:

„Wyszła moja książka, którą jest

niezwykłym wydarzeniem literackim, politycznym, artystycznym, historycznym, krytycznym. Olbrzymia wartość mego dzieła polega... I tak dalej.

Potem nastąpił wywiad geniusza z geniuszem. Potem artykuł pt. „Co ja dłem pisząc moją książkę“. Potem: „Apel do nieuczciwych czytelników“.

— Panie Adamie — powiedziałem spotkawszy geniusza na czarnej kawie — czy pan, delikatnie mówiąc, nie przesada? To trochę zakrawa na humor.

— Co?

— No to chwalenie siebie samego. Przecież wszyscy wiemy, że pan jest genialny...

Spojrzął na mnie z ukosa, krzywo.

— Czy pan uważa, że moja książka jest genialna?

Nie chcąc narażać się na awanturę w publicznym lokalu, przytaknąłem skwapliwie.

— No widzi pan kolega — zawołał na cały głos — jeżeli coś jest dobre, to należy o tym pisać odpowiednio. Ja swoją książkę oceniłem pozytywnie. Sumienie nie pozwala mi milczeć.

Wtedy pamyślałem sobie smutnie, że może ma rację. Jeżeli jest przeświadczony o prawdzie, nie powinien jej chować pod kocem.

Geniusz zawsze ma rację, tylko jak zwykle każdy geniusz popełnia ten sam błąd: nie dostrzega innych geniuszy obok siebie. A przecież inni też chcą żyć. Czyż nie?

Muszę poradzić się mego sumienia.

Gdzie mieszkać?

Pani W. przyjechała ze Szkocji z wizytą do Londynu. Nie bardzo zabaawiła się, bo zamieszkała zdala od centrum i była za leniwa, aby co wieczór jeździć do Cineramy, czy oglądać światła na Piccadilli. Podobają się jej, owszem, Ognisko i nastrój poważny przy stolikach. Przeżywała emocje mogąc podsłuchiwać ploteczek u Daquise. Była podniesiona wizytą w Festiwal Hall'u na balecie sowieckim, który, jak patriotycznie stwierdziła, zobaczyła „przypadkowo“.

Pani W. zmęczona, z bolącymi od ciskami siadła na kanapie i zaczęła krytykować Londyn.

— No wiecie — kręciła ustami, wyrażając dezaprobatę. — Londyn nie wygląda na stolicę. Za wiele w nim tych, tych panień chodzących w spodniach. Ja wolę mieszkać w Edynburgu.

— A to dlaczego? — zapytałśmy urażeni w naszym lokalnym patriotyzmie.

— Bo w Edynburgu można chodzić w kapeluszu.

(Dokończenie na str. 29)

METEOROLOGIA I POLENTA

Paryż, we wrześniu 1965.

JAK dla większości zwykłych śmiertelników tak i dla mnie wakacje się skończyły. Tak jak większość z nich, tak i ja poświęciłem je głównie studiowaniu meteorologii, tzn. zgadywaniu czy nazajutrz pogoda się poprawi. Nigdy nie wysłuchałem w radio tyłu komunikatów meteorologicznych — we wszystkich dostępnych mi językach — a deszcz jak lał, tak lał. Ponieważ wybrałem się w góry i to nawet dość wysoko, to jednego poranka, gdy poprzedniego dnia jakiś spec od pogody zapowiedział ocieplenie się i słońce, wszystko rzeczywiście się wyjaśniło, ale od śniegu, z temperaturą w okolicy zera. Już miałem zamiar wynajmować narty.

Oczywiście w takiej sytuacji trudno było wracać do Paryża w naturalnym stanie rzeczy, to znaczy z cerą bardziej bladą niż przed wyjazdem w wysokie Alpy, które jak wszyscy wiedzą, charakteryzuje bogactwo promieni ultrafioletowych. Tym bardziej, że wielu przyjaciół od dawna zmieniło tradycyjne kierunki na Hiszpanię i byłem pewien, że wrócą opaleni na skórę razowego chleba. Musiałem więc kupić flakon jakiegoś „Tan-O-Tan“ i smarować się codziennie, by nie czuć wobec nich kompleksu niższości. Nabrałem żółto-pomarańczowo-cytrynowych kolorów, co poważnie zaniepokoiło jednego z moich przyjaciół, podejrzewającego, że nabawiłem się żółtaczki.

Z NOTATNIKA SZYDERCY

(Dokończenie ze str. 28)

Zrobiliśmy miny myszy zaskoczonych przez kota, a ona zaraz wytłumaczyła.

— W Edynburgu jak przyjdzie niedziela, to wkładam nowy kapelusz i idę na Princes Street. Spotykam znajomych i udajemy się do kawiarni. Każdy widzi mnie i mój kapelusz. A tu?

— A tu? — pytała jak echo przestraszona Krysia.

— A tu gdzie chodzić w kapeluszu? Przyjdzie niedziela to każdy siedzi w domu. Wyjdzie najwyżej do parku za rogiem, albo kina miejscowego. Szkoda kapelusza.

— A Ognisko?... — zapytaliśmy chórem.

— Kto mnie zna w Ognisku?

Czesław Dobek

Ale przy okazji tych studiów meteorologicznych dowiedziałem się ciekawych rzeczy. Okazuje się, że jest cała nowa wiedza, która nazywa się „biometeorologia“, która zajmuje się wpływem pogody na człowieka. Nigdy nie przypuszczałem, że wiatr wschodni powoduje w szpitalach psychiatrycznych wzrost ataków furii i wariactwa. Czasami są to nawet zbiorowe ataki szału. Zresztą wyczytałem, że już w roku 1850 jeden z aptekarzy londyńskich sprzedawał pigułki przeciw wpływom wschodniego wiatru i ponoć zrobił na nich poważny majątek. Nie przypuszczałem, że już wtedy ten wiatr był niebezpieczny. Szkoda, że nikt dziś takich pigulek nie fabrykuje, bo od wschodu wieje coraz bardziej, no i ludzie na tym tle wariują. Sądzę, że nie tylko w Anglii, ale i w Paryżu te pigułki byłyby bardzo wskazane — a może szczególnie w Paryżu, bo tu on ciągnie aż od Uralu. Z jednym silniejszym podmuchem zjawiał się tu nawet Cyrankiewicz i bardzo chwalił Francuzów, że wolą ten wschodni wiatr od zachodniego, tego co dmucha od Atlantyku. Ale gdy Francuzi dali mu do zrozumienia, że może by dobrze było, gdyby Polska w zamian stawiała swe żagle na podmuchy zachodnie, to on najspokojniej odpowiedział, że dla Warszawy istotne są wiatry wschodnie i to bez przerwy od 1944 roku. Jemu by też się odpowiednia porcja tych pigulek przydała.

Poza tym dowiedziałem się, że najbardziej płodnym miesiącem jest maj — bo najwięcej nieślubnych dzieci rodzi się w lutym, co jest naturalnym tego skutkiem, wystarczy policzyć na palcach do dziesięciu. Znowu gdyby Cyrankiewicz o tym wiedział, to przyjechałby tu w maju, a nie we wrześniu. Wiele z tej wizyty nie wyjdzie, mimo że robił co mógł i jednego ranka — jak to jest w Paryżu w zwyczaju (zwłaszcza w maju) skończył na zupie cebulowej w Halach.

Niskie ciśnienie atmosferyczne jest niebezpieczne dla automobilistów, bo tracą zdolność koncentracji i szybkiej reakcji. Ilość wypadków drogowych zwiększa się w takim okresie o 7 proc. Ponieważ wracałem w dniu takiego niskiego ciśnienia, więc specjalnie uważałem na drogę — do tego stopnia, że zapomniałem o sprawdzeniu wody chłodnicy, która się wygotowała i ciśnienie w silniku wzrosło do tego stopnia, że wysadziło mi uszczelkę głowicy.

Przypadała była o tyle interesująca, że stało się to o 10 wieczorem i 10 km od najbliższego garażu. Ale wypadku nie miałem...

Natomiast nie zgadzam się z „biometeorologami“, że znany w górach wiatr „foehn“ ma wpływ na piękną pleć i ta „traci głowę“, czyli sama przychodzi do rączki. Próbowałem na wszystkie sposoby w pełnym „foehnie“ i nic z tego nie wychodziło, a właściwie raz nawet wyszło — ale to ja musiałem wyjść pośpiesznie z pokoju przedmiotu moich doświadczeń biometeorologicznych.

NIE wiem czy to wschodni wiatr, czy też przedłużające się tego lata niskie ciśnienie atmosferyczne wywołało perturbacje we Wspólnym Rynku. Tym razem generał de Gaulle w czasie swej konferencji prasowej 9 września w wyjątkowo spokojnym tonie porozstawiał po kątach wspólnorynkową familię i ta do tej pory nie wie jak się na nowo zebrać. Szkoda że prezydenta Francji nie można zaliczyć do pleci pięknej, bo może wystarczyłoby wypuścić jakiś „foehn“ na Paryż i nowa konferencja prasowa odbyłaby się pod znakiem uległości i oddania... Tylko komu?

Nasi uczeni londyńscy „gaullolodzy“ nie bardzo trafili w sedno, gdy zaczęli rozwodzić się na temat integracji, suwerenności, Hallsteina itp. Otóż nie to było powodem tego elizejskiego trzęsienia ziemi — de Gaulle'a chciano w Brukseli nabić w butelkę i to kto? — Włosi. Wszystko inne to teorie, w jakie pięknie ubiera się różne konferencje.

A jak chcieli nabić? Wiadomo, że Francja w 1962 r. uzyskała, iż rolnictwo wchodzi do Wspólnego Rynku i tenże będzie finansować jego nadwyżki — czyli płacić państwu eksportującemu różnicę między międzynarodowymi (niskimi) i wspólnorynkowymi (wysokimi). Ale płacić z jakich funduszy? Najpierw ze specjalnej taksy, którą obciążą się produkty rolne importowane spoza Wspólnego Rynku (czyli głównie mają tu bulić Niemcy, bo oni importują), a resztę dopłaca wszyscy partnerzy w myśl ustalonego klucza. Dla Francji interes jak ta lala, bo płaciła do tego Funduszu jedną czwartą jego wysokości, a wybierała trzy czwarte. Włosi również w 1962 roku byli tym zachwy-

zeni, bo mieli różne nadwyżki i mało importowali. Ale od tego czasu się zmienił, włoska stopa życiowa zamieniła się w metr, oczywiście stojący pionowo, czyli podniosła się i już makaron i inne spaghetti nie wystarczają — Włosi również importują bardziej wyszukane smakołyki, czyli muszą od tego bulić tę specjalną takse, co może ich drogo kosztować. Wobec tego zaproponowali zmianę całego systemu finansowania eksportu nadwyżek rolnych, co Francję kosztowały o wiele więcej niż dotychczas. Paryż się uparł i stanął na stanowisku, że słowo się rzekło — kobyłka u płotu. Do tego rozmaite tajne „barbuzy“ (tubylcze „Intelligence Service“ czy C.I.A.) doniosły, że makaroniarze nie tylko nie chcą bulić, ale robią machlojki, a mianowicie kupują kanadyjską kukurydzę i sprzedają ją na zewnątrz jako swoją własną — po cenach światowych (niskich) i różnicę między ceną ogólnorynkową (wysoką) inkasują w Brukseli. Nawet ci „gaullolodzy“, którzy znają naszego Karola Wielkiego tylko z fotografii, po pewnym wysiłku myślowym dojdą do przekonania, że mu się to nie musiało podobać. I rzeczywiście — gromy z naszego olimpu poleciały. W odpowiedzi na to włoskie „barbuzierri“ wygrzebały jakąś historię eksportu zboża francuskiego do Szwajcarii po cenach oczywiście światowych (niskich) — (no bo z jakiej racji skrupulatni i dobrze liczący swe franki Helwetowie mieliby płacić inne ceny) — inkasując różnicę między cenami wysokimi, a ci skonfederowani Helwetowie wyeksportowali to zboże do Niemiec. Czyli, podnoszą gwałt „barbuzierri“, Francja opyliła zboże Niemcami pobrała tę eksportową premię, a ona się między partnerami Wspólnego Rynku nie należy; Szwajcarzy byli tu współnikami kantu. Pa-

ryż na to najspokojniej w świecie odpowiedział, że nic go nie obchodzi, co Szwajcaria zrobiła z tym zbożem i nie może obchodzić, bo byłoby to wtrącanie się w sprawę wewnętrzne suwerennego państwa, czyli zależność, czyli hegemonia itd. Niemcy mieli prawo kupić w Szwajcarii i od tego kupna zapłacić do wspólnotowej kasy odpowiednio przewidzianą takse i ta operacja jest regularna. Oczywiście temu rozumowaniu nie można odmówić racji, tym bardziej, że w ogóle nie wiadomo, czy Niemcy kupili właśnie to zboże, co sprzedała Francja — a może właśnie inne. Podczas gdy w sprawie kukurydzy nie ma żadnych wątpliwości — kant na równej drodze.

Teraz pod adresem specjalistów pytanie: Czy Włosi mają prawo wyeksportować po cenach światowych (czyli z premią z kasy brukselskiej) swoją własną kukurydzę, a później, gdy im jej zabraknie do polenty, kupić sobie w Kanadzie za tanie pieniądze? Za najlepszą odpowiedź recepta na „polenta alla milanese“.

Jan Claude

PRZYJAŹŃ POLSKO - SZWAJCARSKA

12 września 1965 roku w Solurze w Szwajcarii, odbyło się uroczyste wręczenie Nagrody Anny Godlewskiej.

Na życzenie fundatora Juliana Godlewskiego w roku obecnym nagrodą wyróżniono obywateli szwajcarskich, zasłużonych dla sprawy przyjaźni polsko-szwajcarskiej. Jest to rok, w którym przypada 25-lecie internowania 2 Dywizji Strzelców Piesznych w Szwajcarii.

Komitet nagrody w składzie: ojciec rektor I. M. Bocheński, O.P., ks. E. J. Frania, płk. St. Karolus, M. Respond, Halszka Vincenz-Poniatowska i Kaz. Wyszka (przewodniczący), postanowił sumę 9.000 franków szw. rozdzielić na trzy równorzędne nagrody.

Nagrodzeni zostali: p. Marguerite Emery, prof. Wilhelm Oswald i p. Adele Tatarinoff-Eggenschwiler.

Równocześnie z wręczeniem nagród laureaci otrzymali od Juliana Godlewskiego pamiątkowe tace i iluminowane dyplomy, a od Kiermaszu Książki Polskiej w Szwajcarii wspinałe oprawne tomy przekładów z literatury polskiej na język francuski i niemiecki.

Uroczystość w salach hotelu „Krone“ w Solurze, rozpoczęła się wręczeniem przez p. Halszkę Vincenz-Poniatowską biało-czerwonych kwiatów, laureatom nagrody. Przewodniczący komitetu Ka-

zimierz F. Vincenz, w zwięzłym przemówieniu podkreślił zasługi nagrodzonych. Po recitalu fortepianowym p. Ursa Jaeggi (F. Chopin i W. Aeschbacher), nastąpiło wręczenie nagród, przemówienia laureatów i odczytanie depesz i listów gratulacyjnych (m.in. od prezydenta Szwajcarii, nuncjusza papieskiego, gen. Pelca i pani Mościckiej). Uroczystość zamknął kwartet smyczkowy studentów konserwatorium w Bernie pod kierownictwem p. Marianne Rônez, który wykonał szesnastowieczne pieśni polskie i melodie kantonu Solury.

Po części oficjalnej komitet nagrody Anny Godlewskiej podejmował licznie zgromadzonych gości bankietem.

Uwagę zwracała duża wystawa Kiermaszu Książki Polskiej SPK, który wystawił, prócz książek polskich, liczne tłumaczenia dzieł polskiej literatury na język francuski i angielski. Uroczystość nagrana została przez radio i telewizję szwajcarską.

Tegoż dnia delegacja komitetu złożyła u stóp grobowca-pomnika Tadeusza Kościuszki w Zuchwilu, wiązanek biało-czerwonych róż.

WPLATA NA LEKARSTWA DO KRAJU

Do naszego Przedstawicielstwa w Paryżu wpłacili na „Lekarstwa do Kraju“ w sierpniu 1965:

4088 L.S.Co. (por. St. Kozłowski) Fr. 34.50, 4013 L.S.Co. (kpt. J. Jaworski) Fr. 50.05, 4085 L.S.Co. (kpt. F. Iwański) Fr. 39.29, 4096 L.S.Co. (por. M. Nomark) Fr. 35.00, 4507 L.S.Co. (mjr. T. Kroja-Kopeć) Fr. 100.00, 4011 L.S.Co. (kpt. H. Werno) Fr. 281,77;

we wrześniu 1965:

4088 L.S.Co. (por. St. Kozłowski) Fr. 40.00, 6954 L.S.Ln.Det. (ppłk. A. Potoczek) Fr. 67.00, 4013 L.S.Co. (kpt. J. Jaworski) Fr. 54.90, 4096 L.S.Plat. (por. M. Normark) Fr. 49.00, 4085 L.S.Co. (kpt. F. Iwański) Fr. 40.33, 4158 L.S.Co. (gd./kpt. St. Madej) Fr. 111.00, 4507 L.S.Co. (mjr. T. Kroja-Kopeć) Fr. 100.00.

Serdecznie dziękujemy!

Wzmacniające nerwy i oczyszczające krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID
FRANCJA
66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.



SZYBKO I TANIO!

Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
w y k o n u j ą

ZAKŁADY GRAFICZNE

GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.

171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11.
Tel. BAT 0879

WŚRÓD POLAKÓW W ARGENTYNIE

Zarząd Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Argentynie urządził z okazji 35-tej rocznicy założenia Związku Byłych Wojskowych i Obrońców Ojczyzny — obecnie SPK — piękną uroczystość połączoną z poświęceniem sztandaru. Uroczystość — co także podkreślić należy — odbyła się w ramach Obchodu Millennium Polski w dniu Święta Żołnierza Polskiego w sierpniu br. Dnia 14 sierpnia odbyło się galowe przedstawienie komedii Fredry „Damy i huzary“ wystawionej przez zespół teatralny SPK „Nasz teatr“ a następnego dnia złożono wieńiec pod pomnikiem gen. José de San Martín jako wyraz hołdu dla narodu argentyńskiego. Następnie w bazylice „Santisimo Sacramento“ odprawiona została uroczysta Msza św. za poległych żołnierzy polskich oraz poświęcony został sztandar. Po południu odbyło się wbijanie pamiątkowych gwoździ w drzewiec nowego sztandaru SPK oraz nadanie odznak zasłużonym działaczom społecznym i członkom SPK.

Z okazji tych uroczystości ukazały się na łamach „Głosu Polskiego“ (La Voz de Polonia) wychodzącego w Buenos Aires artykuły poświęcone kombatantom. W artykule Romana Dąbrowskiego (artykuł ilustrowany jest dwoma zdjęciami przedstawiającymi nowy sztandar) pt.: „Kombatanci“ czytamy m.in.:

„... Tegoroczne „Święto Żołnierza“ obchodzimy w blaskach wschodzącej jutrzienki Tysiąclecia. Jest więc ono szczególnie uroczyste. Dla nas Polaków w Argentynie, data ta nabiera specjalnego kolorytu, gdy weźmiemy pod uwagę, że datę tę połączyli słusznie Kombatanci polscy w Argentynie, by uczcić 35-lecie istnienia swej organizacji i odnowić znak sztandarowy, który czuwa nad nimi i ich łączy. Nie może być istotnie dzień bardziej właściwy dla ich święta...“

Święto „Stowarzyszenia Polskich Kombatantów“ w Argentynie, jego 35-lecie, jest świętem po prawdzie nas wszystkich. Bo każdy Polak jest obywatelem-żołnierzem. Bo każdy i w przeszłości dalszej i bliskiej — tej świeże rany jeszcze goimy — był żołnierzem na jakimkolwiek posterunku go los postawił. Byli nimi ci, którzy na obcych ziemiach po 1939 roku podnosili polskie sztandary, ci, którzy w bitwie o Anglię podrywali się zwycięskimi dywizjonami, ci, co na morzu

na topach masztów nosili polskie bandery. Kombatantem był każdy Polak zesłany do łagru i do koncentracyjnego obozu, każdy Polak w okupowanym kraju, gdzie przodowała mu wspaniała młodzież Armii Krajowej, niby dłoń karząca, wzniesiona nad zdziczałym okupantem. Wszyscy byliśmy żołnierzami i kombatantami i dlatego święto SPK jest świętem nas wszystkich...“

Utworzona została wielka organizacja kombatantów polskich, niedawno trafną decyzją — przemieniona w Federację Światową. Kombatanci zdjęli mundury z ciał, ale nie zdjęli ich z duszy. Są nadal żołnierzami we wspólnym braterstwie ideałów, którym służyli. Są nadal bojownikami. Walczą inną bronią i czekają. Bo wierzą, jak i ja wierzę, że odmienią się czasy, że ta odmiana przyjść musi. Kto wie, czy to oczekiwanie przez dni, miesiące i lata nie wymaga większego hartu ducha, niż było wytrzymanie ognia bunkrów niemieckich pod Monte Cassino...“

18 LWOWSKI BAON STRZELCÓW KOLEM SPK

W drugim artykule (poświęconym tej samej uroczystości) pt.: „Niecodzienna akademія“ pióra Kapelańczyka czytamy m.in.:

„... Jednym z Kół SPK, które skupia znaczną grupę b. żołnierzy, jest 18 Lwowski Baon Strzelców, słynny z działań wojennych 2-go Korpusu we Włoszech i zdobycia miasta Predapio w dniu 28 października 1944 roku. Data stała się zarazem dniem Święta Batalionowego, zatwierdzonego przez D-cę 2-go Korpusu. Od wielu już lat Koło to upodobało sobie dla swej działalności społeczno-kulturalnej oraz jako miejsce obchodów swego dorocznego święta — miasto Quilmes, i nawiązało zistniającym tu Związkiem Polskim im. „I. J. Paderewskiego“ serdeczne więzy przyjaźni. Boć przecież wielu b. żołnierzy 18 LBS, to członkowie lokalnego Związku.“

Doroczne święta Baonu bywają urządzane nad rzeką La Plata w Quilmes lub w lokalu Związku. Szczególnie zasługuje na podkreślenie wzięcie pod swoją opiekę sobotniej szkółki, mieszczącej się w lokalu Związku, a prowadzonej tak ofiarnie przez p. Modzelewską przez długie lata. Koło 18 LBS, którego długoletnim prezesem był mjr Tadeusz Pawulski, docenia znaczenie nauki przedmiotów ojczyźnych dla polskich dzieci i pragnie w ten przykładowy sposób poszerzyć i wzbogacić o nowe cele swoją działalność społeczno-kulturalną.

A już do wielkiego sukcesu zaliczyć należy imprezę, jaką 18 LBS urządził w Quilmes. W kaplicy Polskiej Parafii ks. mgr Szczepan Walkowski odprawił Mszę św. w intencji poległych i zmarłych żołnierzy Koła i wygłosił okolicznościowe przemówienie. Po nabożeństwie udano się do reprezentacyjnej sali lokalnego Związku Polskiego, gdzie odbyła się niecodzienna akademія. Wypadła ona wspaniale. Wykonawcami byli sami członkowie Koła...“

Mówcami na akademii byli Włodzimir Tyszkowski, żołnierz legionów Piłsudskiego i 18 LBS oraz płk Aleksander Florkowski, także żołnierz 18 LBS, uczestnik walk o Monte Cassino, Predapio i innych. Obydwaj mówcy wygłosili wspaniałe przemówienia, poświęcone zarówno walkom o niepodległość w 1920 r. z nawałą bolszewicką jak i walkom żołnierza 2 Korpusu we Włoszech. Publiczność słuchała ich w największym skupieniu i nagrodziła huraganem oklasków.

A dalej czytamy:

„... Do fortepianu zasiada znany już tutejszym Polakom Zbigniew Kapurkiewicz. Zrazu jakby nieśmiało, tak od niechcienia, uderza pianista w klawisze, spod których wydobywają się tony pierwszej piosenki ułańskiej. Ktoś z sali podchwycił, drugi zawtórował i wnet sala poderwała się do entuzjastycznego śpiewu. Płynęły więc piosenki i smętne, legionowe i te z ostatniej wojny, piosenki o Tobruku, o makach na Monte Cassino. A mistrz przy fortepianie wciąż zmieniał ich temat i podawał nowe melodie, niezmordowanie i nie do wyczerpania. Sala rozśpiewała się na dobre. Teraz w programie akademii brali udział wszyscy, a mistrz przy fortepianie ciągle pieśnią potęrał o serca polskie, wydobywając z nich najsurowszą nutę szczerego patriotyzmu.“

Dobrze się stało, że Koło 18 LBS wychylnęło się z lokalu Kombatantów w Buenos Aires i ze swą imprezą dotarło na prowincję. Wystąpiło bowiem przed publicznością, która nigdy nie słuchała z ust uczestnika tamtych walk o wielkim wkładzie polskiego żołnierza i jego znacznym przyczynku do ostatecznego zwycięstwa, o jego męstwie, bohaterstwie i wielkiej ofierze z daininy krwi, jaką szczerze na całopalnym ołtarzu Ojczyzny składał...“

SMUTNE ROZMYŚLANIA

Na łamach nowojorskiego „Nowego Świata“ (24 sierpnia br.) ukazał się artykuł pt.: „W polskim domu niech

panuje język polski". W artykule tym poruszone zostało niezmiernie ważne i aktualne zagadnienie: obrony języka polskiego na emigracji. Znają to zagadnienie wszyscy działacze społeczni, znają je nauczyciele polscy uczący w różnych polskich szkołach sobotnich, znają je także rodzice, których dzieci coraz słabiej — a czasami w ogóle już — nie znają ojczystego języka. Zagadnienie to poruszone zostało w związku z likwidacją katedry języka polskiego na Uniwersytecie Pittsburskim. Ale oddajmy głos „Nowemu Światu“:

„...Dla utrzymania prestiżu i spójności Polonii Amerykańskiej potrzebny jest koniecznie większy nacisk na naukę języka polskiego wśród młodego, a nawet najmłodszego pokolenia.

Liczą nas na dziesięć, a nawet na dwanaście milionów w Ameryce. Coraz więcej nazwisk polskich znajdujemy na listach wybitnych uczonych, profesorów, profesjonalistów, urzędników krajowych, stanowych i miejskich. Jednostki z Polonii zaczynają się wybijać i w świecie przemysłowym, gdyż mamy coraz więcej właścicieli wielkich zakładów, firm i fabryk.

Na pozór Polonia wzrasta prestiżowo... a w rzeczywistości? Ile z tych osób poza pięknie brzmiącym polskim nazwiskiem, przyznaje się do polskości? Ile z nich potrafi rozmówić się w języku polskim? Ile posiada choć pobieżną znajomość historii, literatury lub tradycji polskich?

Niewiele...

Na smutne te rozmyślenia doprowadziła nas notatka w „Pittsburezaninie“ o zniesieniu katedry języka polskiego na Uniwersytecie Pittsburskim, nie z braku funduszy... ale z braku studentów. Potrzeba było tylko pięciu studentów do utrzymania katedry!!! Wśród wielkiej liczby studentów o polskim nazwisku, uczęszczających do tej uczelni... nie znalazło się pięciu, którzy by chcieli zapisać się na wykłady języka polskiego i powiększyć swe kredyty naukowe.

Smutne to, niezmiernie smutne...

Co wpłynęło na brak zainteresowania wśród tych studentów studiami języka polskiego? Stany Zjednoczone przecież potrzebują jak najwięcej obywateli władających językami obcymi! Poszukuje ich każde biuro w Waszyngtonie! Poszukują ich firmy amerykańskie! Potrzeba ich do pracy w Sekretariacie Stanu i w pracy dyplomatycznej! Intratne stanowiska poszukują kandydatów... których brak!

Brak zainteresowania językiem polskim u studentów kolegialnych i uni-

wersyteckich... to rezultat braku zainteresowania w domu rodzinnym polskością. Czy rodzice tak zaniedbali swe obowiązki, że nie zadali sobie trudu, ażeby zapoznać swe dzieci nie tylko z historią i literaturą polską, ale i nie dali im możliwości opanowania języka polskiego? Czy mówili do swych dzieci w domu po polsku, czy też używali idiotycznego argumentu „nie chcę, ażeby mój Jasiu (czy Marysia) mówili po polsku, bo nabiorą akcentu w języku angielskim“. Czy też używali drugiego głupiego argumentu, że „przecież tu Ameryka, więc po co język polski?“

Na te argumenty, odpowiemy słowami prezydenta Stanów Zjednoczonych William Howard Tafta, jakie wypowiedział na uroczystości poświęcenia Szkoły Zawodowej w roku 1912 — „ten tylko obywatel może być dobrym Amerykaninem, który kocha, zna i szanuje kraj swych praojców“.

(p. h.)

„POKOLENIE BEZ URAZÓW“

„Wiadomości Polskie“ w Australii (nr 30) w artykule pióra J. Dunin-Karwickiego dostrzegają niebezpieczeństwo wychowania naszej młodzieży w atmosferze kompleksów i obciążń psychicznych starszej generacji emigracyjnej. Autor m.in. zauważa:

„...Los naszych dzieci jest nam za drogi, abyśmy kosztem ich zdrowia psychicznego przeprowadzali na nich ryzykowne doświadczenia, przekazując im w spuściznie te urazy, których sami nie potrafiliśmy się wyżyć. Z całą pewnością nie uda nam się tego młodego pokolenia przywiązać do polskości, jeśli będziemy mu tę polskość ciągle obrzydiali. Nie wyrobimy w nim solidarności z narodem polskim naszymi kłótniami osobistymi w naszych

organizacjach. Zamiast budować pomosty między pokoleniami — kopie my przepaść. Zamiast umiłowania ojczyzny rodziców — wszczepiamy mu lęk i odrazę. I potem mamy żal, że od nas odchodzi“.

EWOLUCJONIŚCI I NIEPODLEGŁOŚCIOWCY

W artykule redakcyjnym „Kombatanta w Ameryce“ (nr 28) znajdujemy ciekawe uwagi na temat stosunku naszego uchodźstwa do Kraju w obecnej fazie. Część społeczeństwa, wychodząc z założenia, że komunizm ulega ewolucji, łączy z tym nadzieje takich zmian w przyszłości, które pozwolą na „zbudowanie pomostów“ między emigracją a Krajem. Zwolennicy tego poglądu, nawołują niepodległościowców do wyrzeczenia się myśli o politycznym wyzwoleniu Polski od Rosji i zachęcają do popierania procesu „demokratyzacji“ w Polsce. Artykuł kończy się spostrzeżeniem:

„...Nie negując więc w żadnym wypadku zachodzących w komunizmie zmian, zadać sobie należy pytanie, czy zmiany te uznać można za trwałe, czy też są one ilustracją znanego powiedzenia Lenina „jeden krok naprzód dwa w tył“, a poza tym, czy zmierzają — z naszego punktu widzenia biorąc — w pożądanym kierunku.

Ponieważ zaś „ewolucjoniści“ zarzucają też „niepodległościowcom“ uchodźczym „nierealność“, podkreślając, że emigracja nie ma żadnego wpływu na to, by doprowadzić do wyzwolenia Polski, postawić trzeba też następne pytanie — to jest, jaki wpływ ma z drugiej strony emigracja, czy też „ewolucjoniści“, na to, by „ewolucja“ komunizmu poszła rzeczywiście w pożądanym dla nich kierunku. Oskarżenia o „brak realizmu“, czy o jałowość szczytnych haseł mogą być w aktualnej sytuacji w pełni uzasadnione — ale jeżeli je ktoś wysuwa, winien dać dowód, że jego koncepcja jest bardziej realna i że ma on sposoby i środki dla wprowadzenia jej w życie — jednym słowem, że wywiera pewien wpływ na bieg wydarzeń w pożądanym dla siebie kierunku.

Takiego dowodu, jak dotychczas, „ewolucjoniści“ nie przedstawili, zadawając się publikowaniem skomponowanych w domowym zaciszu przy biurku wypracowań, pouczających resztę uchodźstwa o „nierealności“ dotychczasowej postawy i o nowym genialnym odkryciu, że komunizm podlega ewolucji.

Jak na „nowy“ program dla uchodźstwa — to grubo za mało“.

BIBLIOTEKA „KULTURY“
Tom XCIX

Wincenty Witos
MOJE WSPOMNIENIA

*Dokument pisany ręką wielkiego
wodza chłopów polskich
i czołowego męża stanu Polski
współczesnej*

Trzy tomy o łącznej objętości
1,325 stron

Cena: £ 6.10.0, F. 87.00, \$ 18.00

W Wielkiej Brytanii do nabycia w
**GRYFIE — 171, Battersea Church
Road, London, S.W.11, oraz we
wszystkich księgarniach polskich**

Jak jest naprawdę w Brazylii?

Po dramatycznym a niezrozumiałym ustąpieniu z prezydentury Janio Quadros, który konsekwentnie kierował się na lewo, nawiązując stosunki nie tylko dyplomatyczne ale i przyjazne z państwami zza żelaznej kurtyny, kokietał Fidel Castro i nawet, ku oburzeniu całego społeczeństwa dekorował „Cha“ Guevara Wielką Wstęgą Cruzeiro do Sul, w myśl konstytucji objął władzę wiceprezydent Joao Goulart. Bawił on wtedy z „wizytą przyjaźni“ w czerwonych Chinach. Już wówczas kielkowała w wojsku myśl niedopuszczenia Goularta do objęcia prezydentury ze względu na jego skrajny radykalizm. Rzeczywiście, niemal od objęcia władzy nowy prezydent wraz ze swym szwagrem, gubernatorem Rio Grande do Sul, Leonel Brizola systematycznie wprowadzał do Brazylii metody mało co różniące się od istniejących za żelazną kurtyną.

Zaczęło to grozić w ostatecznym rachunku wprowadzeniem komunizmu, tym bardziej, że naród, pomimo iż daleki od tendencji komunistycznych, jest niesłyszane pasywny i nieświadomy politycznie a więc wprowadzenie komunizmu z góry, przez sam rząd, nie napotkałoby na opór.

Paradoksem było iż zarówno sam prezydent Goulart, jak jego szwagier Brizola, min. spraw zagr. Dantas i całe sfery rządowe, byli to jedni z najbogatszych ludzi w Brazylii. Uprawiali oni sami i popierali w całym kraju niesłyszane korupcję i nadużycia. Śmiało można powiedzieć, iż nie było tu żadnej instytucji państwowej, stanowej, komunalnej etc., gdzie by nie uprawiano nadużyć w skali miliardowej.

Miguel Arraes, jako gubernator Pernambuco, popierał i subwencjonował komunistyczne „Ligi Chłopskie“ i ich bojową organizację, „Grupy 11“, którego wódz, Juliao, często odwiedzał swego druha Fidel Castro i przez Radio Havana wygłaszał płomienne mowy, zapowiadające krwawą rewolucję w Brazylii, po czym najspokojniej wracał do swej ojczyzny przez nikogo nie niepokojony.

Arraes, aresztowany po wybuchu „rewolucji“, po pewnym czasie uzyskał w Najwyższym Trybunale Federalnym, składającym się do dziś dnia w większości z stronników goulartowskiego rządu, *habeas corpus* (tut. *curiosum* prawne) pozwalające na odpowiadanie z wolnej stopy, korzystając z czego poprosił o azyl w ambasadzie algierskiej i razem z jej szefem wyjechał spokojnie do Algieru. Tak oto wygląda w

rzeczywistości głoszona przez katolickie „La Croix“ „twarda wojskowa władza“, „to wszystko co zostało zmiecione przez rewolucję“, „języki związane“ itp. brednie tego pisma, spod znaku jakiegoś francuskiego „Paxa“. Dość też zabawnie brzmi argument informatora francuskiej „La Croix“, że Arraes nie był komunistą, bo... „rodzina jego jest katolicka“, Pomijając już fakt, że chociażby rodzina Feliksa Dzierżyńskiego też była katolicka, dość powiedzieć, że chyba niewzbudzający wątpliwości w swej katolickości oo. Dominikanie w Sao Paulo finansowali i redagowali pismo „Brasil Urgente“, pod którym nie wahałby się podpisać sam Lenin. Na drzwiach ich ultranowoczesnego kościoła z postaciami świętych jakby z muzeum sztuki nowoczesnej, wisiały ogromne, ociekające czerwienią plakaty, reklamujące to „katolickie“ pismo.

Prócz dominikańskiej elity w Brazylii, nie brak „księży-patriotów“ z takimi „filarami“ jak kardynał-arcybiskup Sao Paulo, czerwony biskup Santo André, miasta przemysłowego, graniczącego z S. Paulo i wielu innych mniejszego kalibru ale o wiele groźniejszych, bo działających na prowincji, wśród analfabetów, ślepo idących za księżmi. Santo André ma widać atmosferę sprzyjającą czerwonemu katolicyzmowi, bo tam się usadowił reżymowy ksiądz Marciniak. Przyprował on w bieżącym roku na katedralną procesję w S. Paulo cały zastęp młodzieży polskiej w krakowskich strojach pod sztandarem z orłem bez korony. I działo się to, wielebni ojcowie spod znaku „La Croix“, przeszło w rok po rewolucji kwietniowej! Zresztą i zaraz po jej wybuchu nikomu z tych przyjaciół Goularta włos nie spadł z głowy. Jedynie kardynał S. Paulo ze swej tłustej diecezji s. paulistańskiej, został przeniesiony „honorowo“ do brazylijskiej Częstochowy — Aparecidy.

PRASA HASA...

„O Estado de S. Paulo“ podaje wiadomość w związku z projektem przeniesienia pomnika ks. Józefa, dłuta Thorwaldena, z Łazienek na skwer przed Prezydium Rady Ministrów na Krakowskim Przedmieściu.

W depeszy znajdujemy piękne kwiatki z osłej łaki. Już sam tytuł „Rehabilitacja polskiego księcia“ budzi duże zastrzeżenia, ale dalej depesza podaje imię księcia jako „Jasek“ a w zakończeniu jest szczyt wszystkiego: „Poniatowski, rehabilitowany, był dowódcą

armii polskiej, marszałkiem i ministrem wojny, i zginął w bitwie pod Lipskiem w roku 1813 na czele wojsk polskich, które walczyły przeciwko Napoleonowi“.

Oczywiście trudno jest wymagać od korespondentów agencji prasowych dokładnej znajomości historii, chociaż raczej byłoby to pożądane, aby jednak któryś z nich (w pierwszym rządzie z „Agence France Press“), zadał sobie trud zajrzenia do Larousse'a aby się dowiedzieć, po czyjej stronie walczyli Polacy w tej „Bitwie Narodów“. Zwłaszcza, że pewnie niejednokrotnie w życiu przechodził w Paryżu przez „Boulevard Poniatowski“?

Zarząd Koła SPK, korzystając z oficjalnej wizyty, jaką złożył w redakcji „O Est, de S. Paulo“, wręczył w tej sprawie piśmienne sprostowanie. Nadzwyczaj uprzejmy redaktor, który przyjmował nas w imieniu redakcji i czarował swoimi obietnicami stałej współpracy, obiecał najsołenniejsz, że sprostowanie ukaże się nazajutrz. Od tego czasu minęło przeszło pół roku a sprostowanie nie ukazało się w tym piśmie jak też i pozostały wręczony redaktorowi materiał o Polsce. Tu, w Południowej Ameryce mówi się: *amanha* (po portugalsku) lub *manana* (po kastylijsku) co dosłownie znaczy *jutro* a w rzeczywistości *nigdy*.

ŁABĘDZIA PIEŚŃ W SĄDZIE

W Rio de Janeiro, w sadzawce przed pałacem Itamarati (Min. Spraw Zagr.), jeden łabędź zabił swego rywala. Oto co podaje w związku z tym w swej korespondencji z Rio „O Estado de S. Paulo“, jeden z największych tutejszych dzienników, pt. „Łabędź zabił w koniecznej obronie“:

„Według adwokata Humberto Teles, łabędź 'Romeu', uważany za odpowiedzialnego za śmierć 'Caruso', ptaka, który zmarł w sadzawce Itamarati, przy obojętnym zachowaniu się swej ukochanej, 'Esmeraldy', nie jest zimnym i krwiożerczym zbrodniarzem, jakim chcą go zrobić, lecz działał w koniecznej obronie. Właściciel łabędzia, który jest w ogrodzie zoologicznym, w oczekiwaniu sądu, oświadczył, iż 'Romeu' jak i jego dawny towarzysz 'Caruso', był uwiedziony przez 'Esmeraldę', która przez lekkomyślność doprowadziła do śmierci byłego kochanka a ponadto spowodowała, iż niewinny pozostaje za kratami ogrodu zoologicznego w Guanabara. Uzasadniając swoją obronę, głównie na podstawie koniecznej obro-

ny, adwokat Humberto Telles zapewnia iż jest gotów dowieść niewinności 'Romeu', zwłaszcza że 'Caruso' nie umarł wyłącznie skutkiem uderzeń dziobem innego łabędzia, lecz z powodu choroby, w którą popadł kiedy został porzucony przez 'Esmeraldę'.

Rozprawa sądowa odbędzie się w najbliższych dniach pod przewodnictwem sędziego Eliezer Rosa w Trybunale Sprawiedliwości w Guanabara.

Tyle depesza z Rio. Zdawałoby się, że wobec walk w Wietnamie, w Indiach, S. Domingo i innych newralgicznych punktach świata, nie można nazwać tego okresu „ogórkowym“, aby upoważniało to do puszczania takich „kaczek“ dziennikarskich. A jeśli uważać podaną wiadomość za prawdziwą, zrozumiałym stanie się czekanie latami na wymiar sprawiedliwości dla ludzi, skoro sędziowie zajmują się sądzeniem spraw pomiędzy ptakami (może i owadami?) i innymi „zoologicznymi“ stworzeniami. Tu możemy uspokoić miłośników zwierząt, iż wobec nie istnienia tu kary śmierci, „Romeu“ nie grozi ogzekucja i zjedzenia w formie pieczystego na jakimś bankiecie dyplomatycznym.

JUBILEUSZ KAPŁAŃSTWA

Katolicka kolonia polska w S. Paulo obchodziła w dniu 4 lipca br. uroczystość 50-lecia kapłaństwa i 80-lecia urodzin proboszcza polskiej parafii ks. dr. Antoniego Łatki. Na ten niecodzienny jubileusz przybyło szereg księży polskich z innych brazylijskich parafii, głównie z największego skupiska Polaków, stanu Parany, jak też rzesze mieszkających w S. Paulo wiernych. Po uroczystej, celebrowanej przez Jubilata Mszy św., na której kazanie wygłosił rektor ks. ks. Misjonarzy ks. Pitoń, odbyło się przyjęcie dla całej polskiej katolickiej kolonii oraz wspólny obiad, na którym niezwykle inteligentne i pełne „esprit“ przemówienie wygłosił Karol Wędziągolski.

Ustąpienie ks. dr. A. Łatki, który przechodzi na zasłużoną po tylu latach niesłuchanie intensywnej i męczącej pracy na emeryturę, jest bezprzeczenie wielką stratą dla całej Polonii S. Paulo, gdyż oprócz swych obowiązków kapłańskich niesienia wiary, był on krzewicielem polskości i języka polskiego wśród Polaków, mieszkających nieraz na najbardziej oddalonych przedmieściach tego gigantycznego miasta, jakim jest liczące ok. 5 milionów mieszkańców S. Paulo. Dzięki temu wszystkie niemal, nawet tu urodzone dzieci polskie mówią doskonale po polsku, czego dają dowód występując na zorganizowanych przez parafię akademiach z okazji świąt kościelnych czy narodowych. Imię ks. dr. Antoniego Łatki dobrze się zapisało w historii naszego uchodźstwa w Brazylii.

SUKCES LITERACKI PÓLKI W BRAZYLII

Jedną z największych spółek wydawniczych w Brazylii, „Melhoramento“, wydała ostatnio uroczą książkę dla dzieci w języku portugalskim pióra naszej rodaczki, Wandy Mycielskiej, pt. „Zuzuquinho“. Książka wyszła z ilustracjami autorki i Krystyny Mycielskiej z muzyką młodego, 13-letniego Andrzeja Müllera, syna znanego w Polsce przed wojną muzyka, pianisty i kompozytora Tadeusza Müllera. Książka ma wielkie powodzenie a największy poeta Brazylii, Guilherme de Almeida, noszący tytuł „Księcia poetów“, napisał o niej nadzwyczaj pochlebną recenzję. Byłoby ze wszechmiar wskazane żeby zainteresowała się tą książką któraś z naszych firm wydawniczych, czy to w Anglii czy w Stanach Zjednoczonych i wydała ją w języku polskim dla dzieci polskich na emigracji.

Jerzy Pomian

„SKARBY WSPÓLNOTY BRYTYJSKIEJ“

Dwa miesiące, od połowy września po ok. połowę listopada, to okres imprez w Londynie i kilku innych miastach pod hasłem: Festiwal Sztuki i Wspólnoty. Są to wystawy i przedstawienia teatralne i filmowe, mające pokazać wkład poszczególnych krajów wchodzących w skład Wspólnoty Brytyjskiej, do wspólnego skarbcza kultury. Akademia Królewska przy Piccadilly pokazuje: „Skarby Wspólnoty“.

W wystawie bierze udział szereg krajów, które w sumie dają pewien pogląd na całość Wspólnoty, tak przez podobieństwa, które wynikają z łączności z Anglią, jak i przeciwieństwa spowodowane własną dawną kulturą, klimatem itp.

Oczywiście najmocniej zaznaczają się obszary duże, a więc jeśli o tę wystawę chodzi: Indie i Kanada. Raz, że ilość eksponatów jest większa niż z innych terenów, a po drugie że leżą w innych szerokościach geograficznych, i reprezentują jeden kraj przeludniony — drugie niedoludnione.

Anglia sama, nie wiadomo dlaczego, pokazała tylko wyroby ze srebra i instrumenty muzyczne. Jest szereg krajów, które zaznaczyły swój wkład nieomal jednym obiektem. Ale wydaje się czasami że i to za dużo. Głównie

obrazy, prymitywne [z Rodezji, Trynidadu i in.] złe w kolorze i rysunku. Nie wykluczone zresztą, że dany malarz studiował w Europie. Ale nie wiadać by się czegokolwiek, poza odwagą, nauczył.

Kanada ma dwa oblicza. Jedno, podobieństwo do Anglii, co pokazuje na kilkunastu obrazach malowanych w ubiegłym i obecnym wieku, które są wiernym odbiciem stylów jakie panowały w tym okresie w Anglii. Temat jest oczywiście kanadyjski, a więc drzewa, śnieg, przetrzeźni. Sposób malowania ostrożny, wystudiowany, solidny, ale reprezentujący przeciętność stylową.

Drugie oblicze to sztuka prymitywna Eskimosów. Rzeźby ich, wykorzystujące sam kształt kamienia [foki, morsy, niedźwiedzie itp.] są syntetyczne, i przypominają rzeźby Arpa, z tym, że moim zdaniem, Arp jest lepszy.

Indie mają mocną indywidualność, nie dały sobie narzucić europejskiego stylu, w tym przynajmniej co wystawa pokazuje. Prześliczne w kształcie i barwie są ich stare instrumenty muzyczne, ładne figurki z różnych metali, niezłe obrazy współczesnych artystów, którzy choć studiowali w Europie [jest między in. sławny malarz Suozi, znany w Londynie] nawiązali do dawnych krajowych stylów. Ta indywidualność artystów indyjskich wynika, moim zdaniem, choćby z samej budowy ciała Hindusów, innej niż Europejczyków. To się odbija w sztuce.

Dla kogoś kto jest częstym gościem muzeów londyńskich, wystawa obecna nie jest niczym nowym, jej znaczenie, tak mi się przynajmniej wydaje, ma cel młodzieżowy, i rzeczywiście publiczność to młodzież, w tym, kiedy ją na wystawie byłem, spora grupa z Niemiec. Tak chłopcy jak dziewczęta, po 16 do 18 lat. Niemniej jednak kiedy się ją uważnie oglądnie, a zaskakuje swą stroną dekoracyjną, naprawdę uroczą, widzi się, że Wspólnota to jednak konstrukcja żywa i wymieniająca swe elementy stale między sobą. Najpierw otrzymywała od Europy, a właściwie od Anglii, a obecnie wytwarza nowe elementy, będące syntezą własnych rodzimych i europejskich.

Wystawa to szereg sal wokół jednej, która jest dla nich centralną. I w tej centralnej, na samym środku znajduje się świetna rzeźba Moore'a. Przedstawia ona typową dla niego postać leżącą, a wykonana jest z drzewa. Ta najlepsza rzecz całej wystawy jest dłuta Anglika, i jest niemyym stwierdzeniem, że centrum sztuki to dalej nasza poczciwa Europa.

Stefan Legeżyński

ZNAJÓMOŚĆ kraju ojczyzny ma zasadnicze znaczenie dla każdego Polaka. Tym bardziej dla Polaków pozostałych na emigracji i oddzielonych od Polski niekiedy wręcz nieprzekraczalną kurtyną. Ale tej potrzebie w sposób gruntowny nie mogą zaspokoić sporadyczne wiadomości urywkowe w prasie lub radio, które z uwagi na warunki swej pracy nie mogą kuś się ani o kompletność, ani ścisłość, ani odpowiednią perspektywę. Posługując się pośrednimi źródłami informacyjnymi trudno im nieraz o ustrzeżenie się oświeleń propagandowych. Jedynie obiektywne, a przy tym nie bezkrytyczne ujęcie bieżących zjawisk przez systematycznego obserwatora, jakim zwykły być człowiek nauki lub specjalista w jakiejś dziedzinie, może zapewnić uzyskanie rzeczywistej wiedzy o tym co się dzieje w Kraju.

Dostarczanie właśnie tego rodzaju wiedzy swoim i obcym jest głównym zadaniem Instytutu Badania Zagadnień Krajowych. Podróże do kraju, podejmowane przez jednostki prywatne, z motywów sentymentalnych lub dla turystyki, mogą oświetlić tylko fragmentarycznie i powierzchownie jakiś odcinek bieżącego życia, mogą dostarczyć czasem silnych wrażeń i plastycznych ilustracji, ale nigdy nie zastąpią metodycznego badania całokształtu zjawisk z perspektywy historycznej i porównawczej przez fachowców, o należywym wykształceniu teoretycznym lub rozległym zasobie wiedzy i doświadczenia osobistego w danej dziedzinie.

Może się wydawać paradoksalne, że ludzie z tzw. wolnego świata, osiadli na Zachodzie mogą mieć bardziej bezstronny obraz i pogląd na zdarzenia w Kraju, od ludzi znajdujących się na miejscu lub od ludzi, którzy osobiście zetknęli się okolicznościowo z rzeczywistością w Polsce współczesnej. Wiadomo jednak, że z urzędu sprawy w Polsce pod wpływem nacisku czynników politycznych, rządzących w Kraju, przedstawiane są przez czynniki powołane do badania na miejscu sytuacji na ogół w zmienionym świetle. I z zasady korektura przeprowadzona może być właśnie od zewnątrz, przez człowieka nieskrepowanego innymi nakazami, jak tylko rzetelności badawczej. Żadnemu zresztą przybyszowi z Zachodu czynniki reżymowe w Polsce nie pozwoliłyby na swobodne badanie jakiegokolwiek dziedziny zahaczającej o sprawy państwowe.

To wystarczająco tłumaczy, dlaczego reaktywowany ostatnio Instytut Badania Zagadnień Krajowych, wznowiając wzmoczoną działalność, zaplanował z punktu na następny rok akademicki 1965/66 ciekawy program prac, wśród których na czoło spraw bieżących wy-

KURS WIEDZY O POLSCE WSPÓŁCZESNEJ

suwa się zorganizowanie kursu wykładów powszechnych o Polsce współczesnej. W ten sposób prowadzony przez Polski Uniwersytet na Obczyźnie kurs z historii kultury polskiej znajduje uzupełnienie i dopełnienie w kursie poświęconym szerzeniu wiedzy o obecnej sytuacji w Polsce, obejmując w zasadzie cały okres ubiegłego dwudziestolecia od r. 1945 do 1965.

W kursie I.B.Z.K. główny nacisk położony będzie już nie na sprawach literatury czy sztuki, choć i te tematy nie będą pominięte w ich stanie obecnym, ale na sprawy ustrojowe, geopolityczne, demograficzne, religijne i gospodarcze, w ich głównych przejawach przemysłowych, handlowych, rolniczych i społecznych. W dziale związanym z sytuacją kulturalną, uwzględniony będzie szczególnie stan nauki, wszystkie odmiany szkolnictwa, zagadnienia związane ze wszystkimi działami twórczości, z uwzględnieniem plastyki, muzyki, teatru, filmu i książki. Osobna uwaga poświęcona będzie sprawie stosunku władz w Kraju do Polaków przebywających zagranicą.

Kurs otworzą trzy wykłady o Polsce niepodległej z okresu od 1918 r. do 1945 roku, z uwzględnieniem warunków okupacyjnych, po których dany będzie obraz dziejów Polski powojennej, współczesnej w ściślejszym znaczeniu (1945—1965) ze szczególnym uwzględnieniem stosunków polsko-sowieckich i historii ruchu komunistycznego.

Ogółem przewidzianych zostało 30 godzin wykładów na ponad 15 różnych tematów. Wykłady odbywać się mają od końca stycznia do drugiej połowy maja 1966 r., raz w tygodniu i w tygodniowych odstępach czasu, po dwie godziny jednego dnia, w porze wieczornej.

Zarząd tego kursu, prowadzonego w ramach Instytutu Badania Zagadnień Krajowych stanowią pp. prof. B. Hełczyński, J. Poniatowski, i p. Stanisław J. Paprocki, sekretarz generalny Instytutu. Program kursu ustalony został przez komisję, złożoną z osób wyznaczonych przez Zarząd I.B.Z.K. oraz osób spośród wykładowców P.U.N.O. i Szkoły Nauk Politycznych i Społecznych. Na wykładowców poza członkami Zarządu Kursu zaproszonych zostało 14 osób z kół naukowych i specjalistów z różnych dziedzin. Wśród nich znajdują się pp. Adam Ciołkosz, red. M. Cybulski, dr. M. Danilewiczowa, prof. J. Gawenda, dr. Czesław Halski, prof. T. Komarnicki, dr. L. Kielanowski, dyr. W. Martin, dr. S. Męcarski, dr. J. Mie-

dzińska, prof. Z. Hołub-Pacewiczowa, b. min. M. Sokołowski, p. B. Stypiński, p. K. Trębicki.

Kurs ten przeznaczony jest dla sześciu rzesz osób posiadających średnie i wyższe wykształcenie. Przewidziane są dwie kategorie słuchaczy zwykłych i korespondencyjnych, gdyż z poszczególnych wykładów wydawane będą powielane skrypty. Za przesłuchanie całego kursu z otrzymaniem skryptów pobierana będzie opłata w ogólnej wysokości £1.0.0. Rzecz jasna, że kurs ten będzie miał na względzie przede wszystkim młode pokolenie, wychowane na obczyźnie. W pozyskiwaniu sobie słuchaczy Instytut B.Z.K. zapewnił sobie współpracę Polskiej Macierzy Szkolnej, Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, Zrzeszenia Nauczycielstwa Polskiego Zagranicą, Zrzeszenie Wolnych Studentów Polskich, Związku Harcerstwa Polskiego i katolickich organizacji młodzieżowych. Poza tym zapewnioną ma współpracę niepodległościowej prasy polskiej („Dziennik Polski“, „Orzeł Biały“, „Wiadomości“, „Gazeta Niedzielną“ itp.), przez ogłaszanie komunikatów. A nadto wywieszane będą plakaty w instytucjach polskich.

Zgłoszenia należy kierować do Sekretariatu Instytutu B.Z.K. na adres jego stałej siedziby na 9, Princes Gardens, London, S.W.7, pokój nr 27, IV piętro. O przyjęciu na kurs decydować będzie Zarząd Kursu. Po przesłuchaniu kursu uczestnicy jego mogą otrzymać zaświadczenie po zdaniu egzaminu z co najmniej trzech tematów, wybranych przez siebie. W tym celu wybrana będzie specjalna komisja egzaminacyjna, złożona z dwóch osób spośród wykładow-

Wspomniany kurs jest tylko jedną z form działalności obecnej Instytutu B.Z.K. Jednocześnie z organizacją kursu montowana jest sekcja prelegentów, która przygotowuje w roku 1965/66 cykl 6 odczytów na wybrane tematy szczegółowe. Akcję tę rozpoczął już odczyt prof. B. Hełczyńskiego o wolnych zawodach w Polsce, który odbył się 28 kwietnia 1965 r. Z dalszych tematów będących w opracowaniu, znajdują się problemy młodzieży w Kraju, współczesna filozofia polska, i treści ideowe w współczesnej poezji krajowej.

Uzyskanie wiedzy idealnie obiektywnej, zwłaszcza w zakresie spraw związanych z ustrojami nie opartymi na zasadach wolności myśli i słowa, jest może zagadnieniem nieosiągalnym. Ale do tego ideału można się zbliżyć drogą krytycznej analizy zjawisk dostępnych do poznania, przebijając w ten sposób roztaczane dokoła nich propagandowe zasłony dymne. Rzetelność pracowników I.B.Z.K. jest gwarancją wartości dociekań i uzyskanych wyników.

J. O. N.

MIGDAŁY, adenoidy i gruczoloty szyi są używane przez naturę jako zapory przeciwko infekcjom. Aby dobrze sobie zdać sprawę z ich funkcji obronnych wyobraźmy sobie najlepiej dwa kota: pierwsze koto, składające się z zapory gruczolotów limfatycznych i połączone naczyniami limfatycznymi z drugim kotem obronnym organizmu — mianowicie z adenoidami, czyli tzw. „trzecim migdałem“ oraz z migdałkami. Często się zdarza, że podczas przeziębienia chorey znajduje zgrubienia gruczolotów w szyi, co napawa go nieraz obawą, że może jest mu coś więcej niż zwykłe przeziębienie. A to właśnie jest proces naturalny niezwykłego mechanizmu ciała ludzkiego — zgrubienie gruczolotów to walka pierwszego kota obronnego organizmu, które weszło do akcji przeciw infekcji. Zdarza się przeważnie, że po pewnym czasie zgrubienia gruczolotowe mijają bez śladu. Czasami jednak takie jedno czy drugie zgrubienie pozostaje na stałe. Nie powinno to być nigdy przyczyną niepokoju, a w wypadku dzieci można chyba śmiało powiedzieć, że nie ma właściwie dziecka, które by nie posiadało takiego zgrubienia gruczolotowego.

Zapalenie migdałów zdarza się najczęściej u dzieci, człowiek dorosły jest na to schorzenie bardziej odporny. Objawy zapalenia migdałów są następujące: wysoka gorączka, ból gardła, a w wypadku dziecka częste wymioty. Migdałki są wyraźnie powiększone i opuchnięte, można dostrzec na nich gotym okiem żółte naloty ropne. Gruczoloty szyi są zwykle nie tylko powiększone, ale i bolesne.

W dobie dzisiejszej, gdy zarzucone zostały już ostatecznie tak przestarzałe środki leczenia jak szprycowanie gardła, przeciw któremu większość dzieci protestowała strachem i płaczem, metody leczenia są proste: ciepłe łóżko, duża ilość płynów i stosowanie, oczywiście za wskazaniem lekarza — antybiotyków, przeważnie penicyliny.

Każdy laik, a więc także i zatroskana matka — winni wiedzieć, że migdałki u dzieci są proporcjonalnie dużo większe niż u człowieka dorosłego. Jeśli więc przy lekkim przeziębieniu zaniepokojeni rodzice zajrzą do gardła dziecka i zobaczą sterczące po obu stronach gardła migdałki, które wydają im się nienormalnie duże — nie powinni wysnuwać wniosku, że dziecko ich ma infekcję. Migdałki zmniejszają się z wiekiem, aby wreszcie u dorosłej osoby, jeśli są normalne — stać się prawie niewidocznymi.

Zapalenie migdałów może też przybrać inną formę od opisanej powyżej. Pierwsza forma występuje raptownie i na krótkiej przestrzeni czasu, drugą nazywamy przewlekłym zapaleniem mig-

Gawędy lekarskie

MIGDAŁKI

dalków. I tutaj znów najczęstszą ofiarą tego schorzenia jest dziecko, lub bardzo młoda osoba dorosła. Dotknięci tym schorzeniem skarżą się, że nieraz przez całą zimę bolało ich gardło. W wypadku przewlekłego zapalenia migdałków mogą one być tak powiększone, że niemal spytają się ze sobą w gardle, lub też mogą być niepowiększone, ale w bliznach i porowatych wgłębieniach i nierównościach. Adenoidy i gruczoloty szyi są wówczas z reguły powiększone. Czasami chorey nie może oddychać przez nos i oddychając jedynie ustami wysusza jamę ustną, co może prowadzić nieraz do zapalenia dziąseł a w wypadku dzieci do złego rozwoju klatki piersiowej. Dziecko cierpiące na chroniczne zapalenie migdałków może być czasem głuchawe, ma niespokojny sen itd., co często prowadzi do złych rezultatów w nauce. W takim wypadku wycięcie migdałów i adenoidów jest konieczne. W młodym wieku pacjent po operacji wycięcia migdałów powraca bardzo szybko do zdrowia, oraz poprawia się szybkość jego percepcji i ogólny stan fizyczny.

Jeszcze inną odmianą schorzenia migdałków jest tzw. „ropień okotomigdałowy“. Jest to przypadłość bardzo bolesna i przykra i najczęściej tak jak i opisane powyżej przypadłości ofiarami jego są dzieci lub młodzi ludzie. Pacjent czuje się bardzo chory, odczuwa przeszywające bóle w uszach i w gardle, nie może przelikać i ma trudności w otwieraniu ust. Często występuje drżączka kończyn. Ropień okotomigdałowy nie jest jednak w zasadzie schorzeniem samego migdałka; jest to wrzód formujący się na błonach okalających migdałek. Często się zdarza, że wrzód taki pęka sam, przynosząc natychmiastową ulgę choremu. W stadium początkowym antybiotyki mogą zapobiec tworzeniu się

wrzodu, jeśli jednak zawiodą, zachodzi potrzeba zabiegu operacyjnego, czyli przecięcia wrzodu i wyczyszczenia pozostałej ropy.

Wskazania na operację wycięcia migdałów są następujące: jeżeli wielkość migdałów jest taka, że przeszkadzają w oddychaniu (w tym wypadku wycina się i trzeci migdał, czyli adenoidy), jeżeli ataki ostrego zapalenia migdałów powtarzają się bardzo często, np. kilka razy w ciągu jednej zimy; jeśli pacjent cierpi na chroniczne zapalenie migdałów, tak jak to zostało opisane powyżej.

W praktyce lekarskiej spotkać się można często z żądaniem rodziców, aby dziecku usunąć migdałki po jednym za ledwie czy dwóch atakach. Kilkanaście lat temu przeważała tendencja wycinania migdałów u wszystkich dzieci zapadających na gardło. Doświadczenie wykazało, że po operacji dzieci nieraz nadal zapadały na gardło z towarzyszeniem wysokiej gorączki. Niezawsze więc usunięcie migdałów jest wskazane jako środek radykalny przeciw schorzeniom gardła.

Rozróżniamy dwa rodzaje operacji na migdałki. Mało popularna i prawie, że dziś już nie używana metoda wycinania migdałów instrumentem skonstruowanym na podobieństwo gilotyny, przy której zawsze zachodzi obawa dużego krwawienia pacjenta, oraz metoda tzw. wyluskiwania. Ten drugi sposób jest o wiele bardziej dokładny przy mniejszych szansach krwotoku, a także nie zostawia w gardle żadnej części migdałka, co przy użyciu tzw. gilotyny może się czasem zdarzyć.

Rekonwalescencja w obu wypadkach następuje szybko zarówno u dzieci jak i u dorosłych i dzisiaj zabieg ten nie jest uważany za poważniejszą operację.

Dr. MICHAŁ

LWÓW
1782
WIEN

J. A. BACZEWSKI

WÓDKI I LIKIERY
NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI
ST. BERNHARD

Likier ziołowy

KRUPNIK
KONTUSZÓWKA
WIŚNIAK

STARKA
JARZĘBIAK
WIŚNIOŹKA

J. A. BRUCE & CO. .

9, LENTHALL PLACE, LONDON, S.W.7.

Tel. FRE 5808

(Kolo stacji kolejki podz. Gloucester Road)



ŻYCIE

B.D.I.C.

KULTURALNE POLSKIEGO LONDYNU

WÓZ TESPISA: Wóz Tespisa razem z Rydwanem Erato, które utknęły przez ostatni rok, ruszyły znów z miejsca, niemal jednocześnie. Wóz Tespisa najpierw truchcikiem, a potem wielkim kłusem. Dora Kalinówna w swym świątowym objeździe skupisk polskich zawitała i do Londynu z programem z dawnego jej repertuaru, znanym z Qui Pro Quo. Czas, który upłynął od tych chwil, zmienił nie tylko warunki sceniczne aktorki, ale i rezonans, jaki mógł znaleźć obecnie wyszukany styl jej gry, daleki od współczesnej bezpośredniości, jak i od charakterystycznego zacięcia dawnych numerów kabaretu literackiego. To trochę skłócone ze sobą połączenie spotkało się też z mieszanym odczuciem u niejednego z jej widzów, z których większość była najżywczej usposobiona do utalentowanej artystki. Wobec do połowy tylko zapelnionej widowni wykonane zostały piosenki i monolog. oraz wiersze J. Tuwima, H. Rittermana, M. Hemara, K. Wierzyńskiego i A. Janty. Wszystkie dobrane i przebrane, a jakże inaczej podane niż przed 30 laty.

Po tych występach Teatr Polski ZASP w Ognisku Polskim wystawił pod tym samym co poprzednio widowisko kierownictwem administracyjnym Zygmunta Zimanda oryginalną sztukę, napisaną przez amerykańskiego autora Jerome Kilty, pt. „Kochany Kłamca“ w polskim przekładzie Juliusza Sakowskiego. Została ona napisana na podstawie listów wymienionych w latach 1899—1939 między G. B. Shawem i aktorką Stellą Patrick-Campbell. Postać Shawą odtwarzał Adolf Bożyński, przybyły w tym celu z Monachium, a aktorki — Irena Kora-Brzezińska.

Ten od dawna oczekiwany bilet wizytowy odnowionego na emigracji teatru dramatycznego jest ciekawym eksperymentem scenicznym o wielu walorach dla rzeczywistych miłośników sceny i amatorów igraszek intelektualnych właściwych dla Shawy, pogłębionych tym razem przez obnażanie charakteru tego niezwykłego autora. Sztuka ta odniosła już duże sukcesy na scenach amerykańskich i europejskich, nie wyłączając scen krajowych, gdzie pokazana była w co najmniej dwu obsadach aktorów.

Daje ona wielkie pole do opisu dla aktorów, z czego w pełni i z dużym powodzeniem skorzystała p. Kora-Brzezińska, zwłaszcza we wstępnej scenie z „Pigmaliona“ i w końcowych scenach sztuki, jako starzejąca się gwiazda. Talenty aktora charakterystycznego, jakie posiada Adolf Bożyński, nie znalazły tu pełnego pola do opisu, niemniej był on cennym partnerem dla Brzezińskiej.

Sztuka ta pozwala też na oryginalne

eksperymenty reżysersko-inscenizacyjne. Tu znów typowe dla nas, skromne warunki sceniczne ograniczyły możliwości i zasłużonego reżysera Leopolda Kielanowskiego i doskonałego scenografa Tadeusza Orłowicza, który ograniczył się do wprowadzenia mało wyzyskiwanych przez teatr emigracyjny efektów projekcji na tło sceny fotomontaży i wizerunków bohaterów sztuki. Bezkompromisowy wybór sztuki i odważna jego realizacja w formie teatru na pół Sztuk Czytanych i na pół Żywej Sceny, zaliczyć należy całkowicie na korzyść kierownictwa teatru, pod wznowioną dyrekcją artystyczną dr L. Kielanowskiego.

Poza pewnymi niedociągnięciami technicznymi w grze aktorów, będącymi naturalnym następstwem długiej przerwy w ich pracy sceniczej, wyrażającymi się m.in. w konieczności posługiwania się suflerem i to nie zawsze z pełnym skutkiem, wspomniana przerwa pociągnęła za sobą jeszcze inne, dużo fatalniejsze następstwo. Publiczność odzwyczaiła się od śledzenia ruchu teatralnego i chodzenia do teatru, wyrządzając w ten sposób wielką krzywdę ofiarnym aktorom i całej idei teatru — przez nie wypełnienie sali nawet do połowy, na niektórych przedstawieniach.

Znakomity przykład tekstu sztuki przez Juliusza Sakowskiego, bezskutecznie wywołanego na premierze, był jednym z motywów więcej, dla którego warto było pofatygować się do „Ogniska“. Oby na stosunek publiczności emigracyjnej do jej teatru dodatnio wpłynęły zapowiedzi dalszego, dobrze wyważonego repertuaru, który przewiduje 3-aktową sztukę Sławomira Mrożka i nową komedię Mariana Hemara, której tytuł nie został jeszcze ujawniony, względnie ustalony.

RYDWAN ERATO: Z trzech muz poezji (pomijając Euterpe i Kaliope), na muzę literatury wybraliśmy Erato, ze względu na semantyczne i dźwiękowe skojarzenie z powiedzeniem „Errare humanum est“. Rydwan Erato ruszył, gdy urządzony został przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie wie-

czór pod lirycznym tytułem „Czy literatura emigracyjna ma przyszłość?“ Na pytanie to z punktu dała odpowiedź publiczność zapelniając ponad pół sali sztandarowej Muzeum im. Sikorskiego, pomimo pogody, w którą przysłowiowego psa nikt by nie wygnał na dwór. Przewodniczył T. Terlecki, który robił ostatnio wszystko, aby rozruszyć zastojałe życie literackie, dopóki nie nadejdzie chwila powrotu do Chicago na katedrę, którą mu zaofiarowano.

Problematyka i sposób rozwiązania zagadnienia nie były bardzo szczęśliwie wybrane, bo trudno było C. Dobkowi, J. Garlińskiemu i J. Żywinie, a nawet M. Czuchnowskiemu mówić, na jak długo stanie ich twórczości i jaki będzie z czasem na nią odbiór! Każdy z nich przygotował literackie wypracowanie na ściśle socjologiczny i historyczny temat, do którego ujęcia znalazły się istotne przyczynki dopiero w dyskusji. Tak więc prof. W. Günther przypomniał koniec literatury emigracyjnej za czasów Wielkiej Emigracji, Teodozja Lisiewicz sprowadziła zagadnienie stosunku polityki i literatury do zasadniczego postulatu idei niepodległości, p. M. Bulicz, nauczyciel, wskazał na moment populacyjny w tym zagadnieniu, a nawet p. min. Byrowa, nauczycielka, w swych spletanych wywodach podniosła fakt, jak zaangażowanie polityczne niektórych pisarzy wytrąciło im pióro z ręki.

W terminach „optymizm“ „pesymizm“ głosy podzieliły się jak 1 do 3 nie licząc przewodniczącego, przy czym jedynym optymistą mógł być tylko Marian Czuchnowski. Wieczór wniósłby więcej do naszej wiedzy na ten temat, gdyby przewodniczący wziął na siebie rolę dokładniejszego sprecyzowania, pojęcia „literatury emigracyjnej“ i „przyszłości“ (9 lat czy 100 lat), i gdyby metodą telewizyjną „hit“ i „miss“ wypowiedzieli się nie tylko niektórzy, ale wszyscy zebrani. Mogłaby powstać cegielka, na której budowałiby swe nadzieje wydawcy i księgarze.

Projektowany publiczny wieczór autorski Kazimierza Wierzyńskiego dla uczczenia 70-lecia jego urodzin nie doszedł do skutku z powodu niechęci jublata. Musiano poprzestać na urzędowej w dużej sali „Ogniska Polskiego“ przez Związek Pisarzy, prywatnej herbatce towarzyskiej w gronie zaproszonych gości. Przemówili do nich: pp. T. Terlecki, S. Baliński, S. Kosowska, M. Danilewiczowa, L. Kielanowski, J. Sakowski, M. Hemar i K. Wierzyński, który odczytał też fragment pisanej przez siebie książki, zawierającej wspomnienia literackie. Związek Pisarzy obdarował go oprawnym w półskórek egzemplarzem „Literatury emigracyjnej“ w dwóch tomach. Przemówieniom towa-

rzyszyły wybuchy fajerwerków puszczanych z okazji obchodu „Bitwy o W. Brytanię“.

RUCH FILOZOFICZNY:

Do działu „jak nas widzą“ i „co o nas piszą“ zaliczyć można echa, jakie wzbudza I tom „Literatury Polskiej na Obczyźnie 1940-60“, N-rze 3-4 t. XXIII „Ruchu filozoficznego“ wychodzącego w Toruniu, organu Polskiego Towarzystwa Filozoficznego pod red. prof. T. Czeżowskiego dwukrotnie powołano się na podrozdział „Filozofia i psychologia“ napisany przez Jana Ostrowskiego. Raz streszczając pracę i jej główne wnioski, i drugi raz czerpiąc z niego wiadomość o śmierci prof. dr gen. J. Zająca. Wydaje się to świadczyć, że do polskich naukowych ośrodków informacyjnych, do których należy „Ruch Filozoficzny“, nie docierają inne źródła, jak Rocznik PTN na Obczyźnie. Rok 1963/64“ zawierający pełny nekrolog prof. Zająca.

W „Ruchu...“ znajduje odbicie działalność różnych polskich pisarzy filozoficznych, przebywających poza Krajem, jak prof. A. Tarskiego, prof. A. T. Tymienieckiej z Ameryki, (niesłusznie wiązanej z Anglią), dra Z. Jordana, O. I. M. Bocheńskiego i inn. Lektura tego kwartalnika, ukazującego się ostatnio w podwójnych zeszytach półrocznych, jest fascynująca dla czytelnika o skłonnościach encyklopedycznych i uniwersalistycznych. Cały świat filozoficzny, z obu stron kurtyny, znajduje w nim odbicie zwięzłe i wszechstronne. Jest to okolicznością od redakcji niezależną, iż dział poświęcony Zachodowi wypada barwniej i ciekawiej od poświęconego Wschodowi.

Z miejscowego terenu powitać należy z uznaniem powołanie prof. dr W. Strzałkowskiego do Wydziału Filozoficznego Lewis College, Lockport, Illinois w U. S. A., gdzie będzie wykładał różne przedmioty filozoficzne. Dotychczasowy dorobek prof. Strzałkowskiego znany jest choćby ze wspomnianego wyżej podrozdziału. Dodać by wypadało jeszcze zajęcie się przez niego szeregiem niewydanych rękopisów pisarzy filozoficznych i uczonych polskich, zarejestrowanych i omówionych w kilku „Biuletynach“ Zrzeszenia Polskich Profesorów i Wykładowców Szkół Akademickich na Obczyźnie. Ostatnio zredagował Nr 1 „Rocznika Szkoły Nazaretanek w Pitsford“ założonej w 1947 r.

BIBLIOGRAFIA: Gdy mowa o literaturze i czytelnictwie, nie sposób zapomnieć o bibliotekach i bibliografii. W tej dziedzinie kierownictwo Biblioteki Polskiej w Londynie ma dorobek, który z roku na rok narasta i składa się na jedną z jej szczególnych zasług. Ostat-

nie prace te były prowadzone w trzech kierunkach.

Zbierano materiały do 2 tomu drukowanej bibliografii obcojęzycznego piśmiennictwa naukowego emigracji, który mógł być nawet wydany w najbliższym czasie, gdyby spodziewana subwencja na ten cel nie zawiódła. Jak wiadomo, tom I mógł z powodu ograniczeń wydawniczych objąć w niektórych działach tylko połowę zebranych danych o dotychczasowym dorobku piśmienniczym w tej dziedzinie.

Wykazane jest wydawnictwo powielane III tomu Bibliografii Emigracyjnej, będącego kontynuacją pracy Janiny Zabielskiej, którą do niego pozostawiła 900 pozycji, do których dołączono potem dalszych 3.000. Razem będzie to ok. 4.000 pozycji, które obejmą dorobek lat 1958—1963 plus uzupełnienia za lata 1939—1957. A zanim wyjdzie ten tom już nagromadzają się materiały za lata 1964—1965 i dalsze uzupełnienia za okres poprzedni. Niemniej właśnie nastąpiła już właściwa chwila, aby zatroszczyć się o wydawnictwo drukowane tego wydawnictwa, które obejmowałoby już ok. 14.000 pozycji druków odrębnych. O pożyteczności tego rodzaju wydawnictw pomocniczych świadczy nie tylko ich znaczenie prestiżowe, jako pomników dorobku emigracyjnego, ale również i popyt w kołach bibliotecznych na całym świecie, tak iż gdyby miały należytą postać graficzną sprzedawałyby się rzeczywiście jak „hot-dogs na Broadway'u“. Autorstwo tego wydawnictwa będzie teraz złożone, gdyż materiały pozostawione przez J. Zabielską opracowały i znacznie uzupełniły pp. dr M. Danilewiczowa i H. Choyńska.

Trzecim rodzajem wydawnictwa bibliograficznego opracowanego przez Bibliotekę Polską w Londynie jest powielany Katalog Czasopism Polskich i dotyczących Polski za okres od 1939 r. do 1964 r. będących w posiadaniu i ewidencji tej biblioteki, a obejmujący okragło 900 pozycji rzeczywistych wydawnictw periodycznych - czasopiśmienniczych. Autorkami jego są pp. dr Maria Danilewiczowa i Genowefa Sadowska. Należy on do typu katalogów topograficznych, ilustrujących stan posiadania danej instytucji. Z zasady, stanowią one podstawę do sporządzania dalszej pełnej bibliografii. Według szacunku, może trochę przesadnego, znanego bibliografa Jana Kowalika, ogólna liczba czasopism wydawanych w tym okresie wynosi ok. 2.000. Być może, że w tę liczbę włączono wydawnictwa takie jak jednodniówki lub innego typu druki periodyczne, które inni bibliografowie do czasopism nie zaliczają. W każdym razie 900 pozycji, zawartych w 75-stronicowym katalogu formatu folio, jest niewątpliwie jedynym z najwięk-

szych zbiorów polskich, skupionych w jednym ręku i na jednym miejscu.

Przeróżnaita jest flora tego zielnika polskich periodyków, pokrywająca chyba wszystkie kontynenty osiedlenia Polaków. Niemniej raz po raz natrafia się na pismo, reprezentowane przez jeden czy tylko kilka numerów. Ukazanie się takiego wydawnictwa winno być zachętą do przejrzenia własnych zbiorów prywatnych czytelnika, rozrzuconego po szafach, półkach czy szufladach, jeśli już nie w walizkach, i ewentualne przekazanie Bibliotece brakujących zeszytów. Pełny z nich użytek może być zrobiony tylko przy włączeniu go do zbiorów publicznych. Zresztą znaczenie tego rodzaju wydawnictw podkreśla nie tylko fakt dużego nań popytu, ale i to, że od chwili pojawienia się go, Biblioteka Polska w Londynie otrzymała około 100 nowych pozycji i uzupełnień. Katalog ten byłby niewątpliwie jeszcze bogatszy, gdyby uwzględnił pozycje pism kiedyś gromadzonych a później z braku miejsca na przechowywanie — przekazanych Bibliotece czasopism British Museum, która potem kontynuowała ich zbieranie. Dotyczy to m.in. polskich czasopism wychodzących w Ameryce, które jako zapoczątkowane przed wojną nie stanowią ściśle biorąc dorobku okresu emigracji powojennej.

PO ANGIELSKU: Ekspansja naukowa i wydawnicza Polaków wzrasta nieustannie. Raz po raz pojawiają się książki naukowe Polaków w językach obcych, a zwłaszcza angielskim. Autorami są przeważnie ludzie chodzący w pojedynkę, znajdujący się co najwyżej na peryferiach polskiego życia zorganizowanego.

Pierwszym przykładem może być prof. Ferdynand Zweig, który przed wojną wykładał na Uniwersytecie Jagiellońskim, a obecnie na uniwersytecie w Tel-Awiv. Dwunasta jego książka po angielsku ma tytuł „The quest of fellowship“ (W poszukiwaniu koleżeństwa) i stanowi rodzaj pamiętnika wędrownego badacza, szczególnie czułego na zagadnienie samotności. Nie zapomina o tych samotnikach publicystyka polska, a nawet darzy szczególną sympatią, i mogłaby dawać temu mocniejszy wyraz, gdyby wzajemną była pamięć autorów i ich wydawców o poważniejszych pismach polskich, przez nadsyłanie egzemplarzy recenzyjnych.

Drugim przykładem „kota chodzącego własnymi drogami“ jest Władysław Ślucik, wykładowca obecnie na uniwersytecie w Leicester, który od techniki przeszedł do psychologii, cybernetyki a ostatnio do etologii, czyli do badań nad zależnościami między działaniem i otoczeniem u zwierząt, a potem

(Dokończenie na str. 39)

KILKA dni temu wpadła do mnie moja sliczna i młoda przyjaciółka Krystyna, słuchaczka szkoły zdobniczej gdzieś na Chelsea, dziewczyna doprawdy nieprzeciętnej urody, zgrabna i inteligentna.

— Żle się z nami dzieje, kochana — powiedziała i wyciągnęła swe długie nogi na kanapie, odsłaniając je niemal po uda.

— Dlaczego? Co się stało? — spytałam, przygotowując się moralnie na jakieś wielkie dramaty rodzinne, gdyż kulturalny, intelektualny i czuły na związki rodzinne dom Krystyny jest zazwyczaj sceną jakichś niezwykłych powikłań rodowych, nagłych przyjazdów z Polski, odjazdów do morza, chorób, a-taków nostalgii za lepszym życiem, oraz znakomitych pomysłów, które przeważnie nie nadają się do opatentowania.

— Żle się dzieje z nami, z kobietami. Ze mną, z tobą, z ciocią Hanką, która ma jeszcze ładniejsze nogi niż ja, a miała tylko jednego męża, z moimi koleżankami, z Polkami, Angielkami, Szkotkami, no z kobietami w ogóle.

— Dlaczego? — spytałam ponownie, nalewając jej herbaty.

— Nie podobamy się. Mężczyznom. Żadna. W ogóle. Nigdy.

— Krystyna — zawołałam — obciążnij sukienkę, usiądź jak człowiek i napij się herbaty. Potem opowiesz.

— O właśnie — jak człowiek, kobie-

PAULA POWISLENSKA

B.D.I.C.

VIVAT A M P

ta-człowiek. Opuść sukienkę... mówisz zupełnie jak moja babcia z Polski. Przecież mam dobre nogi, no nie?

— Masz, owszem, ale pokazujesz za dużo. Babcia ma rację. Masz tu herbatę. Dobrze. A teraz mów.

— Przyniosłam ci książkę — powiedziała Krystyna. — Ta książka składa się ze zdjęć samych tak zwanych „femes fatales“, czyli najwspanialszych wampów, jakie chodziły po tej ziemi od początku wieku dwudziestego aż do dziś. Są w niej fotografie takich kobiet, które wiesz — tylko mrugnęły jedną nasmarowaną palonym korkiem rzęsą i już, cyk — facet popełniał samobójstwo, albo prowadził ją do ołtarza, zapisując jej najpierw swe miliony i rodowe zamki. Spójrz na te kobiety, no tylko spójrz uważnie — wyciągnęła ku mnie dramatycznym gestem sporą książkę. — Obejrzyj sobie i powiedz: co w nich było takiego, w tych straszliwych koczko-danach, w tych groteskowych kuchtach na krótkich nóżkach, że właśnie zaraz — miliony, miłość, najwspanialszi mężczyźni, a dziś...

— Spokojnie, spokojnie — odparłam i zaczęłam oglądać książkę.

Okladkę „Vivat Vamp“, czyli książki, której tytuł ujawnia od razu jej treść — zdobi postać tłustej białogłowy, omotanę w perły i zwiewne szale, o udach jak balerony i takichże łydkach, które w dodatku są okolone bransoletkami w kształcie węża. Wewnątrz książki znajduje się więcej jeszcze zdjęć tej urodzieliwej z tym jednak, że na dalszych fotografiach wyraźnie zezuje. Nazwisko tego wampa w zaraniu chyba naszego wieku dwudziestego brzmiało, jak mówią podpisy: Theda Bara. Z najodleglejszych nawet wspomnień dzieciństwa nie przypominam sobie tej aktorki niemego filmu. Uwaga, starsi panowie, który z was pamięta Thedę Bara i na czym polegał jej nieodparty czar?

Książka „Vivat Vamp“ jest zabawna: na jednej stronie fotografia wampirzycy, na drugiej zręczny rysunek-symbol Paula Flory, który w kilku pociągnięciach

piórkiem pokazuje nam aspiracje mężczyzny do kobiety-wampa. Bardzo dobre. Oglądam dalej.

A więc na pierwszej stronie — wielkość niemego filmu Asta Nielsen. Ma — o dziwo — figurę prawie, że „dziesięjszą“ i „uszlaby w tłumie“ nawet na Ascot. Ale obejrzymy następną.

Oto panna Henrietta de la Motte. Osoba ta upozorowana jest na Erosa z Piccadilly Circus, z tym, że nogi ma krótsze i bardzo nieładne. W miejscach drażliwych — olbrzymie liście koniczyzny, zapewne z papier maché. Sto! wdzięcznie, raz przy staromodnym rowerze, raz upozorowana jako Psyche. Dobrze, że właśnie jako Psyche, bo cielesność rzeczywiście, aż przykro patrzeć. Panna de la Motte wygląda mi na „femme fatale“ roku 1900-nego. Biedni nasi dziadkowie, którzy byli młodzi w dobie fin-de-siècle'u!

Kto dalej? Nasza Pola Negri w sznurach korali na — czyżbyśmy to dostrzegli dopiero teraz? — przysadzistej szyi, jakaś Valeska Surrat (czyżby od uroczej pani Walewskiej?) wyglądająca jak zmokła kura, szczególnie, że zdoła ją strassy i pióra bażancie, potem Brigida Helm, podobna raczej do żeńskiego Frankensteina niż do niebezpiecznej kobiety, zażywna Lily Brayton, o której jako żywo nikt ze średnio młodych nigdy nie słyszał, i znowu ten największy widocznie wamp między wampami, królowa wampów — Theda Bara — to zezująca nad kościotrupem, to wyrwijająca sobie włosy z głowy gestem niesłychanie uwodzicielskim, to znów pokazująca dyskretnie nieco obwisły biust. Są także jakieś Lenory Ulrych w nocnych koszulach, Barbary La Marr, czy Lydie Borelli — wszystkie dziwnie dziś nieciekawe, niezgrabne i niewydarzone.

Im dalej jednak przerzucam książkę, tym bliżej jej końca — nogi na fotografiach wydłużają się, sylwetki chudną, twarze stają się naturalniejsze w wyrazie, oczy mniej podciemnione i inteligentniejsze. Na ostatnich stronach oglądam z prawdziwą przyjemnością przepiękne zdjęcia Sophie Loren, Anity Ekberg, Brigitte Bardot i Marylin Monroe. Końcowym zdjęciem w „Vivat Vamp“ jest fotografia Zsa-Zsy Gabor, która spogląda filuternie ku czytelnikowi zza koronkowego wachlarza.

Oddałam książkę Krystynie.

— Obejrzałam. A teraz powiedz skąd te wnioski, że my się już nie podobamy? Czy na podstawie tych wampów? Dlaczego?

— Oczywiście — odparła Krystyna. — Widziałas te pierwsze, te, dla których wymyślono słowo „vamp“ jako symbol nieodpartej kobiecości? Tłumoki, zwyczajne tłuki. A miały świat, czyli mężczyzn u swoich stóp. No, bo chyba przynasz sama, że dla praw-

*) „Vivat Vamp“ — Dobson Book, Ltd., 1965. 15s.

ŻYCIE KULTURALNE POLSKIEGO LONDYNU

(Dokończenie ze str. 38)

u ludzi. Nowa jego książka ma tytuł „Imprinting and Early Learning“ („Wpójenie“ i wczesne uczenie się) i dotyczy m.in. rozpoznawania przez ptaki innych skrzydlatych osobników. Jak poprzednie jego prace i ta łączy dokładność z przejrzystością.

O autorach takich, jak Jerzy Krzywicki, W. J. Stankiewicz, M. K. Dzierżanowski, Z. A. Jordan itd. była mowa na tych łamach w swoim czasie. Obok ich prac jako autorów emigracyjnych, coraz częściej pojawiają się ważne dzieła uczonych z Kraju, którzy doczekali się ich ukazania się w językach obcych. Do nich należy w pierwszym rzędzie prof. Tadeusz Kotarbiński, który w przyszłym roku obchodzić będzie 80-ą rocznicę urodzin. Ostatnio ukazały się dwie jego książki, jedna we Francji, druga w Anglii. Ale to już nie należy do tej rubryki i warto będzie o tym napisać osobno.

J. Ostr.

dziwej kobiety „świat“ to właściwie tylko — mężczyzna?

— No, może i przyznam — odpowiedziałam po chwili wahania. — Ale dlaczego nie mówisz o tych dalszych zdjęciach, o naszych współczesnych siostrach — tych wszystkich ślicznych Lollobrigidach, Martinellich i Kim Novakach?

— Czy kiedykolwiek ktoś się dla nich strzelał? Czy ktoś dla nich zbankrutował? Nic o tym nie słychać, więc pewnie nikt tego nie zrobił. Zresztą — westchnęła Krystyna — ja jestem podobną trochę do Cyd Charisse — i co z tego? Nawet nie mam żadnego chłopca na stałe, a jak przyjdzie do jakiejś „party“ czy potańcówki, to wiesz jak jest w dziewięćdziesięciu wypadkach na sto? Oni sobie, a my sobie — oni pod jedną ścianą a my pod drugą. A jak tańczymy, to — no — niemal jak rodzeństwo. Gdzie te przytulania się w tangu, te przegiby, te spojrzenia, westchnienia, te namowy na spacer przy księżycu? Nie ma. Minęło. Nie podobamy się.

— To się nazywa równouprawnienie — roześmiałam się. — Sameśmy tego chciały to i teraz mamy.

— Kto chciał — krzyknęła Krystyna. — Nie ja! Ja bym chciała tak właśnie...

Zerwała się z kanapy i ruchem Thedy Bara uniosła w górę ręce, przechyliła głowę łabędzim ruchem na szyję i skrzywiła usta w grymasie dzikiej namiętności, który by na pewno zachwyił niejednego reżysera niemych filmów.

— Pan mnie prześladuje — wyszeptala przymykając oczy — pan się narzuca, pan nie ma ambicji... precz! Po czym smutnie usiadła na kanapie.

Wzięłam znów do ręki „Vivat Vampa“, który tyle krwi napsuł biednej Krystynie.

— Coś ci powiem Krysiu — rzekłam surowo. — Powiem ci coś, o czym twoja babcia z Polski doskonale wie. To nasza wina — nas, dzisiajszych kobiet, że się nie podobamy — nasza i niczyja więcej. Popatrz na to zdjęcie na przykład.

Podsunęłam jej książkę przed oczy na stronie, gdzie — ubrana w gronostaje i zakryta nimi od stóp do głów słynna niegdyś Lilian Harvey pokazuje dyskretnie kawałek nogi, na której, wzruszająco — wymalowane jest serduszek.

— W tym jest sedno sprawy, Krystynko. Pokazujemy za wiele. Jesteśmy ładniejsze, zgrabniejsze od naszych babek i matek, to na pewno. Ale widzisz, one nie były kobietami na codzień. One mogły mieć — jak brzydko mówisz — figury tłuików i koczokodanów, ale jak wreszcie pokazały kawałek nogi, to ta

noga była jednak rewelacją. A dziś? Trudno wymagać abyśmy chodziły w sukniach do ziemi, by ukryć nasze mniej lub więcej wdzięczne wdzięki, ale z drugiej strony sama przyznasz, że prawdziwa kobieta, dla której „świat“ to mężczyzna — wygląda najładniej i najponętniej w długiej balowej toalecie, pod którą „świat“ czyli mężczyzna marzy w niecierpliwości swej wyobraźni o naszej zamaskowanej pod suknią piękności. Mężczyzna lubi marzyć i w marzenia ubiera — jak Don Kiszot — nie rzeczywistość, ale swe własne o niej wyobrażenie. Dlatego nasi dziadkowie w dobie „la belle époque“ jeśli ziszczali swe sny i marzenia nawet w

przykrótkich nogach współczesnej im „femme fatale“ to i tak byli wniebowzięci, bo te lepsze, lub gorsze nogi, kibiście i ramiona to były obiekty bardzo cenne, chronione i właśnie nie na codzień.

Krystyna spojrzała na mnie z politowaniem.

— Wyjdź ze mną na miasto — powiedziała. — Szkoda gadać, nic nie rozumiesz. Muszę kupić sobie nowe bikini na wyprzedzący. Wyjeżdżamy całą klasą — my cztery, Stan, Mike, Henry i Jonathan do Southendu na week-end. Trzeba mieć coś przyzwoitego do ubrania się.

Paula Powiśleńska

„LA POLONIA“

Rzym, w sierpniu.

Niedawno wyszła z druku nakładem domu wydawniczego Studium w Rzymie bardzo cenna książka o Polsce, której autorem jest dziennikarz włoski Stefano De Andreis. Tytuł jego pracy brzmi „La Polonia“.

W obecnym okresie nieustającego tzw. dialogu między Wschodem a Zachodem również i włoski rynek zachwyszczony pewnym typem literatury, przedstawiającej fakty o naszym kraju w takim świetle, aby to dogadzało „intelektualistom“ uczestniczącym w tym dialogu. Do tego dochodzi oczywiście i bibuła obficie i planowo rozpowszechniana przez placówki reżymowe. Dlatego słowa rzetelnej, obiektywnej prawdy o sprawach polskich, podane rzeczowo i beznamytnie przez włoskiego autora przysłyły rzeczywiście bardzo na czasie.

Stefano De Andreis dobrze zgłębił zagadnienia polskie sięgnawszy do miarodajnych, bogatych źródeł na ten temat, o czym świadczy obszerny spis bibliograficzny materiałów, z których korzystał, cytaty i przypisy. Zresztą był on w Polsce i mógł na miejscu skonfrontować wyrobiony pogląd z rzeczywistością.

Ta rzeczywistość przebija się jako nić przewodnia przez wszystkie stronic książki, a wyraża ją przepaść, jaka dzieli reżym od narodu. Wydać się mogło w pewnych momentach, że dystans między partyjnymi rządcami a społeczeństwem zmniejszył się, ale ponure fakty, które nastąpiły np. po rzekomo obiecującym październiku, potwierdziły tylko tę niezbitą prawdę, że w Polsce istnieją obok siebie dwa czynniki nie do pogodzenia między sobą, tj. narzucony reżym komunistyczny i gospodarz kraju — naród.

Autor objął swymi rozważaniami u-

biegle 25-lecie, rozpoczynając od przedstawienia sytuacji w kraju jeszcze przed wybuchem drugiej wojny światowej i od roli w owych czasach komunistów.

Jakże słuszne było tu przypomnienie, że KPP, która była partią nielegalną w przedwojennej Polsce i politycznie była prawie bez znaczenia, została w latach 1937-38 wyrokami Kominternu na rozkaz Stalina niemal doszczętnie wytrzebiona. Spośród przywódców partyjnych, którzy w obawie uwięzienia w Polsce zbiegli do Sowietów albo byli tam wezwani, zginęli prawie wszyscy. Od Jeżowszczyzny ocalały tylko trzeciordne figury. Zresztą decyzją tegoż Kominternu z r. 1938 KPP została rozwiązana.

Po wybuchu wojny istniała w Polsce tylko nieliczna grupka komunistów, mało wtedy znanych, jak np. Gomułka czy Spychalski. Zdradziecki cios w plecy zadany Polsce przez Sowiety, a następnie obrabowanie jej z ziem wschodnich, musiały z natury rzeczy jeszcze bardziej pogłębić nienawiść społeczeństwa do rodzimych komunistów. Toteż — jak trafnie podkreśla autor książki — ich próby włączenia się do walki z najeźdźcami hitlerowskimi we współdziałaniu z AK nie natrafiły na podatny grunt, ale za to były potępione przez Moskwę, dla której partia już nie istniała, a nadto, w pierwszym roku wojny, oznaczało to walkę z sojusznikiem Kremla.

Dopiero po zaatakowaniu Sowietów przez Hitlera Stalin znowu uznał potrzebę istnienia partii komunistycznej w Polsce. Paru niedobitków po poprzedniej czystce przetrzucono do kraju, i w roku 1942 powstała tam PPR, tak nazwana, aby ukryć wstydliwie jej właściwy charakter. W rok później z resztek ocalałych z KPP, przy udziale Wandy

Wasilewskiej i innych tego pokroju postaci Kreml zorganizował tzw. Związek Patriotów Polskich, który potem, pod inną już nazwą, rozpanoszył się w kraju po przybyciu w ślad za armią czerwoną.

Między komunistami krajowymi a nalsłańcami z Sowietów powstały od pierwszej chwili tarcia, które trwają po dziś dzień, chociaż towarzystwo to przemieszało się i rozdzieliło w dalszych etapach na zwolenników tzw. polskiej drogi do socjalizmu i natolińczyków, czyli stalinowców. W każdym razie PPR i późniejszy PZPR musiały posłusznie wykonywać rozkazy z Moskwy, czyli uprawiać politykę wroga interesom narodowym.

Tak więc, gdy wojna znowu przeniosła się na terytorium Polski, „partyzanci“ działający na naszych ziemiach wschodnich mieli za naczelne zadanie współdziałanie z armią czerwoną w tępieniu polskich podziemnych sił zbrojnych, a później i w likwidacji całej organizacji politycznej podziemia. Nic zatem dziwnego — zauważa autor — że po doznanej klęsce po powstaniu i u schyłku wojny w powstałą próżnię wdarli się komuniści, którzy w oparciu o bagnety sowieckie zagarnęli władzę.

De Andreis nie szczędzi w swej książce przykładów antynarodowej postawy komunistów. Stanowisko ich wobec potwornej zbrodni Katynia, popełnionej rękami ich chlebobawców, albo wobec podstępного porwania 16-u czołowych przywódców politycznych, to tylko początek niekończącej się serii aktów zdrady interesów narodowych. Następne etapy, takie jak prześladowanie AKowców, bezczelne sfalszowanie wyborów, bezwzględna i nieprzerwana walka z Kościołem, stalinowskie metody stosowane przez Bezpiekę i inne są szczegółowo udokumentowane w książce, a niektórym z nich autor poświęca osobne rozdziały.

Na takiej to drodze zatriumfował stalinizm w Polsce, ale też wrogość między reżymem a narodem doszła do szczytu — i nastąpiły wypadki w Poznaniu, kiedy to demonstranci zażądali nie tylko wolności i poprawy warunków bytowania, ale i sprawiedliwości za Katyń. Przyszedł po tym październik. Wydarzenia te są szczególnie sumiennie potraktowane w pracy De Andreisa. Omawia on z kolei proces destalinizacji i poświęca osobny rozdział niedotrzymanym obietnicom.

W końcowej części autor dał obraz dzisiejszego stanu rzeczy w Polsce, powracając do swej tezy o istnieniu głębokiego przedziału między komunistycznymi władzami a społeczeństwem. Zdaniem jego, złagodzony nieco po październiku 1965 roku, pogłębił się tak dalece, że wytworzył się w kraju stan dramatycznego napięcia, w którym na-

ród polski, oszukany i doprowadzony do granic cierpliwości, może każdej chwili znowu zażądać od swych ciemiężców rozrachunku.

Czytelnik włoski, wolny, tzn. nie przymuszony do recytowania podsuniętej chytrze przez komunistów roli w tzw. dialogu, znajdzie w pracy De Andreisa bogactwo materiału źródłowego, odtwarzającego wiernie rzeczywistość w naszym kraju. Książka ta stanowi w istocie kolosalny przyczynek do przyzwyczajenia kłamstw rozsiewanych z premedytacją na temat tzw. polskiej drogi do socjalizmu.

Jan Gniazdowski

DZIEŃ UCHODŹCY W AMSTERDAMIE

W dniu 11 września br. odbył się w hotelu Krasnapolsky w Amsterdamie zjazd uchodźców zza żelaznej kurtyny, zorganizowany przez F. O. V. I. N. czyli Federację Organizacji Uchodźczych w Holandii, w skład której wchodzi m.in. organizacje uchodźcze Estończyków, Łotyszów, Czechów, Węgrów, Ukraińców, Rosjan, a ze strony polskiej Polskie Towarzystwo Katolickie w Holandii, Zjednoczenie Katolicko-Polskich Towarzystw w Limburgii (stara emigracja) oraz Stowarzyszenie Polskich Kombatantów.

Podkreślić należy, że grupa polska walcie przyczyniła się do urzadzenia tego ciekawego i pod wieloma względami bardzo udanego zjazdu, gdyż organizacja spoczywała w rękach prezesa Koła SPK w Amsterdamie N. Urbańskiego i skarbnika SPK w Holandii B. Opolskiego, świetny referat ze strony uchodźców wygłoszony został przez polskiego socjologa dr M. Albińskiego, a konferansjerkę części artystycznej — w której występowały aż trzy polskie zespoły — prowadził wiceprezes SPK H. Rečko.

Wpiewer jednak kilka słów o Federacji uchodźców. Uchodźców w Holandii jest stosunkowo bardzo mało: zaledwie coś ponad 12 tysięcy, przy czym większość to Węgrzy i Polacy. Ale może właśnie dlatego doszło pomiędzy tymi różnorodnymi narodowościowo grupami do współpracy i do utworzenia Federacji uchodźców, o których w innych krajach jakoś nie słyhać. Faktem jest, że i holenderskie władze i organizacje opiekuńcze w dużym stopniu przyczyniły się do powstania tej Federacji i tego wschodnio-europejskiego zbliżenia i współpracy.

Federacja Organizacji Uchodźczych w Holandii powstała w roku 1960 i celem jej jest niesienie pomocy uchodźcom i ich organizacjom, m.in. przez

koordynowanie i popieranie działalności kulturalno oświatowej organizacji uchodźczych w Holandii, a ponadto popularyzowanie kultury krajów pochodzenia wśród społeczeństwa holenderskiego.

I właśnie pod tym znakiem upłynął ten „Dzień Uchodźcy“, na który przybyło do Amsterdamu kilkuset uchodźców z całej Holandii oraz liczni goście holenderscy. Otwarcia zjazdu w hotelu „Krasnapolsky“ dokonał prezes FOVIN-u, Holender mgr. Th. J. A. M. van Lier. Po nim głos zabrał dr M. Albiński, który wygłosił interesujący referat poparty 17-ma tezami na temat: „W jaki sposób mogą uchodźcy zachować swą narodową kulturę i jak odnoszą się do tego zagadnienia ich dzieci“. Referat Holendra, dr G. Hendriksa z ministerstwa Kultury, Wczasów i Opieki Społecznej, miał pokrewną tematykę: „Uchodźcy wśród holenderskiego społeczeństwa“.

Wieczorem natomiast w tej samej sali odbyła się wielka i bardzo udana kulturalna manifestacja, otwarta występem polskiego młodzieżowego chóru „Wesoły Tułacz“ z Heerlerheide pod kierownictwem panny I. Stachowskiej. Poza grupami amatorskimi występowały solistki: sopran Miamu Mardi-Bang (piosenki estońskie), mezzosopran Ileana Melita (piosenki rosyjskie), sopran Miluska Dufkova (czeskie piosenki), sopran Ludmila Sepe-Ese (piosenkę łotewską) oraz baryton Ferenc Borszeki (pieśni węgierskie). Ponadto występowały — poza zespołem ukraińskim „Rusaika“ i węgierskim „Hungaria Club“ — dwa polskie amatorskie zespoły taneczne: „Cracovia“ z Eindhoven (kier. J. Zadora) i „Polonia“ z Bredy pod kierownictwem p. O. Radke. Występowała także orkiestra rosyjska „Kazbek“ i pieśniarka Miła Arschanskaja. „Dzień Uchodźcy“ zakończony został ballem.

„NASZE ŻYCIE W LANCASHIRE“

Ukazał się nowy numer wydawnictwa poświęconego życiu Polaków w Lancashire.

Bogata treść orientuje o przejawach życia społecznego, kulturalnego i gospodarczego.

40 stron w ozdobnej okładce. Cena 2/6

Do nabycia w księgarniach polskich i u wydawcy:

TADEUSZ PODGÓRSKI,
19 Park View Road,
BRADFORD 9.

...Ten ładunek woli, napięcia, wyobraźni niesie, jak się już rzekło, dzieło sztuki przez lata, niekiedy przez setki lat. Powtórzmy: nie są to na pewno tylko walory tzw. estetyczne czy artystyczne. Nie, dzieło sztuki zależne jest, jeżeli chodzi o jego los, o jego przetrwanie, od siły duchowej, którą w nim zdołał zamknąć artysta. Sztuka jest zjawiskiem duchowym na wskrós: chociaż musi wyrastać jak najbardziej z gleby zmysłów, z warsztatu dotykającego, z materiału „materialnego“.

... Grecy wiedzieli, że jest piękno tak skrajne, tak przejmujące, że aż przeraża: i na pewno w poszukiwaniach piękna natykamy się i na ten objaw (niektóre panoramy górskie mają w sobie ten właśnie odcień piękna). Ale na ogół piękno, to raczej radość i spokój, czy nastanie spokoju, jak w momencie dotarcia do mety. Słusznie niektórzy badacze zagadnień estetycznych podkreślali wartość odprężenia i spoczynku, *relaxation* w rzeźbie greckiej. Góruje ona nad przejaskrawieniami ruchu, wysiłku czy męki, które to elementy pojawiają się w późniejszych utworach tej rzeźby (grupa Laokoona).

... Ten spokój, którym technicznie najlepsza rzeźba i najlepsza architektura starożytności nie jest chyba dziełem przypadku. Musi być wykwitem pewnego stanu umysłu, który znajduje się w zgodzie z okalającym go światem i bodaj w zgodzie z samym sobą. Ten spokój wykwita z wejścia w tok harmonii, odkrycia praw ładu. To czego brak tak tragicznie w naszej epoce, to właśnie uchwycenie momentu spokoju, człowieka w chwili odprężenia. Nasza epoka jest epoką wysiłku, przesadnego ruchu, pośpiechu, dynamiki, która rozsada ciało i rysy twarzy. To co wyraża sztuka dzisiejsza, niespokojna, wężąca, neurasteniczna — to przede wszystkim niepokój, który nas trawi, niezdolność do odpoczynku i całkowitego odprężenia.

... Piękno? To chyba ten element w sztuce — czy w przyrodzie — który wprowadza nas w stan spo-

koju, nasycenia, poczucia jakiegoś kresu, linii ostatecznej, stacji końcowej. To stan, w którym uspokaja się nasz ferment i szukanie i mówimy: oto jest to, czego szukaliśmy. Piękno musi w nas uderzyć czymś finalnym, porazić tą ostateczną koniecznością, abyśmy rozpoznali jego piętno. Nawet jeżeli odkryjemy w nim element czy wkład tej straszliwości, o której wie dobrze renesans włoski używając słowa *terribilità*, to jednak dominować będzie wrażenie spokoju, tajemniczego centrum spokoju, które zachowuje się na Oceanie, nawet w czasie najgorszej burzy. Ta *terribilità* sasiaduje z poczuciem osiągnięcia pewnego kresu. Czujemy, że artysta wysilił się ostatecznie i że dotknął ostatniej ściany, którą człowiekowi danym jest dotknąć.

... To piękno ma w sobie cechy finalności: konieczności i logiki, jak każde chyba dzieło sztuki. Stojąc wobec niego doznajemy wrażenia, że tak, a nie inaczej musiało być ono stworzone. A jednak, czy takie wrażenie jest całkowicie sprawiedliwe i usprawiedliwione? Czy to nie dzieło sztuki narzuca nam swoją własną logikę i „ostateczność“, swoją własną niejako sprawiedliwość? Czy nie mogło ono być inaczej skonstruowane? Przypuszczalnie, tak — ale potęga, racja bytu dzieła polega na tym także, że nie było innego wyboru. Podobne uczucie budzi w nas tylko wielka miłość, wielka namiętność.

... Sądę, że piękno dlatego ma w sobie tę siłę rozbijającą, ponieważ wyłoniło się ze sztuki religijnej, z dna samej religii. Że nie tylko ta sztuka religijna była czymś, na czym uczyły się piękna liczne pokolenia, ale że atrybuty piękna były poniekąd monopolem bóstwa. W sztuce greckiej ten moment piękna, jako rzeczy pochodzenia boskiego na pewno mocno zaważył.

Bóstwo łączyło w sobie — jak przyroda, jak zjawiska żywiołowe, jak burza — piękno z grozą. *Terribilità* była przywilejem bóstwa. Stąd może przeszła do naszych pojęć o pięknie, symbioza — krótka, ale wspaniała — piękna i grozy. Piękna i przerażenia.

... Spór, który wielu z nas wie dzie ze sztuką nowoczesną streszcza się w tym: artyści dzisiejsi, zwłaszcza plastycy, ale także i kompozytorzy, powiadają nam, laikom: nie rozumiecie naszej sztuki, bo nie chcecie się nad nią zastanowić. Tkwiecie w starych kanonach, tak zwanego piękna, harmonii i tym podobnych przesądach. Poświęćcie więcej czasu naszej sztuce, zastanówcie się nad naszymi dziełami, poszukajcie do nich klucza. Trzeba się tylko oswoić z nową estetyką.

Na pewno każde poważne dzieło sztuki wymaga wysiłku myśli i wyobraźni, aby je ogarnąć. Ale nie sądzę, aby było ono szaradą. Nie przypuszczam, ażeby trzeba się było głowić nad nim godzinami, aby dojść do sedna wysiłku artysty i do sensu jego pracy. Wtedy bowiem czysto mózgowy wysiłek odbiorcy niszczy w nim w jakiś tajemniczy sposób zdolność radowania się dziełem sztuki — a dzieło sztuki, jak miłość — jest po to, aby być radością w najwyższym tego słowa znaczeniu.

Sztuka nowoczesna — muzyka i plastyka głównie — żąda od nas olbrzymiego wysiłku wyobraźni i mózgu. Ale czy po dokonaniu tego wysiłku to co znajdujemy u kresu warte było tego całego zachodu i trudu? Tutaj zaczynają się wątpliwości. Bo przede wszystkim nie jeden artysta zdaje się sugerować w swoich pracach bezsens życia i sztuki (a zatem największy wysiłek odbiorcy nie wiele tu pomoże, ani zmieni). A następnie: odkrycia odbiorcy po przełamaniu zapory niezrozumiałości (często z pomocą samego artysty) okazują się dosyć skąpe i mizerne. Czy warto było zatem dokonywać tej próby? Czy życie nasze nie jest po prostu zbyt krótkie, ażeby rozwiązywać zagadki i łamigłówki w sztuce, która po ich rozwiązaniu mówi nam często figlarne *akuku* lub parska nam śmiechem w twarz? Otóż to właśnie: czy warto?

... Dzieło sztuki powinno tłumaczyć samo przez się, mieć przemożną siłę, która zmusza nas do jego zrozumienia, przyjęcia i wchłonięcia — chociaż oczywiście każdy odbiorca rozumie w pewnej mierze dzieło sztuki inaczej, po swojemu, na swoją modłę i to pomnaża wie-

lostronności działania tego dzieła, pomnóża jego walory. Wątpię jednak, czy rzetelne dzieło sztuki wymagało aż przewodnika czy klucza, ażeby je pojąć. Oczywiście, taki klucz znaczeniowy jest konieczny dla zrozumienia sztuki dla nas egzotycznej; sztuki innych ras. Dopiero przez przyjęcie pewnych kanonów religijnych czy obyczajowych, przez zapoznanie się z podstawami kultury tej czy innej rasy oceniamy w pełni sens tej sztuki. I tak np. taniec hinduski wykaże dopiero w pełni swoje piękno, jeżeli rozumie my sens religijnego rytuału Indii. Sztuka naszej rasy nie sprawia nam wielkich trudności w rozumieniu, ale na pewno sztuka rasy czarnej, czy żółtej wymaga już klucza. Można zatem mówić o rozdziale rasowym w sztuce.

... Szukanie klucza do sztuki naszej rasy jest dzisiaj niesłychanie mozolne, a nagroda jaka nas czeka za te poszukiwania jest zbyt często licha. W muzyce te poszukiwania sensu i składu nie dają często wyniku nic nie pomaga tłumaczenie, że trzeba tylko cierpliwości i oswojenia się. Są kompozytorzy, jak Berg czy Bartok, którzy wymagają pewnego okresu aklimatyzacji w naszych uszach: żyjemy się z nimi dopiero po dłuższym czasie; ale są kompozytorzy, z którymi nigdy już nie potrafimy się żyć, albowiem rażą swoim atonalnym hałasem, który wydaje się nam zaprzeczeniem samego rdzenia muzyki. Muzyka bowiem wyrasta z pierwotnej potrzeby człowieka, a istnieje teoria, że człowiek pierwotny inaczej śpiewał aniżeli mówił. W chwilach radości chcemy śpiewać, a melodia jest spontaniczną potrzebą tego śpiewu. Muzyka, jako najwyższa ze sztuk powinna karmić nas harmonią. Dlatego w niej właśnie razi najbardziej wszystko, co jest okrucieństwem wobec samego czystego dźwięku, co jest sadyzmem wobec każdego układu harmonicznego, co jest rozmyślnym wypaczaniem linii melodycznej. Oswoiliśmy się już z wielu rzeczami i nikt nie może dzisiaj żądać, ażeby Benjamin Britten, pisał jak Schumann czy Ravel. Ale wiele rzeczy Strawińskiego — tego eklektyka à outrance — (Picasso jest także eklektykiem, zna wszystkie style i potrafi w nich pracować,

ale wydaje się eklektykiem twórczym, Strawiński zaś chłodnym eksperymentatorem) — to utwory jakby martwe. Są to dzieła z retorty, twory sztucznego zapłodnienia, of **artificial insemination**, w sferze sztuki, dzieci próbówki.

... Wydaje się, że wszelka sztuka, czy próg zrozumiałości, komunikatywności, harmonii i ładu grzbie sama siebie. Nie wzruszają mnie dlatego wymyślne rzeczy „taszystów“ i tzw. „action painters“, chociaż niektóre nadawałyby się doskonale na dekoracje ścienne. Ale, czy z takimi dziełami można żyć? Wątpię! Ci plastycy, którzy chcieliby nas zaskoczyć dziwactwem form, albo braniem żywcem natury takich elementów, jak pnienie, jak gałęzie albo też uciekają się do „lepiania“ obrazów ze starego żelazniwa, kawałków opon czy innych materiałów — starają się tylko „epatować burżujów“. Chcą zwrócić na siebie uwagę, ale w rzeczywistości odpędzają nas od sztuki. Zbyt wielu bowiem w szeregach tej awangardy jest czelnych spryciarzy, arogantów, którzy zrozumieli jak łatwo jest nabierać publikę na snobizm, jak łatwo lansować wszelką tandetę, jak łatwo ogłupiać publikę. Robiono to już po pierwszej wojnie chociaż nie na tak wielką skalę: w latach 20-tych roiło się w Niemczech od tego rodzaju pseudo-sztuki. Wiele z tych dzieł budzi dzisiaj śmiech, a głupi Michel niemiecki idealnie nadawał się do nabierania go przez „artystycznych“ spryciarzy. Ale potem przychodzi moment, kiedy nabierany klient budzi się i widzi, że padł ofiarą okrutnego żartu. Zemsta rozczarowanego odbiorcy jest groźna.

... Picasso jest na tyle mądry, że nawet włączając takie czy inne elementy w swoje rzeźby (np. rurę gazową) zachowuje układ dzieła sztuki, daje wkład formującej wyobraźni. Gdy jednak, jako twór sztuki przemycy się zespół przedmiotów — dowolny zlepek żelazniwa, kory drzewnej, gumy, odpadków — to trudno wymagać aby odbiorca brał to na serio i ażeby żywił szacunek dla tzw. artystów. Odbiorca bowiem trwa dalej przy zasadzie, że sztuka jest świadomym wysiłkiem i two-

rem człowieka, a nie kaprysem materiału czy przedmiotów, że człowiek tworzy, a nie organizuje materiał — że sztuka nie jest składanką, ale koncepcją, wizją całości. Podobnie muzyka nie może być li tylko zbiorowiskiem dźwięków wydawanych przez przedmioty czy narzędzia — **musique concrète** — przez rozmaite elementy takie, jak syreny fabryczne, jak klaksony, jak piły mechaniczne. Są to poszukiwania w gruncie rzeczy jałowe, chociażby dlatego, że mamy dosyć tych dźwięków na ulicy i nie widzimy potrzeby, ażeby je dosłownie przenosić na kanwę muzyki, już nie naśladować nawet, ale **malpować**. Jeżeli muzyka ma nas karmić malpowaniem tych dźwięków i hałasów to lepiej na pewno jest słuchać rytmu i melodii, kropel wody spadających z kranu naszej wanny. Jest to rytm i melodia w wiele bardziej sprzyjająca naszemu **bien-être** aniżeli kachofonia klaksonów i hamulców. Właśnie dlatego, że człowiek dzisiejszy przesycony jest hałasem, dlatego w sztuce szuka **repose i relaxation**, których ta sztuka mu stale odmawia.

Czy można się dziwić człowiekowi współczesnemu, że od hałasu i zgrzytów — **musique concrète** — ucieka on do kadenzy Bacha?

... Sztuka nie może przekroczyć progu komunikatywności: albowiem naraża się na zarzut, że nie jest przeznaczona dla odbiorcy, dla ludzi, że jest tylko warsztatem samego twórcy. Owszem, może uprawiać dalej swoją **self-expression**, ale nie ma prawa narzucać tych swoich niedokończonych wypieków, tych wizji lokalnych kuchni. Rzadko kiedy kuchnie artyści są ciekawe, a nie każdy jest geniuszem à la Picasso. Odbiorca chce mieć produkt gotowy, a **finished product** i sądzi artystę po takim właśnie końcowym, skończonym już produkcie. Negliz sztuki uprawiany dzisiaj staje się coraz bardziej żenujący.

... Sztuka nie może być organizowaniem fragmentów: musi być tworzeniem od startu do finiszu. Musi być rozjaśniona światłem inteligencji ludzkiej, a nie bełkotem podświadomości. Nie może składać na odbiorcę, nie może obarczać odbiorcy rozsypywaniem zagadek, wteby

bowiem nie zostaje czasu, ani ochoty na cieszenie się dziełem sztuki, cieszenie się samym pięknem. Nie może męczyć naszych oczu i całej naszej wrażliwości — nawet jeśli zapowiada, że w ten sposób kształci ona „nową wrażliwość“. Każde pokolenie może przejąć tylko pewną porcję „nowości“, ale tutaj nie o to chodzi. Chodzi o to, że sztuka nowoczesna pragnie nam narzucić arbitralnie swoje pojęcia i wmówić, że idealnie oszlifowany kamień kształtu romboidalnego znaczy to, a nie coś innego, chociaż nasza wyobraźnia upiera się, że jest to tylko kształt romboidalny, piękny może w sobie, ale bez znaczenia artystycznego, a zatem bez owej finality dzieła sztuki, bez istotnego sensu artystycznego. Odpowiadamy, że takie kształty potrafi utoczyć każda precyzyjna maszyna, bez pretensji do powoływania do życia dzieła sztuki: jest to przyrodzone niejako zadanie tokarki czy obrabiarki. Jeżeli rzeźba nowoczesna chce nam tłumaczyć, że kształty utoczone przez maszyny mogą być piękne, to nie potrzebujemy na to dowodów sztuki — wiemy o tym. Próby sztuki nowoczesnej konkurujące z maszyną wydają się psuciem wspaniałego materiału, jak marmur czy alabaster — albowiem tworzy się rzeczy, które potrafi utoczyć każdy robotnik umiejący użyć swojej maszyny.

... Czy istnieje piękno trwale? Piękno absolutne? Piękno powszechne, uniwersalne? Piękno uznane świadomie, czy podświadomie przez wieki, przez reszcie ludzi na maksymalnej przestrzeni czasu? Czy jest taka rzecz, jak piękno wieczne — a nawet, co więcej, czy każde piękno prawdziwe jest wieczne?

Tu ogarnia nas wątpliwość. Pojawia się często myśl o kruchości dzieł sztuki. Podlegają one korozji czasu, jeżeli chodzi o płótna malarskie — ale nawet i najodporniejszy materiał, a zatem kamień, nie wytrzymuje naporu wieków. Czas wytrawia zarówno kolumnady egipskie, jak i zabytki Grecji i Rzymu, zburzył częściowo Akropol ateński. Nie można zatem w tych rozważaniach pominąć czynnika czasu, któremu opiera się naj-

bardziej eteryczna sztuka, właśnie: muzyka.

Sztuka zwycięża czas, mówimy nieraz — ale na jak długo? Piękno góruje nad życiem — ale jakie i na jak długo?

A potem: zmienność gustów ludzkich. Może znowu najbardziej trwale przemawia sztuka, najbardziej powszechna, a zatem znowu muzyka, która nie jest skrupowana materiałem i miejscem, jak obraz, jak książka — odradza się stale i na nowo, w wieczystej regeneracji. Może właśnie muzyka ma największe szanse penetracji ras, łamania zapór rasowych i narodowych. Ale już sztuki plastyczne są skrupowane rasowo i to nieraz bardzo poważnie.

Wiele dzieł rasy czarnej i żółtej nie trafia do wrażliwości rasy białej i odwrotnie, chociaż na pewno rozumiemy dzisiaj te dzieła ras egzotycznych, o tyle lepiej, aniżeli 50 lat temu — albowiem niejedne z nich naśladowujemy. Staliśmy się eklektykami i dobieramy sobie wzory z całego dzisiaj globu.

... Relatywizm, który przeniknął całą naszą wiedzę i wierzenia i religię odbił się także na pewno i na sztuce. I na pojęciu piękna. Dawne dyskursy na temat „wiecznego piękna“ dzisiaj wydają nam się niekompletne: zbyt uproszczone, niekiedy nawet wprost naiwne. Wiemy dzisiaj o tyle lepiej, jak wahają się i zmieniają ludzkie gusta, jak falują ludzkie upodobania, jak zmienne są kryteria piękna, nawet w ramach jednej rasy, czy jednego narodu. Wiemy dobrze, że często bywa przez nas idealizowane: odnosi się to do „zabiegu“ ze sztuką grecką, a właściwie architekturą, którą traktujemy dzisiaj tak, jakby była ona niezmienna: a przecież za dawnych wieków malowano świątynie na jaskrawe kolory czerwieni i szkarłatu i wprowadzono motywy złote — był to wyraźny nalot Orientu w stosunku do sztuki greckiej. Cudowna biel tych świątyń dzisiaj nie powinna nikogo ludzi.

Ale może piękno ich nie leży w kolorze czy kolorycie? Że chodzi tu o coś innego? Że istotą piękna Partenonu stanowią: umiar, symetaria i harmonia, możnaby powiedzieć ma-

tematyka, która leży u dna tego budownictwa? Może w tych matematycznych zasadach proporcji szukać należy istoty piękna?

... Waham się, czy można mówić o wiecznym pięknie, zdziałanym ręką człowieka. Jest ono relatywnie wieczne — zważywszy krótkie trwanie życia jednostki. Dolina królów w Egipcie, czy kolumny świątyni Diany w Efezie wydadzą się wieczne przy naszym życiu. Ale w istotnym sensie? Czy dzieło rąk człowieka może być wiecznie piękne, skoro jest nietrwałe, skoro wystawione jest na spustoszenie czasu?

... Na pewno dzieło człowieka chce być wieczne — jak on sam. Na pewno artysta wierzy, że przetrwa. Że zatem przetrwa piękno jego dzieła (nawet jeżeli sztuka odchodzi dzisiaj od pojęcia piękna i stara się nieraz jakby wmówić w nas, że istnieje nowe piękno, piękno samej nawet brzydoty, czy odrażających rzeczy. Sztuka nowoczesna odchodzi od tego pojęcia: chce raczej wstrząsać, zaciekawiać, aniżeli dawać wrażenie pewnego uspokojenia, pewnej statyki wewnętrznej, harmonii jedności.

Ale piękno wieczne niezachwiane? Piękno dlatego trwale, że wciąż się odnawiające? To piękno jest przywilejem przyrody — nie jest tworem rąk człowieka. Uznawane jest ono przez największe rzesze ludzkie, świadomie czy podświadomie: piękno wschodu czy zachodu słońca budzi uczucia przejęcia i piękna w milionach ludzi. Gigantyczne wizje przyrody są dalej podziwiane i będą podziwiane, albowiem ich czar, ich piękno polegają na zdolności stałego odnawiania się, nie policzonej mnogości form, na bogactwie barw, światła, na zmienności wprost nieprzejranej. Oto jest piękno wieczne. Piękno takie, to piękno świata morza, gór, wody i skały, zieleni, łamania się światła. Niewierzący powie, że jedynym trwałym, wiecznym artystą jest natura. Wierzący powie, że jedynym wiecznym, niezmożonym i niestrudzonym artystą jest Bóg.

Zbigniew Grabowski



Jacques Estérel
Automne - hiver 55-56

SYLWETKI PARYSKIE

z jesienno-wiosnowego pokazu wielkich domów mody — Cop. Jacques Estérel

NOWA książka Danuty Moskwin pt. „Olivia“ stanowi pewnego rodzaju zaskoczenie dla czytelnika i recenzenta. Po jej ciekawej „Ameryko, Ameryko“ i doskonałych „Asteroidach“ przyzwyczajaliśmy się klasyfikować p. Mostwin, jako autorkę powieści czy opowiadań psychologiczno-obyczajowych na tematy, zaczerpnięte głównie z życia Polonii amerykańskiej. Tym razem jednak mamy do czynienia z powieścią, której akcja toczy się w środowisku niepolskim, a tematyka i ujęcie wkracza właściwie w zakres literatury sensacyjno-popularnej. Tego rodzaju „wypadki“ poważnych autorów w dziedzinie sensacyjnej zdarzają się nieraz, czego doskonałym przykładem są „Dzieje Grzechu“ Żeromskiego; natomiast pisanie o cudzoziemcach nie było nigdy po-

EXPERYMENT DANUTY MOSTWIN

bożeniem i schematyzacją postaci. Technika literacka twórcy powieści sensacyjnej stać może na bardzo wysokim poziomie; nietrwałość jego produktu wynika z angażowania zainteresowania czytelnika silnie samą sensacyjnością wydarzenia, niż odczuwaniem tego wydarzenia przez postacie jego utworu.

A, jak wiemy doskonale, nasze uczulenie na wydarzenia stępią się bardzo szybko; kogoś dziś wzruszają wędrowni bohaterowie „Nędzników“ po kanałach Paryża wobec autyentycznych przeżyć Warszawiaków w kanałach Warszawy? Autorka „Olivii“ w swojej historii „złej dziewczyny“ nie szczędzi nam wydarzeń: bohaterka książki kłamie, ucieka z domu, puszcza się, narkotyzuje, tańczy nagie tańce w nocnych lokalach,

popularne wśród autorów polskich. Tym ciekawszy jest eksperyment p. Mostwin. Zanim przejdziemy do oceny jej powieści moglibyśmy się pokrótce zastanowić, gdzie leży i na czym polega trudna często do uchwycenia granica, oddzielająca tzw. literaturę „poważną“ od literatury sensacyjnej. Naturalnie, dużą rolę odgrywa tu sama tematyka, oddziaływująca na czytelnika bardziej drastycznością (czy, jeśli kto woli, dramatycznością) wydarzeń, niż głębią psychologicznego ujęcia. Tego rodzaju przewaga elementu wydarzeniowego prowadzi do pewnej melodramatyczności fabularnej, za którą autor płaci

bożeniem i schematyzacją postaci. Technika literacka twórcy powieści sensacyjnej stać może na bardzo wysokim poziomie; nietrwałość jego produktu wynika z angażowania zainteresowania czytelnika silnie samą sensacyjnością wydarzenia, niż odczuwaniem tego wydarzenia przez postacie jego utworu.

Autorka „Olivii“ w swojej historii „złej dziewczyny“ nie szczędzi nam wydarzeń: bohaterka książki kłamie, ucieka z domu, puszcza się, narkotyzuje, tańczy nagie tańce w nocnych lokalach,

(Dokończenie na str. 48)

Człowiek współczesny i szczęście

Wysmienity autor „Płotek“ w ostatnim numerze „Orła“ nawiązując do ankiety o szczęściu, wspominał o „jednym zaproszonym do wzięcia udziału“, który obiecał, że napisze, a potem odmówił. „Twierdził, że wszystko, co było do powiedzenia, powiedzieli ci autorzy, którzy swe odpowiedzi nadesłali. Mówiąc ściślej doszedł do wniosku, że wszystko, co warto było powiedzieć, napisały autorki, a nie autorzy“.

Domyślam się, kogo to Plotkarz ma na myśli...

Rzeczywiście twierdziłem, że najrozumniejsze rzeczy w najpiękniejszy sposób powiedziały Panie, zwłaszcza — choć nie chciałem się ani trochę narazić Klarze Evans! — zwłaszcza Stefania Kossowska. Z tego jednak nie wynika, aby głosy Panów nie były godne uwagi. Sądzę, że wszystkie warto było przeczytać.

Lecz plotka nie byłaby plotką, gdyby mówiła prawdę, wszystką prawdę i tylko prawdę. — Otóż bynajmniej nie dlatego nic nie napisałem, abym był zdania, że uczestnicy ankiety powiedzieli „wszystko, co warto było powiedzieć“. Nie ma takich spraw, o których można powiedzieć wszystko, co warto byłoby powiedzieć, zwłaszcza, jeżeli są to sprawy tak subtelne i złożone, jak „szczęście“. — Profesor Władysław Tatarkiewicz, uczony wielkiej miary, napisał całe grube dzieło „O szczęściu“, jedyne tego rodzaju w literaturze filozoficznej Europy. Dzieło, nie zaś głos w ankiecie. I zamykając jego książkę, kiedy tyle rzeczy zostało nam znakomicie wyjaśnionych i usystematyzowanych zarówno historycznie i genetycznie, jak też usytuowanych w dzisiejszości; i wiedząc już, że nie musimy wywalać drzwi otwartych, myślimy sobie: „Dopiero teraz mógłbym coś na ten temat próbować powiedzieć“. Inteligentny człowiek nigdy nie zamyka i nie wyczerpuje sprawy, ale otwiera nowych tysiąc. Tyle też otwiera ich książka Tatarkiewicza. Również inteligentni uczestnicy ankiety „Orłowej“ nie zabili tematu, nie powiedzieli „wszystkiego, co warto było powiedzieć“, lecz sprowokowali do nowych ujęć. Jeśli jednak niczego sam nie napisałem, to tylko z nieśmiałości przed tematem. I dziś nie napiszę niczego.

Zato pragnę zwrócić uwagę na fakt, jak to idee wiszą w powietrzu i trzeba tylko mieć redaktorskiego nosa Pawła

Zaremby, żeby je spod nieba sprowadzić na łamy pisma. Ze właśnie temat o szczęściu „wisi“ w powietrzu nad całym światem, a nie tylko nad Tamizą, na Battersea Church Road, na to można by podać wiele dowodów. Wystarczy jeden: Oto osiemnasty międzynarodowy zjazd intelektualistów katolickich „Pax Romana“ w całości poświęcony był sprawie szczęścia w świecie dzisiejszym. Przez tydzień, od 4 do 10 września br., 162 przedstawiciele kilkudziesięciu krajów i rozmaitych kontynentów, obradowało nad zagadnieniem „l'homme moderne et le bonheur“ — stosunek współczesnego człowieka do szczęścia. Zagadnienie to zostało omówione w 5 referatach głównych i szczegółowo debatowane w 4 „warsztatach“ dyskusyjnych.

Może zaciekawia dyskutantów i czytelników „Orła“, aspekty „szczęścia“ Najpierw przemówił luksemburski minister oświaty i kultury Henri Gregoire na temat: „Szczęście człowieka nowoczesnego i tzw. „mass media“. Znana bardzo osobistość, bo George Hourdin, redaktor „Informations Catholiques Internationales“, zajął się sprawą, jak wygląda „konceptja szczęścia u człowieka nowoczesnego“. Socjolog z uniwersytetu Leicester, James D. Halloran, przedstawił sprawę następująco: „Państwo, a szczęście obywatela“. M. Busia, Ghańczyk, socjolog oxfordzki omawiał „Ewolucję pojęcia szczęścia w obliczu zmian społecznych i kulturowych w krajach na drodze rozwoju gospodarczego“. Wreszcie asystent austriackiego „Katholischer Akademikerverband“u“, prałat Mauer, zajął się tym zagadnieniem od strony teologicznej: „Powołanie człowieka a nowoczesna konceptja szczęścia“.

Owe warsztaty dyskusyjne czyli inaczej mówiąc komisje podzieliły się według następujących tematów: „Szczęście i „mass media“; szczęście i technologia; szczęście i „welfare state“; szczęście i problemy rozwoju (sc. państw na drodze rozwoju).

Przeczytawszy trzy główne referaty (dwa inne nie były jeszcze gotowe) chciałbym stwierdzić, że uczestnicy dyskusji „Orła“ mogli by wiele świeżych rzeczy powiedzieć na tym XVIII zjeździe, a sami referenci niejednego by się od nich z pożytkiem nauczyli.

Jan Tokarski



Pobył urlopowy premiera W. Brytanii na Scilly Islands, dał asumpt do szeregu kiepskich na ogół dowcipów. Przyczyną zbieżność w wymowie nazwy tych pięknych wysepek ze słowem „silly“, które nawet jeśli wymaga tłumaczenia to się go w tych „plotkach“ nie doczeka.

Wilson odпочał sobie znacznie, co przejawiało się wzmocnioną donośnością głosu w przemówieniach na kongresie Partii Pracy. Na mocniejszą treść nie musiał się wysilać, gdyż wszystko co miało treść godną uwagi powiedział Jerzy Brown i kilku pomniejszych. Niemniej po urlopie nerwy Wilsona wzmocniły się na tyle, że nie należy się spodziewać żadnych zdrowotnych kłopotów w związku z wyraźnym brakiem logiki w równoczesnym załatwianiu dwóch zagadnień, niegdyś imperialnych, tj. zagadnienia „białej“ Rodezji i arabskiego Adenu.

TELEWIZYJNA NONSZALANCJA

Szeroko komentowano strój premiera na wyspach sylijskich. Ze niby szorty przykrótkie i nieprzystojne ani dla wieku ani dla urzędu, Telewizja BBC w kilku swych programach uplastyczyła problem szortów Wilsonowych, fotografując je (to znaczy Wilsona w szortach) w oddaleniu i w zbliżeniu, na wprost i pod kątem, takim lub owym, często ryzykownym.

Wywołało to przeżabawne komentarze na jednym z niezliczonych „koktajli“, na które uczęszczać musi dziennikarz, zwłaszcza taki co pisze plotki. Przeżabawne były te komentarze. Wypowiadało je wielu korespondentów z różnych stron żelaznej, bambusowej i degaullowskiej kurtyny. A więc, między innymi, że BBC nazbyt wiele sobie pozwala, że „jako instytucja państwowa“ nie powinna była itd. itp. Dziennikarz z jednego z mniej dotychczas wslawionych państw niedorozwiniętych gospodarzo tudzież pod każdym względem, stwierdził, że BBC jest instytucją prywatną, służącą kapitałom imperialistycznym, najpewniej amerykańskim, a uchodzi za radio państwowe tylko dlatego, że daje łapówki przekupnym działaczom związków zawodowych, zasiadających obecnie w rządzie W. Brytanii. Można i tak.

MIĘDZY PLOTKĄ I ANEGDOTĄ

Powiedział kiedyś Pitt, zwany młodszym (ten co tyle sadła za skórę zalał Napoleonowi), że karykatura i dowcip polityczny jest nie tylko objawem wolności obywateli, lecz także sprawdzianem popularności i znaczenia polityków.

Jeśli tak jest to Wilson, chociaż nie pobił rekordów, ma wcale znaczącą część popularności mierzonej dowcipami w słowie, w piśmie i w rysunku.

„MERDEKA“ A REBOURS

Tym czytelnikom co znają dobrze i na codzień język francuski tłumacząc od razu, że pierwsze słowo w tytulu nie ma nic wspólnego z tradycją cambronowską, lecz jest zawołaniem malajskim i oznacza wolność zmieszana z niepodległością. Używają go oba malajskie państwa, to znaczy Malajzja i Indonezja.

Używał go też Sukarno, przyjaciel wolności, komunistów, ładnych dziewcząt. Z tym, że chciał mieć monopol na przyjaźń. A także na wolność. Normalny to nałóg postaci opatrzościowych, ilekroć oficjalnie każą się tytułować „ojcem ojczyzny“. Gdy piszę te uwagi Sukarno siedzi dalej w Dżakarcie, potraciwszy przyjaciół i zapewne przynajmniej część przyjaciółek. Jak długo będzie siedział nie wiadomo — bo z ojca ojczyzny stał się nieznośną zawadą dla obu zwalczających się obozów rewolucyjnych. Czy zwycięży wojsko czy komuniści nie wiadomo. Wiadomo tylko, że nie zwycięży Sukarno.

U NAS WSZYSTKIEGO WIĘCEJ...

Powiedział p. Cyrankiewicz poprowadzony do największego w Paryżu sklepu delikatesów. Rzeczywiście dobry sklep — nie ma takiej potrawy, której nie daloby się sporządzić z towarów w tym sklepie sprzedawanych.

Lecz może Cyrankiewicz ma rację. Może rzeczywiście w Warszawie są sklepy, gdzie jest wszystkiego jeszcze więcej. Szkoda tylko, że nie wyjaśnił dla kogo jest tego wszystkiego więcej. Warszawiacy byłiby mu wdzięczni za wyjawienie tej tajemnicy.

NIE „MATERACOWY“ TYLKO „PIKOWANY“

Srodze mnie obręgały znajome panie za mój popis komentarza mody, podjęty w zastępstwie Glaude i Claudine w poprzednim numerze „Orla“. Przede wszystkim, jak się okazało, spodnie i kurtka włożona na ciało damskie nie stanowi „kompletu“ ani tym mniej „kombinacji“. Pozostają po prostu spodniami i kurtką. A „matelassé“ znaczy „pikowany“.

Biję się w piersi.

Lecz co do reszty podejrzeń i krytyk w piersi bić się nie mogę. Podejrzenia bowiem są słuszne. Tak, napisałem to co napisałem po to, by się móc pośmiać i to wcale, a wcale nie z tegorocznej mody, ale pośmiać się w ogóle. Tak, chętnie piszę o kobietach pod każdym pozorem i przy każdej okazji. Tak, piszę o nich dlatego, że mi z myślą nigdy nie schodzą. Wszystko się zgadza.

Zamierzam przeprowadzić teraz ankietę — raczej prywatną — wśród kobiet znajomych, włączając w zespół także te panie, do których nie telefonowałem po pomoc przy tłumaczeniu podpisów pod modelami sukien. Zapytam czy chcą bym przestał o nich myśleć, czy nie chcą.

Sprawa jest poważna pomimo pozorów dowcipkowania. Bo od wyników tej ankiety zależeć może s z e z e ń s i e. Czyje? — pytacie. Pytanie pozostawiam bez odpowiedzi. Bo jestem człowiekiem skromnym.

LAS I GRZYBY

Spóźniło się to w tym roku tak bardzo, że aż razi. Myślę o tych kilku dniach, a może tygodniach październikowych, które w północnej Europie zaliczyć można do pogodnych. Jest ciepło, nawet duszno. Lato stara się wcisnąć jakieś o sobie wspomnienia, walcząc przy tym zawzięcie z mgłą, która jest forpocztą jesieni.

Mgła mgle nie równa. W lesie, bogato podszytym paprociami, ozdobionym polankami, mgła waleśa się jak zakochany spacerowicz, jak cień boginek i duszków leśnych.

Przyjemnie jest w lesie. Nawet daleki szum samochodów na szosie nie psuje przyjemności. Człowiek czuje się bezpieczniejszy a przede wszystkim spokojniejszy.

Nie mam od dawna do dyspozycji lasów, które opiewał Mickiewicz tak pięknie, że po stutrzydziestu lasach opis zabrzmiał nowym wigorem i powagą w dziwnie do polskich niepodobnych słowach języka angielskiego. Myślałem o tym w lesie w Hampshire, co uważam za prawdziwy hold złożony Szkotowi nazwiskiem Kenneth Mackenzie.



Moja żona myślała, słusznie, o grzybach. A moja córka o „papuciach“, który to wyraz stanowi wzbogacenie jej słowniczka o pojęcie paproci.

Grzyby zjedliśmy bez złych skutków dla zdrowia. Las stał się już odległym wspomnieniem. Ale mocnym, czego dowód znajduje w okrzyku córki, gdy wita mnie co rano okrzykiem „do lasu“.

Jest w nim entuzjazm i zapał. A także — niestety — pewność prawie, że spotka ją zawód.

NA SEJMIKU W ŚRODZIE

Powiedział pan Głowacki na sejmiku w Środzie, w lutym roku 1606: „Nie w tym znaczą Ichmościów zasługa, żeście mi gadać dali, mało bardzo przerywając, lecz w tym moja, że się nie gniewam bo co mówię puścicie mimo uszu“.

Skróciłem zdanie i wyprułem z niego łacińskie ozdobne makarony. Lecz treści nie zmieniłem, bo mądrym mi się wydał pan Głowacki.

J. P. H.

EKSPERYMENT DANUTY MOSTWIN
(Dokończenie ze str. 45)

ma nieślubne dzieci — słowem, przechodzi całą tradycyjną skalę konwencjonalnego upadku. Czytelnik, uprzedzony na wstępie, że historia Olivii (dlaczego przez „v“, nie, przez „w“?) jest jej własnym pamiętnikiem, przyjmuje to zdublowanie fikcji z pewną nieufnością, którą zwiększa piękny, ale literacki język utworu. Wydarzenia są na pewno prawdziwe, ale język, którym je Olivia opowiada, nie jest jej własnym językiem. Również psychologiczna motywacja wydarzeń nie jest całkowicie przekonująca; obok dziecinnego obciążenia występuje tu popularny motyw dziecka „niedokochanego“ przez przybranych rodziców (którzy, nawiasem mówiąc, wydają się spełniać swoje trudne obowiązki zupełnie

przykładnie, w miarę swych sił i możliwości). Pisanie w pierwszej osobie zazwyczaj zbliża czytelnika do bohatera, dając mu poczucie słuchania intymnych zwierzeń; z drugiej strony nie pozwala to autorowi na wgląd w psychologiczne innych osób powieści, które widziane są wyłącznie oczami fikcyjnej postaci piszącego. Dżungla ludzka, widziana oczami Olivii, wydaje się raczej stereotypowa i banalna — wydarzenia są o wiele silniejsze od rysunku charakterów.

Danuta Mostwin należy niewątpliwie do najlepszych pisarzy emigracyjnych i każda jej książka jest ciekawym wydarzeniem literackim. „Oliwię“ można uważać za pewnego rodzaju eksperyment autorski, udany, jeśli chodzi o wykroczenie poza środowisko polskie, mniej szczęśliwy, jeśli mowa o wartościach literackich utworu. Mam wraże-

nie, że materiał społeczny, dostępny p. Mostwin, jako działacze instytucji opiekuńczych, który skusił ją do zbeletryzowania przeżyć Olivii, zyskałby bardzo na głębi i prawdzie psychologicznej, gdyby zamiast podania go w formie pamiętnika został przetworzony na „normalną“ powieść, dającą p. Mostwin przywilej autorskiego wglądu w psychologię indywidualnych postaci. Niefortunny pomysł przekazania pióra w ręce samej bohaterki powieści decydująco przyczynił się do splecenia i usensacyjnienia tragicznej w gruncie rzeczy historii wykołejonej dziewczyny. Z ciekawością czekamy na następną książkę p. Mostwin.

Stefan Wóycicki

* Danuta Mostwin, „Olivia“ — Wyd. „Biblioteka Kultury“, Paryż 1965. Cena £ 1. 2. 6.

P O L M O S

ORYGINALNE POLSKIE WÓDKI

WÓDKA WYBOROWA 73 Pr. (Blue Label) $\frac{3}{4}$ ltr. — 56/6, $\frac{1}{2}$ ltr. — 37/0,
 $\frac{1}{4}$ but. — 28/6, $\frac{1}{4}$ but. (Flask) — 15/0, Setka — 8/4, Min. — 4/6

WÓDKA WYBOROWA 65.5 Pr. (Red Label) $\frac{3}{4}$ ltr. — 47/6
 $\frac{1}{2}$ but. — 24/3; $\frac{1}{4}$ but. (Flask) — 12/3

WÓDKA LUKSUSOWA 79 Pr. $\frac{3}{4}$ ltr. — 39/11

WÓDKA KRAKUS 65.5 Pr. $\frac{3}{4}$ ltr. — 47/6; $\frac{1}{2}$ but. — 24/3

WÓDKA SOPLICA 70 Pr. $\frac{3}{4}$ ltr. — 37/0

WIŚNIÓWKA 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 37/0; $\frac{1}{4}$ but. — 28/3

JARZEBIAK 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 37; Setka — 8/6; Min. — 4/6

ZUBRÓWKA 70 Pr. $\frac{3}{4}$ ltr. — 37/0; Min. — 4/6

ŚLIWOWICA 69 Pr. $\frac{3}{4}$ ltr. — 54/0; $\frac{1}{2}$ but. — 27/6

WIŚNIAK 42 Pr. $\frac{3}{4}$ ltr. — 42/6; $\frac{1}{2}$ but. — 22/0

KRUPNIK 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 38/6; Min. — 5/0

STARKA 87 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 48/0; Min. — 5/3

SPIRITUS 100 Pr. $\frac{1}{2}$ but. — 36/9

SPIRYTUS 140 Pr. $\frac{1}{2}$ but. — 49/9; Min. — 7/4

GOLDWASSER 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 37/6; Min. — 4/6

CASSIS 61 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 33/0; Min. — 4/3

WINA OWOCOWE — butelka — 10/9

B L I Ź N I A K I (Twin Pack) — 14/6

Buteleczka wódki wyborowej i wiśniówki oraz dwie oryginalne polskie ozdobne szklanećki na wódkę w pięknym pudełku ręcznej roboty.

M I O D Y

WAWEL — 1 $\frac{1}{2}$ litra — 39/0; setka — 3/3

STAROPOLSKI — Gąsiorok $\frac{3}{4}$ ltr. — 18/0

NADWIŚLAŃSKI w kolorowych kamionkach $\frac{3}{4}$ ltr. — 24/6

PIWO TATRA - ŻYWIEC, Okocimskie i Porter

Do nabycia po powyższych cenach w każdym dobrym sklepie win i wódek.

Wytł. Importer

EDOUARD ROBINSON LTD.

21, Old Compton Street, LONDON, W. 1.

Tel. GER 3367

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11, Tel. BAT 1445. Przedstawicielstwo we FRANCJI: „Syrena-Elka“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.). Przedstawicielstwo w MIDLANDACH angielskich: T. Podgórski — 19, Park View Road, Bradford 9. W BELGII: J. Korab-Brzozowska-Csaky, 116 rue Joseph II, Bruxelles 4, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/I; w NORWEGII: Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen. Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; we WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNIE: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bieńkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. w POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy. Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

politykę we właściwym świetle i na właściwej płaszczyźnie, albowiem w zamiarach takiej polityki niemieckiej leży nawet porozumienie się z Rosją kosztem Polski, i w tym celu zrezygnowała ta polityka w stosunku do Rosji z doktryny Hallsteina, chociaż Rosja nie tylko uznaje NRD jako państwo, ale była nawet twórcą jego istnienia.

Przytaczając wyjątek z mego artykułu, gdzie stwierdzałem, że granica na Odrze i Nysie jest rekojmią bezpieczeństwa dla krajów Wschodu europejskiego, p. Paczyński pisze: „Autor traktuje wyliczone kraje tj. Polskę, Czechosłowację, Ukrainę, Białoruś, Litwę i Łotwę (Estonie, jak to słusznie podkreśla p. Paczyński, omyłkowo pominąłem), jako kraje wolne i niepodległe“. Jest znowu jakaś insynuacja, bo gdzie ja to twierdziłem? I chociaż te państwa obecnie albo żyją wprost pod zaborem Sowietów, albo są satelitami, to niedawna przeszłość udowodniła niezbitcie, że Niemcy z r. 1937 równie dobrze zagrażały niepodległości tych krajów, a już jeśli chodzi o Polskę, zagrażały jej istnieniu w ogóle.

W swoim artykule mówiłem w czasie przeszłym o „Volk ohne Raum“, jednym słowem o Niemcach hitlerowskich, że polowały swych sąsiadów, jak przekąski, ale p. Paczyński stawia swoje zdania w czasie teraźniejszym, wywracając sens mego artykułu do góry nogami. Bo ja twierdziłem, że Niemcy hitlerowskie zagrażały kulturze naszej Ojczyzny-Europą, a p. Paczyński tak przedstawia, że to obecny Volk ohne Raum stwarza to zagrożenie. Natomiast twierdziłem i twierdzę, że powrót Niemiec do granic z 1937 jest niebezpieczny dla Europy i dla krajów wschodnich, bo przez przekreślenie skutków wojny i zbrodniowej działalności Hitlera, stwarza się warunki dla odrodzenia barbarzyństwa niemieckiego, które Polska odczuła najbardziej, tracąc 22% swej ludności a 40% majątku narodowego. O tym nie wolno zapominać. Co czyni jednak p. Paczyński? Właśnie w swej „zdumiewającej gorliwości w stosowaniu niemiecko-rewizjonistycznej antytezy“ pokrywa najzupełniejszym milczeniem potworne zbrodnie niemieckie w Polsce, całą antypolską politykę niemiecką w przeszłości i rewizjonistyczną w teraźniejszości, ryzykując utratę naszych ziem zachodnich dlatego tylko, że Pax i „Słowo Polskie“ przedrukował parę słów prawdy o rewizjonizmie niemieckim.

P. Paczyński twierdzi, że jedyną organizacją, podtrzymującą „tezy emigracyjne“, tj. zwalczającą zależność Polski od Sowietów jest Stowarzyszenie Polskich Kombatantów — Federacja Światowa. Tak oczywiście nie jest. Cały szereg innych organizacji emigracyjnych stoi nadal na stanowisku niepodległościowym, między innymi i Związek Polskich Ziem Zachodnich. Nie czuję się wcale gorszym członkiem SPK od p. Paczyńskiego i miałem nieraz sposobność bronić tez emigracyjnych. Takie stanowisko nie powinno ani ze mnie ani z p. Paczyńskiego, ani w ogóle z SPK uczynić jakiegoś głuźca politycznego, który w zaślepieniu tokuje tylko jedną swą pieśń (czytaj „tezę“), zamykając oczy na otaczającą go rzeczywistość polityczną i nie widząc (czytaj nie chcąc widzieć), jak zrzęczy i podstępny myśliwy (czytaj — Niemcy) krok za krokiem poprawia swoje stanowisko, aby wreszcie w dogodnym momencie celnym strzałem zgładzić lekkomyślnego ptaka.

Takich głuźców mieliśmy i mamy niestety nadal w swoich dziejach. Nie jest nim na pewno Związek Polskich Ziem Za-

chodnich, który znając dobrze chwytę czyhającego na sprawę polską myśliwego, twardo i nieustępliwie demaskuje jego zamiary. Celem ZPZZ służy i mój artykuł, a sądząc z opinii polskich patriotów emigracyjnych i członków SPK — służy dobrze.

Dr. Jerzy Paszkowski,
St. Gallen, Zürcherstrasse 32,
Szwajcaria.

Przedstawiciel ZPZZ na Szwajcarię.
Czł. SPK i Zarządu Koła St. Gallen.

List dra Paszkowskiego drukujemy zgodnie z zasadą oddania głosu nie tylko komu coś chwala, lecz i krytykom. Red. Paczyński odmówił polemiki z autorem listu — pozostawiamy go więc bez komentarza, Red.

„KTO SIEDZI W OJCZYZNIE...“

Szanowny Panie Redaktorze,

Z zaciętkiem czytam listy i artykuły w sprawie tzw. kontaktów z Krajem. Jest to sprawa dla nas wszystkich ważna i dopóki władzę nad naszym narodem sprawować będą komuniści pozostanie sprawą najważniejszą z punktu widzenia walki o niepodległość. Nasuwa mi się paralela z Wielką Emigracją, gdy mówił Mickiewicz: „Kto siedzi w Ojczyźnie i cierpi nie wiele, aby zachować życie, ten straci Ojczyznę i życie, a kto opuści Ojczyznę aby bronić Wolności ten obroni Ojczyznę i będzie żył wiecznie“.

Nie biorę tego dosłownie... lecz z powiedzenia tego wypływa jednak ta nauka, że często na obczyźnie musimy rezygnować z pewnych wartości duchowych, jakie daje np. odwiedzanie Kraju w jego dzisiejszym położeniu na rzecz zachowania jednomyślności w walce z płaszczyzną nie-

podległościowo-politycznej w celu przywrócenia Kraju wolności.

Leopold Gadzina
Slough, Bucks.

„SUMMARIUSZ III SESJI“

Szanowny Panie Redaktorze,
Nie czuję się powołany do rzeczowego komentarza o artykule soborowym Jana Tokarskiego w numerze wrześniowym. Chcę jedynie stwierdzić, że w powodzi sensacyjno-pobożnych reportaży i innych rozważań artykuł ten jest jedyny (z tych jakie czytałem), który stara się dać rzeczową informację, nie boi się wypowiadania sądów w imię dość częstej zasady „nie ruszać Kościoła“ i stoi jak najdalej od naiwnych deklamacji.

Nie jest to artykuł łatwy, lecz sądzę, że kto go przeczytał skorzystał wiele, bez względu na swój osobisty stosunek do religii katolickiej.

Łączę wyrazy poważania

M. Zakrzewski
Londyn

KUŻMA ODPOWIADA...

Drogi Redaktorze,

P. Jeśman niepotrzebnie podnieca się. Wolkowie, istotnie, zaszczycili wiele rodzin na Litwie swoją koligacją. Co do pseudonimu to się p. Jeśman myli. Z kolei, dla ścisłości historycznej, muszę wspomnieć, iż doszły do mnie wieści, iż „Czesław Jeśman“ jest „nom de plume“ Zdzisława Broncła.

Łączę serdecznie uścisk dłoni

Kużma (albo Cosmas — nie wiem jak inaczej po polsku) Wolk.

Craigmyle, Button-a-Ben,
Thurso, Szkocja.

KRZYŻÓWKA

Nr 576/65

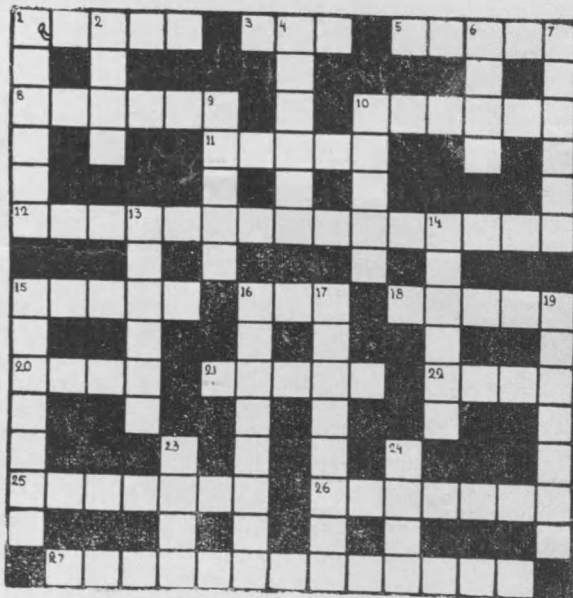
ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) i 5) taki przed jego potęgą chylicie się ludzie słabi; 8) z bliźniakiem zamyka?; 10) pierwszy książę Florencji; 11) złodziej je tłumi; 12) senna cisza? (3, 6, 6); 15) polska święta; 18) wielka rzeźba Michała Anioła; 20) i 22) zbytki; 21) imię męskie; 25) niezdarne pakunki?; 26) może być piękna i ciekawa, choć nieprawdziwa (wspak); 27) nie-trwały zapal (8, 5).

Pionowe: 1) eskorta; 2) brat Swentyny; 4) psie kołnierzyki?; 6) obraz w słowie; 7) skłonny do jednego z grzechów głównych; 9) konkurencja sportowa; 10) szukasz jej w domu; 13) wielki pan; 14) prawdopodobieństwo; 15) miała przerwać nudę, a narobiła bógosu?; 16) enotliwa bogini grecka; 17) znajduje się w tyle?; 19) leśna kryjówka; 23) w średniowieczu był bronią (wspak); 24) pierwszy strzelec w rocie Pluta (wspak).

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr. 575/65

Poziome: 2) Bronowice, 6) Prut, 7) gry-



kr., 8) izba, 9) dzicz, 10) i 11) sowizdrzał, 12) kącik, 14) Romulus i Remus, 19) obój, 20) Mars, 21) ciżba (wspak), 22) i 23) jowialny, 24) Figaro (wspak), 25) smukła.

Pionowe: 1) Zapolska, 2) bateria, 3) Odyniec, 4) króciwe (wspak), 5) smakolyk, 12) kaleta, 13) korzec, 14) Rębajło, 15) majówka, 16) stożek, 17) mameluk, 18) strzyga.



GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.

GRYF PUBLICATIONS LTD. I P.C.A. PUBLICATIONS LTD.

171, Battersea Church Road, London, S. W. 11. — Tel. BAT 1445
20, Queen's Gate Terrace, London, S. W. 7. — Tel. KNI 3500

w najbliższych miesiącach wypuszczą na rynek księgarski szereg nowych wydawnictw:

Michał Sokolnicki — DZIENNIK ANKARSKI. Stron 576. Ilustracje i indeks.
Cena: 52/6, \$ 7.00 lub F. 32.00.

Senior historyków i dyplomatów polskich, współpracownik Józefa Piłsudskiego sprzed I wojny światowej i w czasie czynu zbrojnego Legionów, autor „Roku 1914”. Druga wojna światowa zastaje go na placówce polskiej ambasady w Ankarze, gdzie przebywa do dziś. Autor pamiętnika przedstawia panoramę wojenną Europy, widzianą oczyma wnikliwego dyplomaty z ważnego i interesującego punktu obserwacyjnego.

Mina Tomkiewicz — BOMBY I MYSZY. Str. 336. Cena: 35/-, \$ 5.00 lub F. 24.00.

Powieść mieszczańska, obejmuje schyłkowy okres współżycia Żydów i Polaków w Warszawie, okupowanej przez Niemców. Nie jest to powieść bohatera. W piekle warszawskiego getta toczy się w niezwykłych warunkach życie przeciw normalnych ludzi, zwykłych mieszczan — toczy się nieubłagane w kierunku śmierci. Trafność psychologicznych obserwacji, szczerość ekspresji oraz styl czynią z książki wartościową pozycję w literaturze tego okresu. Przed kilku laty ukazała się ona w przekładzie hebrajskim i została przyjęta pochlebnie krytyką.

Lidia i Adam Ciołkoszowie — HISTORIA SOCJALIZMU POLSKIEGO. Tom I. (Od zarania do r. 1872). Str. około 850. Bogato ilustrowana.
Cena: 63/-, \$ 9.00 lub F. 40.00.

Na wielką skalę zakrojone dzieło o polskim socjalizmie i polskim ruchu robotniczym od jego początków do czasów Komuny Paryskiej. Autorzy w swej pracy wykorzystali mnóstwo materiałów dokumentarnych, dotychczas nigdzie nieogłoszonych. Nieodzowna książka dla poznania społecznych i politycznych dziejów Polski XIX stulecia, ukazuje w prawdziwym świetle niepodległościowe tendencje polskiego ruchu robotniczego.

Zygmunt Nowakowski — WIECZORY POD DĘBEM. Str. około 500. Ilustracje.
Cena: 42/-, \$ 6.00 lub F. 30.00.

Autor — niezrównany felietonista, publicysta, dramaturg i pisarz — występuje tym razem w roli historyka w znakomitym zbiorze gawęd z dziejów Polski. Gawędy swą treścią i formą stanowią wspaniałą lekturę dla każdego czytelnika bez względu na wiek, smak literacki i zainteresowania. „Wieczory pod dębem“ to opowieść o naszej tysiącletniej przeszłości, wyzwolona ze sztywnych więzów pedanterii, błyskotliwa, potoczna, pełna humoru i przypieczonej historiozoficzną pointą. Każdy rozdział stanowi całość. W sumie książkę czyta się jak najlepsze felietony Nowakowskiego.

Kazimierz Klochowicz — CZTERY NIEDOTRZYMANE PAKTY. Str. około 220.
Cena: 21/-, \$ 3.00 lub F. 15.00.

Zwięzły i syntetyczny przegląd czterech paktów, zawartych przez Polskę, celem ratowania pokoju w Europie. Żaden z nich nie został dotrzymany wobec Polski: pakt nieagresji z Sowietami i Niemcami oraz pakt o wzajemnej pomocy z Francją i Wielką Brytanią. Autor obiektywnie omawia skutki niedotrzymania tych umów nie tylko dla Polski ale i dla całej Europy.

Kazimierz Sosnkowski — PISMA WYBRANE. Str. około 650.
Cena: 63/-, \$ 9.00 lub F. 40.00.

Żołnierz Józefa Piłsudskiego, „szef“ I Brygady, naczelny wódz po śmierci gen. W. Sikorskiego, desygnowany na stanowisko prezydenta R.P. — publicysta, myśliciel i polityk — przedstawia w tym bogatym sympozjone najważniejsze dokumenty i publiczne wystąpienia w najtrudniejszych okresach swojego bogatego i ciekawego życia. „Pisma wybrane“ ukazały się w pięknej szacie zewnętrznej. „Gryf“ — „Księgarnia SPK“ współpracują z Komitetem Wydawniczym Dzieł Kazimierza Sosnkowskiego w Nowym Jorku, który prowadzi sprzedaż wydawnictwa na terenie Ameryki.

Gen. A. J. Narbutt-Łuczyński — U KRESU WĘDRÓWKI (wspomnienia). Str. około 500.
Cena: 52/6, \$ 7.00 lub F. 42.00.

Wspomnienia obejmują okres od udziału autora w organizacjach paramilitarnych sprzed pierwszej wojny światowej aż do momentu odtwarzania Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie w okresie drugiej wojny światowej. Zarówno okres pierwszej wojny światowej jak dwudziestolecie niepodległości i druga wojna światowa poza faktami i szczegółami mało znanymi zawierają własne oceny autora, patrzącego zawsze oczyma gorącego patrioty i żołnierza.

★ ★ ★

KSIĘGARNIA S.P.K. OTWARTA JEST CODZIENNIE: OD PONIEDZIAŁKU DO PIĄTKU W GODZ. 10—19 I W SOBOTY W GODZ. 10—16. ZAMÓWIENIA POCZTOWE ZAŁATWIAMY ODWROTNIE.